GORĄCY SPÓR WOKÓŁ CENTRUM MUZUŁMAŃSKIEGO W BIAŁYMSTOKU

PROF. BOGDAN MUSIAŁ
HOLOKAUST JAKO „RELIGIA ZASTĘPCZA"

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 7 (272) 2018
12–18 lutego
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

KULISY BITWY O USTAWĘ

TYLKO U NAS

MINISTER PATRYK JAKI UJAWNIA, O CO NAPRAWDĘ CHODZI W SPORZE Z IZRAELEM, KTÓRY ROZGRZAŁ CAŁY ŚWIAT

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
07
9 772544 269809

Człowiek Wolności 2017

tygodnika SIECI

GALA Z UDZIAŁEM LAUREATKI

JULII PRZYŁĘBSKIEJ

PREZES TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

PONIEDZIAŁEK
12 LUTEGO

GODZ. 21.55
RELACJA TVP2

GODZ. 19.00
LIVE NA
wPOLSCE.PL

Donosem w Czarneckiego

Jestem korespondentką w Brukseli od 2005 r. Do tej pory Parlament Europejski (PE) zajmował się jedynie słowami, które padały na jego terenie. Abstrahuję od treści i jej nie usprawiedliwiam, ale z formalnego punktu widzenia to jest precedens" – napisała dziennikarka Dominika Ćosić po odwołaniu Ryszarda Czarneckiego z funkcji wiceprzewodniczącego PE. Utrata stanowiska jest karą za opinię przyrównującą postępowanie pani Róży Thun, głosującej za sankcjami przeciw Polsce, do haniebnych zachowań z okresu II wojny światowej. Politycy Platformy triumfują.

Trudno jednak nie zauważyć, że w poszukiwaniu sposobu pognębienia pisowców znowu poszli na skróty. Podobnie działają w kraju: zamiast poczekać na wybory, organizują pucze i namawiają do sankcji przeciw Polsce.

Pani Róża Thun miała oczywiście prawo, jak każdy człowiek, dochodzić satysfakcji za słowa, które uważa za obrazę, w sądzie. Mogła sama odpowiedzieć ostro, bo nie ma problemu z dostępem do mediów. Wybrała współudział w pozbawieniu Czarneckiego stanowiska. Choć sama jest w partii, której działacze nie wahali się i nie wahają się rzucać najgorszych oskarżeń. Podobnie ludzie mediów III RP coraz częściej wybierają procesy sądowe zamiast polemik. A zaprzyjaźnione sądy nakładają drakońskie kary.

Wygrywają? Raczej przypominają Polakom, jak nie fair grają tzw. elity III RP.

Michał Karnowski

Czego nie wiemy

Do 10 kwietnia 2018 r. już blisko. A właśnie wówczas komisja badająca tragedię smoleńską kierowana przez Antoniego Macierewicza ma opublikować swój ostateczny raport dotyczący przyczyn katastrofy. W kuluarach trwa jednak dyskusja, czy sztywny (choć przecież nieformalny) termin zakończenia prac jest słusznym rozwiązaniem, choćby z uwagi na czasochłonność niektórych eksperymentów i ogrom zebranego materiału. Do sprawy pośrednio odniósł się Jarosław Kaczyński, stwierdzając: „Lepiej powiedzieć, że pewnych rzeczy nie da się ustalić, niż ustalać je z ryzykiem błędu". Oznacza to wyraźną zachętę do tego, by komisja ograniczyła się w swoim raporcie do kwestii bezspornych, prezentując jasno także niewiadome. Być może jest to również sygnał, że komisja powinna pracować dłużej.

To wypowiedź znacząca, choć mało zauważona. Jednocześnie warto podkreślić, że wbrew obiegowej opinii sam Jarosław Kaczyński wypowiadał się w przeszłości na temat bezpośrednich przyczyn katastrofy dość ostrożnie, akcentując przede wszystkim konieczność dochodzenia do prawdy. Prawdy, której nie opisała ani komisja MAK, ani komisja Millera. Ta ostatnia – co przedstawiliśmy dwa tygodnie temu na łamach „Sieci" – miała pełną świadomość, że oddaje raport niewiarygodny, pełen – delikatnie rzecz ujmując – publicystycznych, niepopartych wiedzą wtrętów. Cenę płacimy do dziś.

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 7313dec8fb

SIECI spis treści

42 Bronimy czegoś więcej
Piotr Skwieciński

52 Pułapka na opozycję
Stanisław Janecki

54 Prezent islamistów dla Białegostoku
Maja Narbutt

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **KOŚĆ NIEZGODY**
Krzysztof Feusette

11 **KRZYŻ NA BELCE**
Ryszard Makowski

11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Michał Korsun, Paweł Korsun

12 **BAT NA OSZUSTÓW**
Jan Pietrzak

13 **WROGOWIE NARODU**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **UŻYTECZNA NIEWIEDZA**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z PATRYKIEM JAKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

26 **NIECZYSTE SUMIENIE**
Aleksandra Rybińska

31 **WOJNA O PAMIĘĆ**
Grzegorz Górny

34 **OBLANY TEST**
Konrad Kołodziejski

38 **PRAWDA NAS WYZWOLI**
Maciej Pawlicki

42 **BRONIMY CZEGOŚ WIĘCEJ**
Piotr Skwieciński

45 **POKÓJ ŁATWO NIE WRÓCI**
Jan Rokita

48 **HOLOKAUST JAKO „RELIGIA ZASTĘPCZA"**
Bogdan Musiał

KRAJ

52 **PUŁAPKA NA OPOZYCJĘ**
Stanisław Janecki

54 **PREZENT ISLAMISTÓW DLA BIAŁEGOSTOKU**
Maja Narbutt

58 **POSŁANKA TEŻ MATKA**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

61 **Z EMILIĄ KOMARNICKĄ-KLYNSTRA I REDBADEM KLYNSTRA-KOMARNICKIM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

65 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **WOJCIECH POKORA: PEŁNIA CZŁOWIECZEŃSTWA**
Piotr Zaremba

67 **FELIKS NOWOWIEJSKI: TWÓRCA BLIŻEJ ZNAJOMY**
Adam Ciesielski

68 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

70 **POLECA**
Łukasz Adamski

IMPRESJE

72 **SŁOŃCE W SERCU**
Krzysztof Logan Tomaszewski

OPINIE

74 **Z PROF. JOHNEM MILBANKIEM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

77 **PRAWDA I KŁAMSTWO**
Wojciech Wencel

78 **VERITATEM DIES APERIT**
Wojciech Reszczyński

79 **WARSZAWSKIE COMBO TANECZNE**
Dariusz Karłowicz

HISTORIA

80 **STANISŁAW MARUSARZ: DWA SKOKI ŻYCIA**
Michał Muzyczuk

ŚWIAT

84 **ZROBIĆ MAŁPĘ**
Piotr Cywiński

86 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

88 **Z MAKSEM KRACZKOWSKIM**
rozmawia Marek Siudaj

92 **ROK PODWYŻEK PŁAC**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

104 **MOJE SMAKI: DARIUSZ WARDZIAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

106 **DZIENNIKARSKIE ZŁUDZENIA**
Piotr Skwieciński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **POZNAJ PO KRETYNIE**
Wiktor Świetlik

109 **POLSKA CEGŁA**
Aleksander Nalaskowski

110 **CHOPIN NA HEBRAJSKĄ NUTĘ**
Robert Mazurek

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

114 **WŁAŚCIWA KOLEJNOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

4/0218/F

eprasa.pl 7313dec8fb

Kamil Stoch

SKOKI NARCIARSKIE

ORLEN

SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

PKN ORLEN wspiera Polską Reprezentację Olimpijską

eprasa.pl 7313dec8fb

Z życia koalicji

Od 1 marca MSZ wzbogaci się o nowego wiceministra. Zostanie nim nasz stary znajomy Andrzej Papierz. Papa to postać o życiorysie bogatym: za komuny dymił w NZS, potem był w UOP, Lidze Republikańskiej, aż wreszcie poszedł w dyplomację. Cokolwiek mu zaszkodziły oskarżenia o nieortodoksyjne prowadzenie się, ale tylko trochę, bo zawsze spadał na cztery łapy, bo jakąś słabość do niego miał Schet. Ostatnio był upchnięty na stanowisku konsula w Stambule, ale mu tureckie napoje nie służyły. Woli czystą.

Papa już dawno chciał skorzystać z dobrej zmiany, ale jakoś nie palił się do tego Waszczu. Ostatecznie partia to na nim wymusiła, ale ***Waszczykowski*** Papy nie doczekał. Podobnie zresztą, jak nie doczekał innego wciśniętego przez partię wiceministra Piotra Wawrzyka, eksperta „Wiadomości", który uzasadniał tam jako niezależny politolog, że PiS rację ma zawsze, a totalna opozycja nigdy. Poza tym Wawrzyk był oskarżany o plagiat, ale wybronił się, mówiąc, że naczytał się Elizy Michalik.

„Szejka odwołali" – takim esemesem zaanonsowano nam wiadomość o odwołaniu Wojciecha Jasińskiego z szefa Orlenu. Urokowi całemu zdarzeniu dodaje to, że Jasiński o dymisji dowiedział się w dniu planowanego wylotu do Pjongczangu, gdzie na igrzyskach miał sprawować honory głównego sponsora. Cóż, jak widać skoro papieży powołują, to szejków zwalniają.

Umarł szejk, niech żyje szejk! Szejkiem nowym jest Daniel Obajtek. No i to jest postać. No bo zaczynał jako wójt Pcimia, i to akurat nie jest dowcip. Jak tylko PiS przejęło władzę, to nie przejmując się zarzutami prokuratory (uważała, że facet brał łapówki, też nam coś) Obajtka najpierw rzucono na rolnictwo i dano mu jakąś agencję, potem na energetykę (Energa) i wreszcie teraz na paliwa. I choć Obajtek jest niebanalnie wykształcony (zaoczna ochrona środowiska w jakiejś Wyższej Szkole Wszystkiego Najlepszego), to naszym zdaniem następny powinien być bank. Może być Zbożowy, panie Nikodemie.

No i teraz najlepsze. Piorunująca kariera Obajtka byłaby niemożliwa bez możnego patrona, a w tym wypadku patronki. Otóż Obajtka od początku promowała i holowała Beata Szydło. Ale żeby człowiek Szydło wygryzł człowieka Kaczora z Orlenu?! Cuda, tej zimy, cuda.

A w samą Szydło wstąpiła jakaś kosmiczna energia i zaczęła kampanię na całego. Na początek pojechała z Karczewskim na mazowiecką prowincję otwierać jakąś poradnię albo coś tam. Ludzie szaleli, jakby Lady Gaga nad Pilicę wpadła.

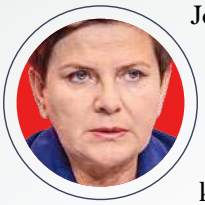

Jednak najlepszy numer wywinęła publika na okolicznościowym jublu „Gazety Polskiej". Nagrody dostali ci, co dostać mieli: Kaczyńscy, Morawiecki, Gwiazda, ale to nieważne. Otóż kto był prawdziwą gwiazdą imprezy, komu wiwatowano na stojąco i witano okrzykami „***Beata! Beata!***"? No cóż, mina Kaczora bezcenna.

Ludzie Morawieckiego są wściekli. Ich zdaniem – zresztą nie tylko ich, starzy kaczyści też tak mówią – winę za całą awanturę z Izraelem ponoszą ziobryści. „To Jaki z Ziobrą rozmawiali z ambasadą Izraela, ale nie rozumieli, jak ci im dyplomatycznym językiem tłumaczyli, że są przeciw" – opowiadał nam jeden z ministrów. Ale jest i drugi powód. „Ziobro walczy o schedę po Kaczyńskim i skręca partią tak bardzo w prawo, jak tylko się da" – wkurza się wiceminister, pisowski gołąb. Oj dzieci, zostawić was samych na chwilę, to się sąsiedzi skarżą.

PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk (x 2)

eprasa.pl 7313decaf0

Z życia opozycji

„Gazeta Wyborcza" znalazła wyborny sposób na zatrzymanie spadku sprzedaży. Jest nim wkładka finansowana przez Europejską Partię Ludową poświęcona Michałowi Boniemu. To znaczy ona niby nie jest o Bonim, tylko o różnych ważnych sprawach. Ale Boni pojawia się w niej na 16 (szesnastu!) zdjęciach. Toż czasem sesje w „Playboyu" są mniej obfite.

Koledzy z Platformy Obywatelskiej mają pretensje do przewodniczącego Schetyny, że ten zamiast tępić polski antysemityzm, w szczytowym momencie kryzysu polsko-izraelskiego pojechał na narty. Szczerze? To jedno z najlepszych posunięć Schetyny od czasu zapuszczenia wąsów w latach 80. ubiegłego wieku.

Schetynie zresztą nie bardzo wypadałoby potępiać ustawę o IPN, bo platfusy wcale jej w Sejmie nie zwalczały. Podobnie zresztą jak posłowie Nowoczesnej.

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Dopiero jak Izrael zaryczał, to biedny plankton zrozumiał, nad czym głosował. Dodajmy, że plankton to pożywienie wielorybów.

Miś Kamiński, od niedawna ludowiec, ostro przejechał się po żartach z komór gazowych, jakie usłyszał w TV Paździerz. Oburzenie zapewne słuszne, ale... Akurat Misio to mógłby sobie darować. Pamiętamy go z czasów młodzieńczego nacjonalizmu, gdy plótł straszne rzeczy o Antonim Słonimskim i jego wierszu „Dwie ojczyny". W każdym razie literat Ipohorski mógł być wtedy z Misia dumny.

À propos dawnych endeków, którzy zsiedli z konia nacjonalizmu na przystanku „nie lubię Kaczora". Podobno do Platformy przystąpić może ***Roman Giertych***. Gdyby tak się stało, znowu byłby Największym Polskim Politykiem. Oraz Największym Polskim Balastem, a jako że PO ma balastów całkiem sporo (właściwie składa się z samych balastów), Giertych miałby szansę ostatecznie pociągnąć tę formację na dno. A to by załatwił Kaczora!

Giertych to endek salonowy. Ci niesalonowi, z ONR i Ruchu Narodowego, zebrali się pod Pałacem Prezydenckim. Chcieli wywrzeć nacisk na prezydenta Dudę, żeby podpisał nowelizację ustawy o IPN. W swoim stylu czynili to wyjątkowo subtelnie, posiłkując się żartobliwym hasłem „Zdejmij jarmułkę, podpisz ustawę". To jednak straszni troglodyci są. Ale kiedy pójdą na wojnę z PiS – jak Giertych – też będą ich zapraszać do TVN24.

Chłopcy narobili pod pałacem takiego dziadostwa, że aż Paweł Kukiz poczuł się w obowiązku przeprosić za to, że wciągnął narodowców do Sejmu. Rzadki to obraz: polityk przepraszający za cokolwiek, więc doceniamy. Szkoda tylko że Kukiz '15 coraz bardziej zaczyna być Kukizem '5. Procent.

Okazuje się, że do kolekcji rozmaitych taśm dołączyły „taśmy Marcinkiewicza". Nagrany Zetafon wrzeszczy na Isabel, żeby się wzięła do roboty, a najlepiej poszła w cholerę i dała mu spokój. Taśmy mają już swoje lata, ale wypłynęły dopiero teraz, co niedwuznacznie sugeruje, że była żona Kazia szykuje się do wydania książki o ich małżeństwie. Dla Zetafona na pocieszenie mamy jedynie staropolskie powiedzenie: widziały gały, co brały.

Najbardziej ze wszystkich polityków opozycji lud polski ufa Katarzynie Lubnauer, co jest zabawne samo w sobie. Ale i tak biedaczka jest dopiero na piątym miejscu w rankingu zaufania, a wyprzedza ją m.in. Jarosław Kaczyński, co zapewne wzbudza w niej głęboką refleksję politologiczną w rodzaju: „Ale jak to?".

TYGODNIA

Zalewskiego

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 7313dec8fb

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Grzegorz Schetyna spotkał się z ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce. I zamieścił zdjęcie, które mówi wszystko: uniżony, szczęśliwy ze spotkania lider PO, pański, patrzący z góry na rozmówcę ambasador Jones. Nie możemy mieć pretensji, oni po prostu nie umieją stać prosto w takich sytuacjach. I dlatego nigdy nie powinni rządzić Polską.

Ryszard Czarnecki stracił stanowisko wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego, bo nie przeprosił ***Róży Marii Barbary Gräfin von Thun und Hohenstein*** za porównanie do szmalcownika. Przegrał stanowisko, ale też do końca nie pękł. Szczerze: niewielu bywalców tego raju (Parlament Europejski) byłoby na to stać. Chyba że to wszystko był przypadek.

Tymczasem w sondażach zamawianych przez PiS partia Kaczyńskiego zdobywa nawet 54 proc. Problem w tym, że to ta sama firma, która już kiedyś robiła badania. Wyniki też były świetne, ale nie potwierdzały się w wyborach. W PiS zatem nie wiedzą, czy jest genialnie, czy tylko świetnie. Oto problemy sytych!

Marcin Mastalerek po dwóch latach odezwał się publicznie. „Rząd ma rację, tylko w polityce racja nie ma żadnego znaczenia. Cmentarze są pełne kierowców, którzy mieli rację na drodze, którzy mieli pierwszeństwo". Cenna uwaga, z jednym zastrzeżeniem: gdy ***jedziesz czołgiem, możesz bezkarnie łamać zasady pierwszeństwa.***

Ewa Bugała, która wraz z grupą Pobudzina odeszła z TVP, będzie dyrektorem ds. komunikacji w Orlenie i rzecznikiem spółki. Zasadniczo nie mamy nic przeciwko, ale pozostajemy przy swoim zdaniu: warto być dziennikarzem. Piarowcy niby nam podobni, ale jednak to już nie to...

Piotr Gliński poszedł na rozmowę do Mazurka, ale rozmowa o Polskiej Fundacji Narodowej nie bardzo się kleiła. „Pana pytania są aroganckie i nie na temat" – stwierdził na koniec wicepremier. Ta PFN powoli staje się nieszczęsna, choć wciąż jest bogata. Tak nieszczęsna, że ludzie, którzy przegrali walkę o ów kąsek dwa lata temu, dziś szczerze się cieszą.

Isabel wypuściła (pierwszy?) film z Kazikiem w roli głównej. „Zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą. Przestań mnie nachodzić, a najlepiej odejdź" – rzuca były premier, chyba siedzący na toalecie. Historia bardzo niskich lotów, ale cieszy wszystkie żony. Bo to taka nasza lokalna wersja „Fatalnego zauroczenia".

W ramach nakręcania wojny polsko-izraelskiej do Polski miał przyjechać ***izraelski minister edukacji*** Naftali Bennett. Chciał nam opowiedzieć o tym, jak mordowaliśmy Żydów. Wizyta tajemnicza – nie wiadomo, kto zapraszał, czy to było na serio, czy chodziło o prowokację. Ktoś próbował nawet wkręcić w to premiera, lecz się nie udało, bo ktoś nacisnął hamulec. Ale też nie wiadomo kto. Mosad kontra ABW?

Wojna ma również front wewnętrzny. „Newsweek" promuje Grossa, oskarżającego Polaków o wszystko, co najgorsze, a „Rzeczpospolita" (wstyd!) Cimoszewicza. Ten drugi mówi właściwie to samo, co ten pierwszy, ale jest o niebo bardziej obrzydliwy. ***Gross mdli,*** Cimoszewicz skłania do wymiotów.

Ciekawą linię w sprawie wojny ma „Wyborcza". Na jedynkach daje jakieś pierdółki typu walka ze smogiem, udając, że tematu nie ma. Za to w komentarzach pełna jazda. Najostrzej jedzie Wroński, tylko trochę przerabiający ***Grossowe fantasy.*** Szefowie docenią, ale nawet taki upadek nie gwarantuje dziś w Agorze zachowania pracy. Radzimy więc dbać o twarz.

Z kolei ***Tomasz Lis*** stwierdził: „A więc to jest taka atmosfera, taki zapach. W marcu 1968 miałem dwa lata. Teraz wiem". Redaktorze, żyj swoim życiem, bo i tak nigdy nie będziesz żadnym komandosem. Twoim doświadczeniem formacyjnym zawsze będzie obalanie rządu Olszewskiego, a nie protest w sprawie „Dziadów".

Pierwszy strzał w wojnie polsko-izraelskiej oddał TVN, który znalazł w Polsce kilku czcicieli Hitlera świętujących kwietniowe urodziny w maju. Wyglądali jak rekonstruktorzy. I faktycznie, jeden z nich ogłosił, że „jako rekonstruktor chciał odtworzyć takie wydarzenie", ale nie żadna promocja nazizmu. Cóż, jaka telewizja, taki bal przebierańców.

Sygnalista

7/0218/F

eprasa.pl 7313dec8fb

Świętujmy 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości

Przygotowaliśmy pomoce dydaktyczne dla Twojej szkoły. Zgłoś się po ich odbiór.

Dbajmy o kształtowanie dumy narodowej wśród dzieci i młodzieży.

www.dlaniepodleglej.pl

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PERN

Patronat honorowy:

MINISTER EDUKACJI NARODOWEJ

Pozostali partnerzy projektu:

Bank Pocztowy

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Archiwum Akt Nowych

eprasa.pl 7313dec8fb

Kość niezgody

KRZYSZTOF FEUSETTE

W pierwszych słowach mego listu pragnę serdecznie przeprosić. Oczywiście, przyznajemy się do wszystkiego, bez bicia czy eksperymentów medycznych doktora Mengele: Holokaust to nasza wina. Gdybyśmy nie ukrywali polskich Żydów przed Niemcami, wróć, nazistami, Hitler nie wpadłby w taką wściekłość. Przecież mówił niedawno wasz premier, że do mordowania Żydów trzeba było Führera bardzo namawiać, bo on tego nie chciał. Kto go namówił – sami wiecie najlepiej, a jak nie wiecie, to wam wasza gazeta wyborcza o nazwie „Haaretz" na pewno wyjaśni.

Takich białych plam jest dużo więcej. Dlaczego nad bramą w Auschwitz wisiał napis akurat po niemiecku, wróć, po nazistowsku, a nie – zgodnie z umiejscowieniem – po polsku? No i czemu brzmiał: „Praca czyni wolnym"? Tu także wyjaśnienie jest proste. Praca w obozie koncentracyjnym rzeczywiście zapewniała Niemcom, wróć, nazistom, wolność. Z ośmiu tysięcy zatrudnionych w Auschwitz po wojnie przed sądem stanęło niespełna ośmiuset. Reszta wyparowała, odnajdując się potem np. w niemieckiej, wróć, nazistowskiej, nie – wróć ponownie, w niemieckiej policji. Przepraszamy za to.

Przepraszamy także, że nie przerwaliśmy Donaldowi Trumpowi jego przemówienia w Warszawie, gdy podkreślał polskie bohaterstwo podczas II wojny światowej. Pisze wspomniany „Haaretz", że „to wtedy zaczęła się w Polsce odradzać narracja, jakoby Polacy byli ofiarami nazistów, nie ich współpracownikami". Następnym razem zaaresztujemy Trumpa zaraz po wylądowaniu, swoją drogą – wy także moglibyście to zrobić, zamiast mu się skarżyć na nas, ale z pominięciem jego wkładu w nadwiślański nazizm. To nieładnie, bo przywodzi na myśl nasze najgorsze cechy narodowe, nasze, powtarzam, nie wasze. Takie jak obłuda, interesowność, hipokryzja...

Niestety, tacy już jesteśmy, a obecny konflikt pokazuje to dobitnie. Bo cóż to są za miałkie odpowiedzi na wasze zarzuty, że byli Polacy, którzy mordowali Żydów za pieniądze? Zamiast pokornie schylić głowę i przyznać, że nasi Sprawiedliwi to fikcja od początku do końca, że wymyśliliśmy sobie Ulmów i Kowalskich, to my – Boże, jakie to małe – próbujemy wam tłumaczyć, że przecież byli i Żydzi, którzy mordowali Żydów? Że była np. Żydowska Gwardia Wolności, która od własnych rodaków brała pieniądze za obietnicę ucieczki spod niemieckiej, wróć, nazistowskiej, a w zasadzie – powiedzmy to nareszcie jasno – spod polskiej okupacji. A potem przejmowało ich gestapo. Jak można w ogóle o tym przypominać, skoro nawet słowo „kanalia" jest polskie, nie hebrajskie?

Niestety, powtórzę, tacy jesteśmy. Nie potrafimy postawić znaku równości między kilkoma tysiącami donosicieli i szmalcowników a całym narodem. Na szczęście są jeszcze u nas ludzie z krwi i kości, krwi, dodajmy, niepolskiej, a przynajmniej na taką niewyglądającej, i kości niepolskiej, bo przecież polskie kości to są zawsze kości niezgody. Miliony kości, miliony niezgody... No, ale to przecież temat na zupełnie inną opowieść. Choćby przy okazji 50. rocznicy Marca '68, gdy ludzie pokroju Wojciecha Jaruzelskiego, zwani potem ludźmi honoru (przez tych, których prześladowali), dokonywali nad Wisłą antysemickich czystek. Dziś zapach tych czystek czuje np. red. Czuchnowski z Michnikowej stajni.

Na koniec pragnę przeprosić za najważniejsze – za naszą kulturę, w zasadzie za jej brak. Myśleliśmy, że wystarczy pokazać światu „Pokłosie" czy „Idę", a świat powie „Idę po to pokłosie". Nie wystarczy. To znaczy swoje te filmy zrobiły, ale to krople w morzu waszych potrzeb.

Dlatego zobowiązuję się do przypilnowania polskich twórców, by skierowali swe wysiłki ku jeszcze prężniejszej pracy na rzecz narracji wskazującej, że – jak powiedział jeden z waszych polityków – Polacy byli współautorami Holokaustu. Na pierwszy ogień proponuję ekranizację wspaniałego komiksu opublikowanego przez wspomniany już dwukrotnie dziennik „Haaretz" – o trzech żydowskich dziewczynkach, które podczas wojny uciekają pociągiem przed nazistami, jak się okazuje – zupełnie niepotrzebnie. Bo ten pociąg to dopiero piekło, wokół sami Polacy i Polki, nawaleni jak stodoły, brudni i pałający żądzą wydania dziewczynek nazistom. Oczywiście, za wódkę (bo kochajmy się jak bracia, ale liczmy się jak Polacy). Na szczęście w porę zjawia się nazistowski, wróć, niemiecki (bo naziści byli źli, a Niemcy dobrzy) oficer i ratuje dziewczynki, częstując je kostkami cukru.

Mamy w Polsce gwiazdy, które mogłyby zagrać za darmo. Magdalena Cielecka niedawno czuła się w tramwaju jak żydowskie dziecko w getcie, więc mogłaby się wcielić w jedną z dziewczynek. W roli drugiej z nich widziałbym Dorotę Stalińską, trzecią porywająco wykreowałby Maciek Stuhr. Bydlaków w pociągu zagraliby nasi najwybitniejsi, zaangażowani w walkę z polskim ciemnogrodem, artyści: Stuhr Jerzy, Chyra Andrzej, Pieczyński Krzysztof, który ma nawet podbite oko, więc pasuje do roli pijaka. Co się tyczy dobrego Niemca, jedynym kandydatem wydaje się Daniel Olbrychski. O ile nie pociacha sobie wcześniej munduru szablą.

To wszystko możemy zaoferować już dzisiaj. Siebie widzę w roli kierownika tej wiekopomnej superprodukcji, bo że natychmiast znajdą na nią superpieniądze, nie mam wątpliwości. Aha, entuzjastyczne recenzje, o ile Polacy będą wystarczająco odrażający, zapewni redaktor Wronka z polskiej filii „Haaretza". To co – kręcimy, przyjaciele?

eprasa.pl 7313dec8fb

TRENDY I OWĘDY

Krzyż na belce

Ciężki jest los apostołów ateizmu w kontekście skoków narciarskich

Ryszard Makowski

Jeden z nowoczesnych umysłów gazety, której nazwy nie powinno się wymawiać podobnie jak imienia tego gada Lorda Voldemorta, wypatrzył wnikliwym okiem, że nasi skoczkowie narciarscy przed ruszeniem z belki w otchłań pełną niewiadomych meteorologicznych wykonują znak krzyża. Nazwał to w ramach obowiązkowej szydery z katoli „Wymię ojca...". I obwieścił: „Sportowcy manifestujący wiarę podczas transmitowanych zawodów obrażają moje uczucia ateistyczne".

To, że w tej redakcji dominują antychrysty, nie jest niespodzianką, ale że aż z taką mielizną w umyśle, to jednak robi wrażenie. Co taki ordynarny krzewiciel lewactwa musi przeżywać, gdy włączy te katolickie skoki... Morze biało-czerwonych flag, rozradowani Polacy, no faszyzm w najgorszym wydaniu. A jeszcze do tego ci kościółkowi skoczkowie, z pomocą Bożą wygrywają. I wtedy redaktorem z michnikowszczyzny muszą targać paskudne katusze.

Najgorsze dopiero nadchodzi! Skocznie niesie się w góry „Mazurek Dąbrowskiego"! Jakim prawem? Państwa narodowe to przeżytek... Ponad ćwierć wieku nauk z Czerstwej, których bożków należy czcić, to mało? Skandal! Z wiarą mają się kojarzyć babinki pod figurką Matki Boskiej, a nie fajne młode chłopaki, idole tej prawdziwej Polski.

Z drugiej strony należy podziwiać bohaterstwo tego redaktora kpiącego niewybrednie ze znaku krzyża. Górale to lud pobożny, ale i krewki. A taką nartą na płask w pysk to naprawdę musi boleć.

KORSUN *chili* KORSUN

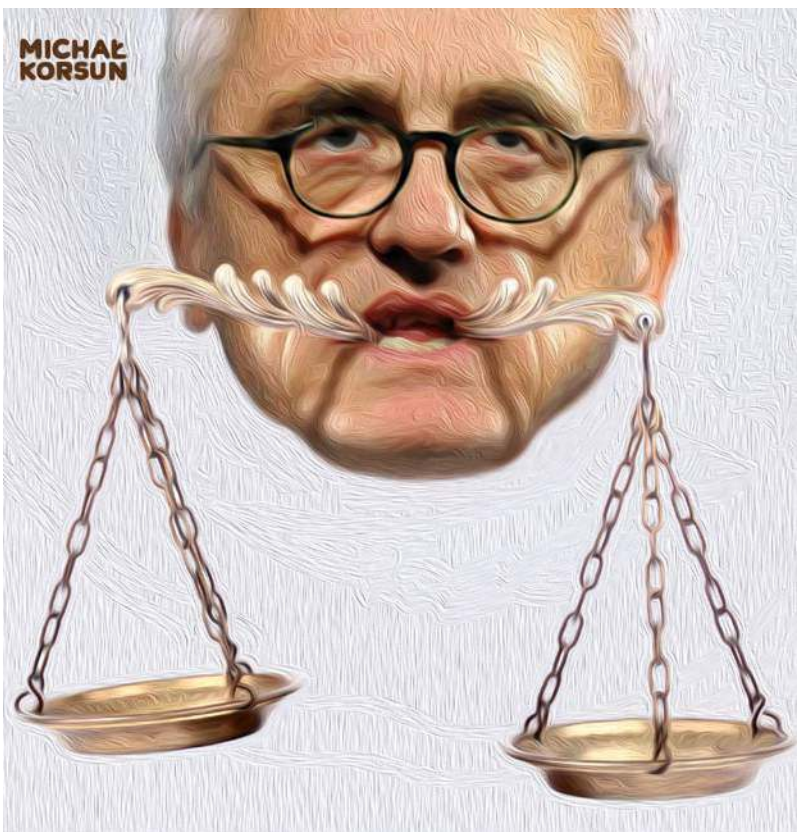

Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock

Paweł Korsun

Kochajmy się jak bracia, liczmy jak matematycy". Zarówno z pierwszym, jak i z drugim duży problem ma Jan T. Gross, którego największym odkryciem oprócz konstatacji, iż sąsiadów się nie wybiera, jest to, że książka o „złym Polaku" znika z półek szybciej niż wydawnictwo o uczynnym, bohaterskim Polaku. Może nie tak szybko jak dzieło o „dobrym Niemcu", ale antypolskie tematy na pewno ekscytują bardziej niż historie o „złych Żydach", bo takich, wiadomo, nie było, a nawet jeśli zrobili coś źle, to mieli do tego prawo (boskie).

Z ważeniem słów i liczbowych faktów problem ma również pani kierownik Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN, która Grossa nazywa Jankiem. Na pytanie dziennikarza o statystyki rzekomego współudziału Polaków w Zagładzie mówi, że liczby nie są ważne(?!), bo „jakie to ma znaczenie, czy Polacy zabili 2,2 czy 20 tys.?". No tak, „śmierć człowieka (z rąk Polaka) to tragedia, milionów (z rąk Niemców) to statystyka". Zaraz nie będzie istotna liczba polskich drzewek w Yad Vashem, a ratowanie współobywateli żydowskiego pochodzenia będzie mylone z tratowaniem. „Dlaczego właśnie Żydzi są nemezis polskich nacjonalistów?" – pyta retorycznie zamyślony „przyjaciel" Polski kapitan Gross, który pisze o Jedwabnem, bo gdyby zajął się Ulmami, Sendlerową, Pileckim, Sławikiem, Karskim, Andersem, Żegotą itp., zamiast 200 stron musiałby napisać setki tysięcy. A liczby mają wagę.

eprasa.pl 7313dec8fb

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bat na oszustów

Jan Pietrzak

Znany polityk, Marcin Święcicki, powiedział: „Mordowaliśmy, tylko nie zakładaliśmy obozów", w kontekście polskiej odpowiedzialności za Holokaust. Użył liczby mnogiej.

W imieniu jakiej zbiorowości on to mówi? Bo na przykład myśmy na naszym warszawskim podwórku mieli komórki na węgiel. W tych komórkach co parę dni pojawiały się grupy ludzi z dziećmi w naszym wieku. Chcieliśmy się z nimi bawić, ale było to zakazane. Nosiliśmy im po zmierzchu coś do jedzenia. Któregoś dnia znikali, pojawiali się następni. Dopiero po wojnie, kiedy podrośliśmy, powiedziano nam, że był tu punkt kontaktowy. Stąd żydowskie rodziny wywożono poza Warszawę.

Każdy, młody czy stary, kto przeżył wojnę w Polsce, pamięta rzeczy niesamowite... W tej szczególnej sprawie – prosta refleksja wskazuje, że bez Polaków Żydzi nie mieli szans na ratunek. Bo poza nami na tej ziemi nie było nikogo, tylko najeźdźcy. Opętane żądzą mordu szkopy ze swymi szwadronami śmierci. Wszyscy ocaleni z Zagłady zawdzięczają to Polakom.

Statystyki podają, że Niemcy zamordowali 6 mln obywateli polskich, w tym 3 mln wyznania mojżeszowego. Inne statystyki mówią, że przed wojną mieszkało nas tu 36 mln obywateli, a po wojnie – 24 mln. Ubytek – 12 mln. Może ktoś to wyjaśni? Święcicki pamięta jedynie, że „my" mordowaliśmy Żydów. A kto nas mordował, nie ma pojęcia. Co prawda urodził się parę lat po wojnie, ale pamięć ma swoje selektywne algorytmy.

Kiedy ustawa podpisana przez prezydenta zacznie działać, miejmy nadzieję, że prokurator przesłucha tego świadka. Trzeba oszczercom stawiać bardzo dociekliwe pytania, ponieważ w III RP nauczyli się bezkarności. Mogli bredzić w załganych mediach, mogli kłamać w nikczemnych sądach, mogli pluć na prawdę z sejmowej mównicy. Ten czas się skończył formalnie dwa lata temu, po wyborczej decyzji elektoratu, ale bat na oszustów pojawił się dopiero teraz.

Sława nieulotna

Z aktorką Katarzyną Czaplą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Rola Łokietkówny to marzenie?

Katarzyna Czapla: Bez dwóch zdań. Elżbieta jest postacią pierwszoplanową. I na dworze węgierskim, i na Wawelu, i na innych dworach średniowiecznej Europy.

To jedna z najbardziej wpływowych postaci swojego czasu?

Jej słynne podróże – w otoczeniu przepysznych orszaków, z bogactwem prezentów – służyły wielu politycznym misjom. Z Elżbietą Łokietkówną, wydaną za mąż za króla Węgier Karola Roberta, liczono się w Europie, a ona umiała to wykorzystać.

Oszałamiała przepychem?

I wyznaczała trendy. Z podróży przywoziła, dziś powiedzielibyśmy, modowe nowinki. W czasie oficjalnych pobytów wprowadziła na ascetyczny Wawel kolor strojów.

A czym była „woda królowej węgierskiej"?

To perfumy stworzone dzięki Elżbiecie. Wcześniej używano specjalnych pomad, które pod wpływem ciepła się topiły, uwalniając zapach. Na polecenie królowej nadworny medyk skomponował zapachowo-leczniczą mieszankę. Znakomicie musiała jej służyć, sądząc z przekazów (60-letnia władczyni wyglądała ponoć na dwie dekady mniej) i wieku, którego dożyła (w tamtym czasie 75 lat to było coś). Za sprawą królowej woda dotarła na dwór francuski i go podbiła.

Francuzi wzbogacili jej skład o lawendę.

Pierwotna mikstura [oparta na alkoholu, którego destylacja była wtedy w Europie nowością – przyp. red.] dziś pewnie obroniłaby się głównie leczniczo, bo zapachowo niekoniecznie, skoro w jej skład wchodziły m.in. ocet czy rozmaryn, ale sława pierwszych perfum nie musi być ulotna.

Fot. Gałązka/AKPA

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wrogowie narodu

Nie twierdzę, że organizatorom polowania na antysemitów od początku przyświecał założony cel. Przypisywanie nadmiernej samoświadomości większości spośród z nich byłoby na wyrost

Antysemityzm w służbie PiS" – tak zatytułował swoją okładkę „Newsweek". To wprawdzie wypowiedź Jana T. Grossa, który jest bohaterem tygodnika, ale skoro pismo uznało ją za godną takiego wyeksponowania, to jednoznacznie się z nią utożsamia. Wynika z niej, że antysemityzm jest paliwem wyborczym partii Kaczyńskiego. Wprawdzie żadne ugrupowanie, żadna postać publiczna odwołująca się do antysemityzmu – a pojawiały się takie – nie zrobiła na tym kariery w naszym kraju od upadku komunizmu, ale tropiciele tej, jakoby immanentnej, cechy Polaków, zarówno tym, jak i innymi faktami się nie przejmują. Nie obchodzi ich to, że PiS zawsze piętnowało antysemityzm. Po prawie 30 latach można z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że to właśnie owi tropiciele robią wszystko, aby go w naszym kraju sprowokować. Prowadzą do banalizacji antysemityzmu, gdyż jeśli przypisać można go każdemu, określenie to przestaje cokolwiek wskazywać, a staje się obuchem do okładania przeciwników. Zachowanie takie wyzwala reakcję obronną niesprawiedliwie pomawianych o antysemityzm, którzy zaczynają uznawać, że w takim razie przypuszczalnie nic złego w nim nie ma, a nawet posiada on jakieś uzasadnienia.

Długotrwała kampania „Wyborczej" i jej sojuszników przynosi takie właśnie efekty ku satysfakcji organizatorów. Mogą wreszcie znaleźć dowody na prawdziwość swoich tez, uzasadnić działania i uzyskać dodatkowe wsparcie, również finansowe, z zagranicy, na walkę z kreowanym przez siebie zjawiskiem.

Nie twierdzę, że organizatorom polowania na antysemitów od początku przyświecał taki, świadomie założony cel. Przypisywanie nadmiernej samoświadomości większości spośród nich byłoby zdecydowanie na wyrost. Ideowym twórcom pedagogiki wstydu, której częścią było uznawanie antysemityzmu za dystynktywną cechę Polaków i ich historii, przyświecały inne zadania. Chodziło o kontrolę nad pogrążonym w kompleksach i obarczonym poczuciem winy narodem, a więc o władzę. Do niedawna metoda ta prowadziła do sukcesu, ale porażka wyborcza ponad dwa lata temu pokazała jej granicę. Jak zwykle w takich wypadkach jej rzecznicy nie zrozumieli tego. Uznali swoją przegraną za nieprawdopodobny pech, wypadek przy pracy, którego efekty szybko można będzie odwrócić, działając tak jak wcześniej, tyle że intensywniej. Tym była strategia „ulicy i zagranicy". Dziś widać, że służyła ona głównie tym, przeciw którym była zwrócona. Dlaczego więc przy okazji obecnego, międzynarodowego konfliktu stosowana jest nadal?

Jedną z przyczyn jest świadomość politycznej klęski, jaką zaczynają przyjmować do wiadomości obrońcy III RP. Wrogowie obecnej władzy przestali wierzyć w szybkie zwycięstwo, a więc ważniejsze jest dla nich zagraniczne wsparcie, które wprawdzie nie da im rządów w Polsce, ale może zapewnić przetrwanie w całkiem wygodnych warunkach. Inną przyczyną jest niedoceniany w polityce, a przecież stale w niej obecny, resentyment.

Oto Tomasz Lis dojący (wraz z rodziną) miliony z telewizji publicznej i korzystający z wszelkich przywilejów, które przysługiwały ulubionemu pluszakowi Donalda Tuska, pozbawiony zostaje owych dochodów oraz przewag i ma zadowolić się „tylko" stanowiskiem naczelnego w „Newsweeku" oraz pozycją hunwejbina adorowanego wyłącznie przez opozycję. Przecież osobnik ten, który każdym nerwem odczuwa, że należy się mu władza, przeżywa ból dojmującej krzywdy. A takich samych czy pomniejszych, odgrywających nie tak eksponowane, ale jednak intratne i prestiżowe, role jest przecież legion. Ich nienawiść do rządzących obecnie i wspierającej ich zbiorowości nie zna granic, tak jak sposoby, których gotowi są się chwycić, aby jej zadośćuczynić.

A dobro wspólne, racja stanu, interes narodu? Wolne żarty! Tego „narodu głupców", który nie postępuje zgodnie z wolą swoich światłych autorytetów?! Wobec takiego narodu nie czują przedstawiciele owych samozwańczych elit żadnych zobowiązań ani lojalności, wręcz przeciwnie: życzą mu wszystkiego najgorszego, czego dowodzą swoimi czynami. A nienawiść nie jest racjonalna.

Ich działania w dłuższej perspektywie okażą się zgubne dla nich samych, ale opętani złymi namiętnościami nie są w stanie tego pojąć. Zanim znikną z życia publicznego, dużo jeszcze złego są w stanie zrobić.

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Nowy wizjoner

Trwa poważny dyplomatyczny spór na linii Polska–Izrael o nowelizację ustawy o IPN. No to Ukraina postanowiła wtrącić swoje trzy grosze. I to w formie najmniej oczekiwanej. Głos dał deputowany Partii Radykalnej Jurij Szuchewycz, syn komendanta głównego UPA, jednego z architektów rzezi wołyńskiej Romana Szuchewycza, wojenna ksywa „Taras Czuprynka". Jego zdaniem „jest szereg polskich polityków, którzy nie chcą zapomnieć o wschodnich granicach II Rzeczypospolitej". „Myślą o Zbruczu [przed wojną granica między II Rzeczpospolitą a Ukraińską SRR]. A chodzi także o Wilno i zachodnią Białoruś. O Białorusi teraz milczą, bo tam Moskwa stoi i są też pewne roszczenia w stosunku do Litwinów" – powiedział Szuchewycz junior. Był on jednym z sygnatariuszy listu do władz polskich i ukraińskich, w którym domagano się przeniesienia cmentarza Obrońców Lwowa do Polski, a na wiecu we Lwowie wzywał do przyłączenia do Ukrainy ziem znajdujących się w Polsce: Łemkowszczyzny, Nadsania, Chełmszczyzny i Podlasia. Postawa młodego Szuchewycza przypomina żywo mentalność Kalego oraz krytykę ustawy o IPN przez ukraińskie władze. W Kijowie zapomnieli już, jak to tatuś „Taras Czuprynka", zastępca dowódcy podległego Abwehrze krwawego batalionu Nachtigall, mordował wraz ze swoimi chłopcami Żydów, dźgając ich w szpalerze bagnetami, podobnie jak później Polaków na Wołyniu. Jakby tego było mało, naczelny rabin Kijowa i Ukrainy zwrócił się do izraelskiego ministra edukacji o „ukaranie" Polski za ustawę o IPN. No cóż, konie kują, żaba nogę podstawia.

Rebecca Sommer, niemiecka artystka, dziennikarka, lewicowa działaczka na rzecz praw człowieka zmieniła front. Już jakiś czas temu przeżyła traumę, kiedy na zorganizowanym przez nią garden party dla uchodźców usłyszała za plecami, że jest „głupią niemiecką k...ą". Poza tym nie ma odwagi wyjść już sama na sylwestra, bo została pięciokrotnie zaatakowana przez mężczyzn mówiących po arabsku. Teraz przyznaje, że muzułmańscy imigranci stanowią zagrożenie dla niemieckiego sposobu życia i będzie jeszcze gorzej z powodu łączenia rodzin. „Jeżeli Polska i Węgry pozostaną przy swoim w tej kwestii, to możecie stać się krajami, do których uciekać będą niektórzy Niemcy czy Francuzi" – stwierdziła. Jej zdaniem „jest już za późno na Niemcy". Planuje emigrację na emeryturę. Jej wybór padnie prawdopodobnie na Polskę! Widać nie jest świadoma, że jesteśmy krajem odradzającego się faszyzmu, pełnym antysemitów, którzy w przeszłości budowali wraz z Niemcami obozy śmierci.

Mieliśmy w Polsce trzech wizjonerów politycznych. To Jarosław Kaczyński, ojciec Rydzyk i Adam Michnik. Ten ostatni zestarzał się, zaczął bredzić i w związku z tym sam pozbawił się członkostwa elitarnego klubu. Ponieważ natura nie znosi próżni, w miejsce naczelnego z Czerskiej próbuje wskoczyć Zbigniew Hołdys, niegdyś lider zespołu Perfect. Według jego profetycznej wizji świat zmierza ku totalnemu konfliktowi zbrojnemu, a wszystkiemu winni są pisowcy, Kukiz, a także prezydent RP. „Od ponad trzydziestu lat mówię, gdzie są młodzi w polityce. Nie tacy jak Jaki, bo to jest zdeprawowany, zdemoralizowany człowiek. Nie taki jak Winnicki, bo to jest chory człowiek. No i nie taki młody jak Kukiz, który jest starym capem zgrywającym młodzieniaszka, który nam ściągnął ruinę na głowę. Polska brnie w zwarcie dzięki takim Dudom i innym, którzy dawnych zapachów nie pamiętają" – zawyrokował Hołdys na wpuszczonym do internetu filmiku. Skąd się wzięło to nagranie? Mam takie oto podejrzenie: kiedy rozrywany przez TVN ekspert od bieżącej polityki oraz członek Instytutu Myśli Państwowej Romana Giertycha, „Kaz" Marcinkiewicz, siedzi goły na sedesie i wypowiada znamienne słowa: „Idź do pracy, zajmij się czymkolwiek. Czymkolwiek! Cokolwiek rób, idź na bezrobotne", jest bardzo prawdopodobne, że wtedy właśnie zaskoczył go wizytą Zbigniew Hołdys i zaczął przedstawiać mu swoje apokaliptyczne wizje. Domorosła poetka z Brwinowa Isabel tylko nagrała go zza pleców smartfonem.

Odszedł pies Rico rasy owczarek niemiecki, służący w 436. Eskadrze Sił Bezpieczeństwa US Air Forces. Rico wraz ze swoim przewodnikiem sierż. sztab. Jasonem Spangenbergiem na misji w Afganistanie wykryli 45 kg materiałów wybuchowych podczas ponad 100 misji. Wspólnie otrzymali Brązową Gwiazdę za ofiarną służbę. Teraz śmiertelnie chorego psa w jego ostatniej drodze pożegnał szpaler salutujących żołnierzy eskadry. Departament Obrony USA na swojej stronie zamieścił zdjęcie z honorowej ceremonii, żegnając wiernego towarzysza broni.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 7313dec8fb

Użyteczna niewiedza

Marta Kaczyńska

Czy powstanie warszawskie to jest to samo, co powstanie w getcie warszawskim?" – takie pytanie padło w Muzeum Powstania Warszawskiego z ust izraelskiego dziennikarza uczestniczącego w spotkaniu z premierem Mateuszem Morawieckim. Z relacji osób obecnych w muzeum wynika, że wielu Izraelczyków z niedowierzaniem obejrzało film „Miasto ruin" przedstawiający skalę zniszczeń Warszawy dokonanych przez Niemców w trakcie II wojny światowej. Świadectwo przedstawione przez uczestniczkę powstania, która opowiedziała dziennikarzom z Izraela o swoich doświadczeniach z czasów niemieckiej okupacji, z pewnością pomogło uświadomić słuchaczom, że Polacy, podobnie jak Żydzi, byli ofiarami III Rzeszy; że państwo polskie nigdy nie zhańbiło się współpracą z hitlerowskimi Niemcami; że wśród naszych babć i dziadków wielu było takich, którzy ryzykując życie własne i swoich najbliższych, pomagali przetrwać Żydom; że to Polak, Jan Karski, przekazał prezydentowi USA informację o Holokauście.

Komentarze padające z ust izraelskich dziennikarzy i polityków krytykujących nowelizację ustawy o IPN mogą wynikać z powszechnej niewiedzy historycznej. Mnóstwo ludzi za granicą nie zna historii naszego kraju i nieświadomie rozpowszechnia kłamliwe informacje. Są zapewne i tacy, którzy w imię politycznych celów głoszą oszczerstwa na temat Polski, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że światowa opinia publiczna nie będzie ich kwestionować, bo zwyczajnie nie wie, jaka jest prawda historyczna.

Obecna sytuacja, która doprowadziła do konieczności ingerencji prawnej w postaci penalizacji rozpowszechniania kłamstw na temat udziału Polaków w ludobójstwie Żydów, jest niewątpliwie pokłosiem kształtowania polityki historycznej przez okresy rządów ugrupowań promujących politykę wstydu i imposybilizmu, a nawet prezentowania Polski w negatywnym świetle. Przykładem promowania opisanych postaw jest wystawa w Muzeum II Wojny Światowej. Do niedawna odwiedzający ten sztandarowy projekt rządu PO poznawał opowieść o Polsce jako kraju autorytarnym, wymienianym niemal jednym tchem obok reżimów totalitarnych Niemiec, Włoch i ZSRS. Na turystów czekały informacje, że w Polsce Żydów dyskryminowano, a nawet stosowano wobec nich przemoc. O wielowiekowej historii symbiozy narodów polskiego i żydowskiego ani słowa, także o tym, jak wielką społeczność w naszym kraju stanowili wyznawcy judaizmu. Wzmianka o ratującej Żydów Irenie Sendlerowej została wręcz ukryta w ciemnym kącie. Ekspozycja przygotowana przez twórców muzeum jest klasycznym przykładem opowiadania historii w sposób pozwalający na szkalowanie dobrego imienia narodu polskiego.

„Mieć dobre relacje z Izraelem, to mieć dobre relacje z krajem, który ma wielki wpływ na światowy układ sił. Poza tym w Izraelu istnieją pewne kłamliwe stereotypy dotyczące Polski, które są dla nas bardzo niekorzystne. Mam tu na myśli sprawę rzekomej współodpowiedzialności za Holokaust. Podobne stereotypy nie tylko są nieprawdziwe, ale po prostu zabójcze z punktu widzenia interesów naszego państwa. Musimy z nimi walczyć, m.in. poprzez edukację. [...] Zdaję sobie bowiem sprawę, że są na świecie środowiska, w których chorobliwy antypolonizm ma już zgoła parareligijny charakter. Musimy jednak przede wszystkim działać. Działać, działać i jeszcze raz działać. Niech jako przykład służy tu idea budowy Muzeum Historii Żydów Polskich. To nie jest przecież inicjatywa państwowa. Wymyśliła to 15–16 lat temu grupa prywatnych osób. Ale gdybym nie udzielił im politycznego wsparcia, szczególnie gdy byłem prezydentem Warszawy, sprawa by przepadła. Inne rzeczy, do których dążymy wspólnie z izraelskimi partnerami, to zmiana formuły wycieczek izraelskiej młodzieży do Polski i większa obustronna wymiana młodzieży. Wbrew pozorom istnieje olbrzymia ilość działań, które dopiero razem przynoszą pewne efekty. Powinny być intensywne po obu stronach: polskiej i żydowskiej" – powiedział prezydent Lech Kaczyński w rozmowie z „Rzeczpospolitą" w związku z wizytą w Izraelu w 2008 r.

To będzie ROK SUKCESU małych firm!

MAŁY BIZNES – WIELKA SPRAWA
W KAŻDY CZWARTEK PO 15:00

„Zmiany w podatkach nie są wymierzone w przedsiębiorców, a w przestępców"
Paweł Gruza
Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Finansów

„Tworzymy wolny rynek – wolny od oszustw, skoncentrowany na wpływach"
Paweł Cybulski
Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Finansów, zastępca szefa KAS

Telewizja W POLSCE PL oglądaj w CYFROWY POLSAT na poz. 196 lub na: www.wPolsce.pl

epussa.pl 7313dec8fb

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Spóźniony

Michael Bates, brytyjski wiceminister ds. rozwoju międzynarodowego, podał się do dymisji, ponieważ spóźnił się kilka minut do Izby Lordów. Teresa May dymisję odrzuciła. Gdyby u nas wszyscy tak poważnie podchodzili do swoich obowiązków, mogłoby zabraknąć ministrów.

24,5 tys.

tyle miejsc dla maluchów (np. żłobków, klubów dziennych) zostanie utworzonych dzięki tegorocznej edycji programu Maluch+. Dofinansowanych będzie ok. 56 tys. miejsc, w tym ponad 630 dla dzieci niepełnosprawnych i wymagających szczególnej opieki.

600 tys.

tylu imigrantów Włochy powinny odesłać tam, skąd przyjechali – uważa Silvio Berlusconi. W opinii byłego premiera migranci, którzy nie mają prawa do tego, by pozostać w Italii, stanowią „bombę społeczną, gotową do wybuchu". I znów oszołomy miały rację.

196,3 mln zł

tyle ma kosztować budowa drogi ekspresowej S19 na odcinku od węzła Rudnik nad Sanem do węzła Nisko Południe. Odcinek ten będzie miał ok. 6 km długości i będzie częścią trasy Via Carpatia.

Od nowa

W Niemczech pisanie historii od nowa idzie pełną parą. „Polskie obozy koncentracyjne", które to sformułowanie najczęściej było używane w Niemczech, to nie koniec. Z niemieckiej książki dla dzieci możemy się dowiedzieć, że Mikołaj Kopernik był niemieckim astronomem. Maria Skłodowska-Curie też była Niemką?

Po "polskich obozach" dowiadujemy się, że Mikołaj Kopernik to "Niemiec"

Aplauz surowo zakazany

Sąd w Ligurii na północy Włoch zabronił oklasków podczas festiwalu literackiego organizowanego na placu w starym miasteczku Albissola Marina. Jak uznano w orzeczeniu, brawa naruszają prawo do normalnego życia rodzinnego mieszkańców pobliskich domów. Włoska prasa podała, że przeciwko popularnej imprezie, odbywającej się każdego lata, zaprotestowali wypoczywający tam regularnie turyści z Mediolanu. Od dawna walczą oni o ciszę na spokojnym zazwyczaj Piazza Concordia. Ich zdaniem zamienia się on w bardzo głośne miejsce w czasie spotkań tłumów miłośników literatury z pisarzami i poetami, którym towarzyszą głośne owacje. Choć optymizmem powinno napawać to, że wysoka kultura wywołuje wielki entuzjazm, to jednak sąd nie dał się przekonać. Burmistrz miejscowości się nie poddaje. Zapowiedział złożenie apelacji od zakazu braw. Tymczasem miłośnicy literatury muszą teraz wymyślić jakąś inną, cichą formę okazywania aprobaty. Może wystarczyłoby podrzucanie kapeluszy? A może można bić brawo szeptem?

eprasa.pl 7313de68 p

Uważaj, kogo molestujesz

Czarnoskóra amerykańska dziennikarka i pisarka Rebecca Carroll, publicystka m.in. „Guardiana", publicznie oskarżyła o rasizm gwiazdę amerykańskiego dziennikarstwa Charliego Rose'a, bo ten miał się dopuszczać molestowania seksualnego wyłącznie na białych kobietach. „Wiele moich koleżanek z pracy było napastowanych. Charlie, który mierzył ponad 180 cm, górował nad większością z nas i pozwalał sobie na obłapianki czy zastraszanie. Co ciekawe, żerował wyłącznie na białych kobietach, nigdy nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Traktował jak egzotyczną anomalię" – napisała Carroll na łamach amerykańskiego „Esquire". Choć Carroll podkreśliła, że nigdy nie chciałaby być molestowana, to jednocześnie uznała, że brak zainteresowania jej osobą w takim kontekście to przejaw ksenofobii. Może to molestowanie sąd jeszcze by przełknął, ale ten rasizm?!

»Atlas kotów« dostałem od prof. Józefiny Hrynkiewicz. Ponieważ opozycja jest dość jednostajna w tym, co mówi, i mało kreatywna, więc ja zamiast wysłuchiwać kolejnych opowiadań o rzeczywistości, której nie ma, to sobie to czytałem **– powiedział Jarosław Kaczyński. Szach i mat.**

Konkurs piękności

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2), demotywatory.pl Instagram/missy.kz

Mężczyzna znalazł się w finale konkursu na Miss Kazachstanu. 22-letni Eli Diagiliew postanowił spróbować swoich sił w konkursie piękności. Problem w tym, że Eli jest mężczyzną, a konkurs przeznaczony był dla kobiet. Kazach odniósł sukces, bo trafił aż do finału. Mistyfikację ułatwiało to, że głosowanie odbywało się przez internet. Gdy Kazach znalazł się w finale, przyznał się do oszustwa. Tłumaczył, że zdecydował się na taką mistyfikację, by zwrócić uwagę na to, jak sztuczne są obecne kanony piękna. No bo w końcu kto wymyślił, że w wyborach miss mogą startować tylko młode, bezdzietne, panny!? A kobiety uwięzione w męskim ciele? Szczyt dyskryminacji po prostu.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Naród wciśnięty do gardeł i głów

Dominik Zdort

Listu do uczniów, którego autorami są dwaj nieznani szerzej nauczyciele, pewnie pies z kulawą nogą by nie zauważył, gdyby nie opublikowała go „Gazeta Wyborcza".

Pretekstem jest zmiana ustawy o IPN, której panowie – jak deklarują – przestrzegać nie zamierzają. Dalej jest kilka historycznych przekłamań i nadinterpretacji. Podobno getto ławkowe na uczelniach II RP było wstępem do gett tworzonych przez nazistów, a efektem wiary w istnienie narodu polskiego jest śmierć uchodźców na Morzu Śródziemnym... Całość to intelektualny łamaniec bez krztyny logiki, propagandowy miszmasz.

Dalszy ciąg jednak przeraża. Bo autorzy listu, nauczyciele w społecznej, ale polskiej legalnej szkole, wprost podważają sensowność istnienia polskiego narodu. Twierdzą, że to mit i jego istnieniu przypisują naszą „współodpowiedzialność za zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości i zbrodnie wojenne".

Można by tłumaczyć, że pobrzmiewa tu nuta Zbigniewa Herberta, który pisał, że „wspólna lektura szkolna/ nie powinna stanowić przesłanki wystarczającej/ aby zabić". Tyle że Poeta na koniec stwierdzał, iż „ten okrwawiony węzeł/ powinien być ostatnim jaki/ wyzwalający się/ potarga". A panowie nauczyciele – wręcz przeciwnie, bezrefleksyjnie chcą węzeł potargać natychmiast. Twierdzą, że naród to wymyślony byt, który „od dawna władze Polski wciskają nam do głów i gardeł". I dorzucają psychologizowanie – na poziomie przedszkola – że władzom chodzi o to, aby dać nieszczęśliwym ludziom fałszywą dumę.

„Wyborcza" przekroczyła kolejną barierę. Tak daleko nie szła nawet Róża Luksemburg. Ona wprawdzie sprzeciwiała się odbudowaniu niepodległej Polski, ale przynajmniej postulowała, aby narodowi polskiemu pod zaborami, integrującemu się z państwami zaborczymi, umożliwić pielęgnowanie tradycji i obyczajów.

Nie tak dawno słusznie się wszyscy oburzaliśmy na idiotów, którzy w nazistowskich mundurach świętowali urodziny Hitlera, przypominaliśmy, że przecież Führer zniszczył polskie państwo i chciał zniszczyć polski naród. Neonaziści mieli przynajmniej trochę wstydu i swoje poglądy głosili w lesie, w tajemnicy. List opublikowany w „Wyborczej" to druga strona tego samego medalu – chorobliwej niechęci do Polski i polskości. Tyle że prezentowanej publicznie, z dumą, w wysokonakładowej gazecie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 7313dec8fb

RZECZY POSPOLITE

Lekko nie będzie

Tomasz Łysiak

Jeden z moich ukochanych pisarzy Isaac Bashevis Singer, genialny „bajarz", który swoje powieści snuł z lekkością gawędziarza siedzącego przy ognisku i pykającego fajeczkę, cieszył się zarówno za życia, jak i po śmierci, sławą geniusza. Do dzisiaj dzieła noblisty lądują w biblioteczce każdego inteligenta. Jak wiadomo, ów wielki autor miał nie tylko wielu zwolenników, lecz także wrogów – szczególnie atakowany był przez przedstawicieli własnego narodu.

Dlaczego? Otóż pisał o Żydach, nie ubarwiając niczego, nie tworząc nierzeczywistego obrazu – pokazywał zarówno blaski, jak i cienie. Wspominam jego przypadek właśnie dlatego, że mam wrażenie, iż doskonale obrazuje on skalę trudności, jaka czeka każdego, kto próbuje opisywać rzeczywistość świata z wpisanym w jego dzieje losem narodu wybranego. Holokaust zmienił wszystko, uwrażliwił po wielokroć, zburzył obowiązujące wcześniej kryteria.

To stawia wymagania. Gdy przyjrzymy się dziełom Dmowskiego – znajdziemy tam wiele odniesień do relacji polsko-żydowskich, ale nie wolno ich „rozumieć współcześnie", trzeba po prostu wyobrazić sobie ówczesną rzeczywistość z jej niuansami i dopiero przez taki pryzmat je czytać.

Innymi słowy – potrzebna jest wyobraźnia, która buduje kontekst.

Zdaje mi się, że podobny problem, lecz tym razem związany z polskim narodem, występuje w kwestii tego „pożaru", jaki wybuchł w związku z nowelizacją ustawy o IPN. A pali się jak jasny pierun (jak to było w jednym starym skeczu). Nie wiadomo, jak gasić i z której strony.

Wygląda to tak, jakby brakowało na Zachodzie elementarnej wiedzy i wyobraźni związanej z historią II wojny światowej. Wiedzy podstawowej. Z tego to powodu nie działa „wyobraźnia emocjonalna", nie buduje się empatia w stosunku do polskiego narodu – narodu ofiar, narodu tak potwornie doświadczonego przez wojnę. Stąd trudno jest walczyć o nasz „wizerunek". Bo jak? Jeden czy drugi film, tysiąc billboardów na ulicach Berlina czy milion ulotek rozrzuconych w Paryżu nie załatwią teraz sprawy. Kontekst nie istnieje. Przed nami długa droga, by go zbudować. Lekko nie będzie.

Szczyt naiwności

Piotr Cywiński

My, Polacy, jesteśmy narodem masochistów. I naiwniaków. Bo czymże było sprzedanie Niemcom prawie wszystkich gazet w Polsce oraz innych mediów? Gdy w 2005 r. zagraniczny inwestor chciał kupić dziennik „Berliner Zeitung", w Niemczech wybuchła histeria. Ktoś obcy będzie nam narzucał poglądy i kształtował opinię publiczną? Po naszym trupie! – zgodnie huknęli dziennikarze, politycy i kto tam jeszcze. W efekcie tę lokalną gazetę przejęła kolońska spółka. W RFN na ponad 600 gazet i periodyków obcy kapitał ma udziały w zaledwie trzech tytułach, i to bez znaczenia, bo niskonakładowych. We Francji kapitał zagraniczny może mieć co najwyżej 20-procentowe udziały. Żaden szanujący się kraj nie pozwala, aby ktoś mieszał w jego zupie. Ale nie u nas...

U nas poza jednym jedynym „Kurierem Szczecińskim" z kilkunastotysięcznym nakładem wszystkie gazety regionalne i lokalne należą do niemieckich wydawców. Jak to wygląda w praniu, dość wspomnieć niedawny instruktaż Marka Dekana ze spółki Ringier Axel Springer dla podległych mu polskich dziennikarzy. I oto mamy kolejny wykwit: w ubiegłym tygodniu, dokładnie w tym samym czasie polskojęzyczny „Newsweek" daje cover story z Tomaszem Grossem na okładce pt. „Antysemityzm w służbie PiS. Tylko u nas autor »Sąsiadów« o fałszowaniu historii Holokaustu", „Die Welt" zaś, też wydawany przez Springera, wrzuca na łamy obszerną rozmowę z tymże „profesorem historii". Ów de facto socjolog z wykształcenia i historyk amator dał się poznać w świecie jako rzekomy demaskator „jadowitego, polskiego antysemityzmu"...

Żeby było jeszcze mniej śmiesznie, niespełna rok temu, gdy pojawiły się głosy o planowanej repolonizacji mediów, kanapowe Towarzystwo Dziennikarskie prezesa Seweryna Blumsztajna wysmażyło szeroko rozpowszechniony w Bundesrepublice list do „drogich, niemieckich przyjaciół" z... przeprosinami za „antyniemiecką propagandę" oraz „bolesne i krzywdzące kłamstwa i oszczerstwa padające pod Waszym [niemieckim – dopisek mój] adresem. Zapewniamy, że są one tak samo bolesne dla nas, obrońców polskiego państwa prawa i polskiej demokracji".

I co? I nic, poza powtarzanym przeze mnie od lat pytaniem, kiedy repolonizacja mediów?! Cisza...?

eprasa.pl 7313dec8fb

Polecamy

Ukazała się właśnie na rynku pozycja, która powinna zainteresować naszych czytelników. Znane krakowskie Wydawnictwo M tak zapowiada książkę „Pilnujmy Polski": „Odważny wywiad z braćmi Karnowskimi – znanymi dziennikarzami i publicystami – o ich korzeniach, życiowych wyborach i wartościach oraz burzliwych kulisach polityki w Polsce w latach 2010–2015. W swojej publicystyce dokonują wnikliwej analizy wydarzeń w naszym kraju na przestrzeni ostatnich kilku lat – począwszy od płaszczyzny politycznej, poprzez gospodarczą, na udziale mediów w polityce skończywszy. W latach 2010–2015 komentowali na bieżąco przemiany na polskiej arenie politycznej, które zaowocowały podwójnym zwycięstwem obozu patriotycznego w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Znakomicie wyłapali decydujący moment przesilenia jako zapowiedź nadchodzących zmian. W swojej publicystyce wiele uwagi poświęcili też mediom, wykorzystywanym jako narzędzia w walce politycznej, oraz zmianom, jakie na przestrzeni lat nieustannie dokonują się w mediach publicznych.

Autorzy łącząc odpowiedzialność i umiar w politycznym działaniu, są twórcami jednego z najważniejszych środowisk medialnych w Polsce. Równocześnie w sferze wartości starają się zawsze pozostać wierni zasadom zawartym w dewizie Bóg – Honor – Ojczyzna. Najważniejszą cechą ich publicystyki jest pasja, z jaką podejmują tematy często trudne i delikatne. Pasja, do której zdolni są wyłącznie ludzie »Polską przejęci«. I właśnie dzięki temu lektura ich twórczości tak wciąga i fascynuje".

Z perspektywy redakcji walorem książki jest także biograficzny wywiad z twórcami tygodnika „Sieci", przeprowadzony przez Jaromira Kwiatkowskiego. Poznajemy korzenie rodziny, możemy zerknąć do rodzinnego albumu. Całość czyta się z przyjemnością, bo lektura zaraża entuzjazmem, optymizmem i przekonaniem, że ciężką pracą i wspólnym wysiłkiem możemy pchnąć do przodu zarówno sprawy polskie, jak i osobiste.

Serdecznie polecamy!

(wu-ka)

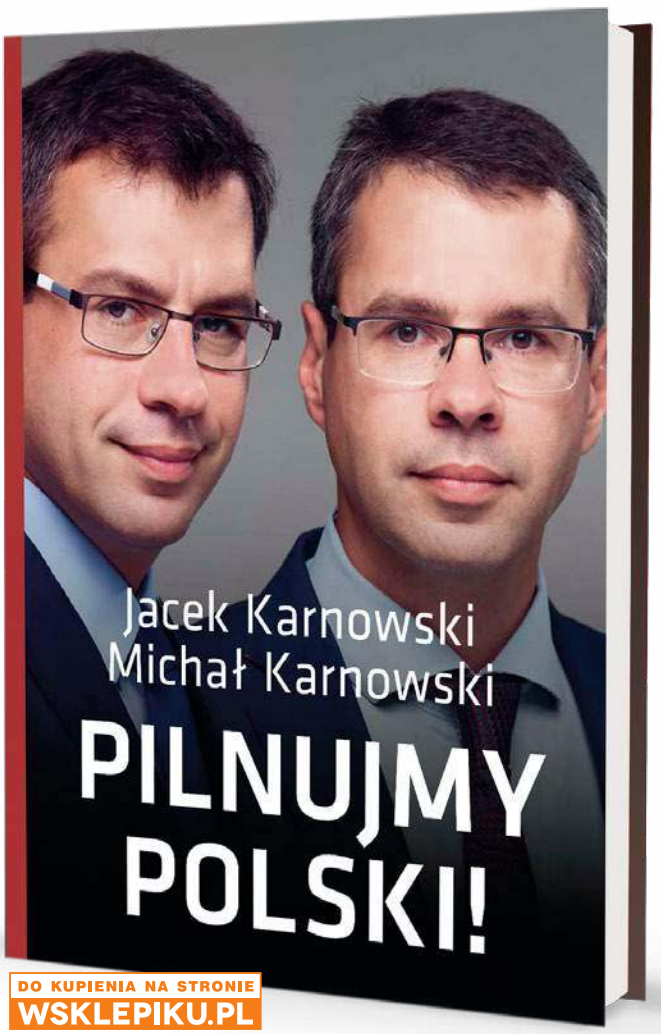

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ŻELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 121 455 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

eprasa.pl 7313dec8fb

Polska obudziła się

Sformułowania „polskie obozy śmierci" i „polskie obozy koncentracyjne" to wierzchołek historycznego zakłamania. Powszechność tego kłamstwa pokazuje, jak bardzo państwo polskie zawiodło w obronie podstawowych prawd. Nie pojmuję tej bezradności elit III RP. Patrzyli na to i nic nie robili. Teraz przynajmniej świat wie, że te sformułowania to kłamstwa

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Patrykiem Jakim, wiceministrem sprawiedliwości

I jaki jest bilans tego 10-dniowego polityczno-historycznego sporu?

Patryk Jaki: Jestem przekonany, że bilans będzie, a precyzyjniej mówiąc: już jest, pozytywny. To rodzaj katharsis, oczyszczenia. Mocne przełamanie. Wstrząs. Już wiemy, jak popsuty jest wizerunek Polski. Ale wiemy też, co robić. Gdyby tego punktu, przez który właśnie przeszliśmy, nie było, nasze dzieci byłyby za 20 lat wytykane na świecie palcami jako te współodpowiedzialne za Holokaust. A tak musimy stanąć w prawdzie, mamy szansę przywrócić światu prawdę o Polsce w czasie II wojny światowej.

Tusk i opozycja grzmią: to wy przez nieporadność rozpropagowaliście pojęcie „polskie obozy śmierci".

Tak? To skąd te tysiące artykułów z tym terminem przed naszą ustawą? Skąd te słowa w ustach prezydenta Stanów Zjednoczonych Baracka Obamy w 2012 r.? Skąd badania prof. Kieżuna

eprasa.pl 7313dec8fb

z letargu

Fot. Andrzej Wiktor

(w Kandzie 80 proc. jego klasy wskazała Polaków jako odpowiedzialnych za obozy śmierci)? Ale żeby naprawdę zrozumieć, co się stało i co się dzieje, musimy się trochę cofnąć w czasie.

Spróbujmy.

Po 1989 r. nasze elity liberalno-lewicowe, które rządziły przez zdecydowaną większość tego okresu, podjęły decyzję o prowadzeniu polskiej polityki historycznej na fundamencie pedagogiki wstydu. Zgodziły się, że o polskiej historii będzie opowiadał np. Jan Tomasz Gross, który mówił, że Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców. I jaka była reakcja wspomnianego establishmentu? Sprostowanie? Odrzucenie? Nie. Promocja i pochwały.

Podobnie było po filmie „Pokłosie".

To tak, jakby Niemcy uznali, że ich towarem eksportowym w polityce historycznej będą obozy koncentracyjne. Nie zrobili tego. Podkreślam: jestem jak najdalszy od tego, by zakazywać mówić o nieprzyjemnych kartach naszej historii, prowadzić badania, ale ograniczanie całej narracji historycznej do tego tematu, wydawanie na to worków publicznych pieniędzy jest i nieuczciwe, i niemądre. Efektem takiej postawy było narastające na świecie przekonanie, skojarzenie, że Polska odpowiada za Holokaust, co jest piramidalną bzdurą.

Jakie powinno być to przekonanie?

Prawda – Polska jako państwo, a Polacy jako naród potrafili się przeciwstawić i niemieckim nazistom, i rosyjskim komunistom. Byliśmy narodem bohaterów, a nie zbrodniarzy; ofiar, a nie katów. Jak ludzie odpowiadający za Polskę przez ćwierćwiecze, rządzący nią, mogli doprowadzić to wszystko do stanu, w którym wszystko jest widziane na świecie na opak? Jak można było nie reagować na postępujące z roku na rok przypisywanie nam współodpowiedzialności za zbrodnie na Żydach? Pozwolić na zapomnienie o polskich ofiarach? Patrzeć, jak profesjonalna niemiecka polityka historyczna rozmywa własną odpowiedzialność?

Jakieś dowody?

Kiedy u nas finansowano film „Pokłosie", oni opowiadali światu, jak to walczyli dzielnie z nazistami. Kiedy u nas promowano Grossa, w Niemczech kręcono serial „Nasze matki, nasi ojcowie" opowiadający o młodych, wrażliwych żołnierzach niemieckich i dzikich, antysemickich akowcach. Sformułowania „polskie obozy śmierci" i „polskie obozy koncentracyjne" to wierzchołek tego zakłamania. Powszechność tego kłamstwa pokazuje, jak bardzo państwo polskie zawiodło w obronie podstawowych prawd historycznych. Nie pojmuję tej bezradności elit III RP. Patrzyli na to i nic nie robili. Mam zresztą wrażenie, że im to odpowiadało.

W jakim sensie?

Taki był cel uprawianej powszechnie pedagogiki wstydu. Polak miał się wstydzić własnej przeszłości, miał być jak najdalszy od dumy narodowej. Bo taki Polak był podatny na manipulacje, łatwy do ustawienia w szeregu, wrażliwy na pouczenia przez wielkich tego świata, w tym media. Oni wiedzieli, że tylko młodzi Polacy mający poczucie ciągłości historycznej z II Rzeczpospolitą i oporem wobec Niemców oraz komunistów, byli zdolni zdemaskować, zrozumieć i odrzucić brudne układy leżące u podstaw III RP. Bez tej dumy i wolności, jaką daje siła płynąca z historii, było to niemożliwe.

Brakowałoby aparatu pojęciowego? Punktu odniesienia?

Tak. Plan radykalnego ograniczenia historii, proponowany przez

eprasa.pl 7313dec8fb

Platformę w 2012 r., był bardzo świadomym krokiem w tym kierunku. Edukacja odcinająca korzenie tożsamości narodowej miała budować pokolenie młodych Polaków, dla których akceptowalne będą układy III RP, a mglista będzie wizja silnego państwa.

Opór inteligencji polskiej, w tym wielu znakomitych profesorów, którzy podjęli nawet głodówkę, częściowo to zniweczył. Ale ma pan rację, że to był punkt przełomowy. Prof. Andrzej Nowak powiedział nam kiedyś, że wtedy wielu Polaków zrozumiało, iż oni chcą nas po prostu wynarodowić.

Między innymi z tego wyrosła zmiana roku 2015. Polacy zrozumieli, że straty mogą być nieodwracalne. Dziś widzimy kolejne zagrożenie, związane z postrzeganiem Polski i Polaków na świecie. Musimy odbudować fundamenty, odrzucić tę pedagogikę wstydu narzucaną przez establishment, który sprywatyzował sobie państwo.

Powtórzmy: ten establishment twierdzi, że wskutek waszej działalności sformułowanie „polskie obozy" zostało spopularyzowane.

Jest odwrotnie. Niemieckie MSZ, sekretarz stanu USA, najważniejsze gazety na świecie – mimo często chłodnego stosunku do ustawy – wszędzie dużymi literami podkreślały, że nie było czegoś takiego jak „polskie obozy śmierci". Depesze największych agencji światowych przedstawiały racje strony polskiej, zmuszając wszystkich do refleksji. Z każdym dniem tej wojny stawało się jasne, że to jest czerwona linia, której przekraczać nie wolno. Mamy coraz więcej wypowiedzi – w prasie, ale i ze strony najważniejszych polityków – podkreślających, że Polacy mają prawo protestować przeciwko takim określeniom, że to potworne kłamstwo. Każdy, kto chciał zrozumieć, opisać, o co chodzi Polakom, musiał przyznać, że istotą sprawy jest nasza niezgoda na przypisywanie nam sprawstwa Zagłady i organizacji niemieckich nazistowskich obozów śmierci. I to się w tysiącach miejsc pojawiło.

Taka twarda lekcja?

Nie planowaliśmy tego w taki sposób, ale taki jest finał. Oczy dziennikarzy z całego świata skupiły się przez te kilka dni na Polsce i nasza niezgoda na kłamstwo „polskich obozów" mocno wybrzmiała. Oczywiście często w towarzystwie innych zarzutów, nieprawdziwych, o próbę blokowania badań naukowych czy chęć ukrycia jakichś własnych grzechów. Ale jednak świat mocno usłyszał, że nie było żadnych polskich obozów.

To, co jest w wielu mediach aktem oskarżenia, ten medialny szum, pan widzi jako pozytyw?

Inaczej: zwracam uwagę na także pozytywne konsekwencje. Moja teza jest taka, że to kiedyś i tak by wybuchło. Nasycenie kłamstw o roli Polski i Polaków w czasie II wojny światowej gęstniało, aż doszło do wybuchu. Zapalnikiem była ustawa, ale mogło to być cokolwiek. W tym trudnym momencie zdołaliśmy się przebić z komunikatem, o co nam naprawdę chodzi. Ale są też pozytywy wewnętrzne: przechodzimy rodzaj rekolekcji historycznych, także Polacy uświadamiają sobie konieczność troski o prawdę, chęć poznawania historii. Widzą, jak daleko mogą się posunąć kłamcy, jeżeli się nie reaguje. Warto przywołać słowa Józefa Piłsudskiego: jeśli sami nie napiszemy własnej historii, inni napiszą ją za nas.

To był też główny argument, który przywołał prezydent Andrzej Duda, ogłaszając swoją decyzję o podpisaniu nowelizacji ustawy o IPN. Mówił, że trzeba chronić dobre imię Polski i Polaków. Zdecydował jednak o tzw. następczym wysłaniu ustawy do Trybunału Konstytucyjnego, co nie wstrzymuje jednak wejścia jej w życie. Jak pan ocenia tę decyzję głowy państwa?

To dobra decyzja. Pokazuje precyzyjnie, o co Polakom w tej sprawie chodzi. Z jednej strony, że chcemy uciec od tej polityki wstydu i jesteśmy zdeterminowani, nie ugniemy się pod żadnym szantażem. Z drugiej – że jesteśmy otwarci na debatę w tej sprawie, nie boimy się oceny i sprawdzenia naszych projektów. Byłem w środku tej sprawy i bolą mnie zarzuty, całkowicie nieprawdziwe, jakoby Polska świadomie wywołała tę awanturę, na użytek wewnętrzny. To nie jest prawda. Skierowanie tej ustawy do Trybunału podkreśla, że nigdy nie baliśmy się rozmowy o tej ustawie. Było odwrotnie – to strona izraelska zaprzepaściła wiele szans, momentów przekonania nas do własnych obaw. Właściwie nie podjęto takiej próby na serio.

Panie ministrze, protesty były głośne na cały świat.

Ale przede wszystkim składane za pośrednictwem mediów. Nawet jeśli, w co nie wierzę, uchwalenie ustawy przez Sejm rzeczywiście zaskoczyło stronę izraelską, to miała jeszcze całą paletę możliwości, by poprosić stronę polską o zatrzymanie tematu, wysłuchanie argumentów, przełożenie głosowania. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Ba! Do dzisiaj nie ma żadnej noty w tej sprawie, żadnego oficjalnego pisma z ambasady Izraela. Nawet nie próbowano, ale od razu wciśnięto czerwony guzik i uderzono medialno-polityczną bombą atomową. To też pokazuje, że to nie jest nasza wina. My od początku tonowaliśmy nastroje, a na scenie izraelskiej pojawiło się wiele wypowiedzi nasyconych antypolonizmem.

Strona izraelska kontaktowała się z panem w czasie ostatniego roku?

Tak. W ostatnim roku czterokrotnie spotkałem się z panią ambasador lub jej zastępcą. Ani razu nie podjęto na tych spotkaniach kwestii nowelizacji ustawy o IPN. Interesowano się głównie kwestiami związanymi z ustawą reprywatyzacyjną, która była przecież na zdecydowanie wcześniejszym etapie prac legislacyjnych niż ustawa o IPN i do dzisiaj nie została przesłana z rządu do parlamentu. Przecież to jasny sygnał do strony polskiej: nie mamy już wątpliwości.

Są tacy, którzy sugerują: trzeba było samemu zapytać.

Czyli rozumiem, że przed uchwaleniem ustawy polscy ministrowie mają dzwonić do ambasad różnych państw i pytać, czy na pewno te zgadzają się na ich przyjęcie? Przecież to by była

eprasa.pl 7313dec8fb

Byłem w środku tej sprawy i bolą mnie zarzuty, całkowicie nieprawdziwe, jakoby Polska świadomie wywołała tę awanturę, na użytek wewnętrzny. To nie jest prawda

Fot. Andrzej Wiktor

degradacja państwa. Jeśli Izrael ma uwagi do ustawy, to jest to ich obowiązek, aby je zgłosić. Jeśli podczas czterech kolejnych spotkań nie zgłaszają tych wątpliwości, to jest wina strony polskiej.

Może nie wziął pan pod uwagę, że kwestie związane z Holokaustem są wyjątkowo drażliwe.

I właśnie dlatego zrobiliśmy wyjątek i wyłączyliśmy z ustawy badania naukowe oraz artystyczne. Takich wyłączeń nie ma w przypadku penalizacji również w polskim prawie tzw. kłamstwa oświęcimskiego. Co oznacza, że poszliśmy dalej niż przyjęty w Polsce schemat. Po uzupełnieniu ustawy i po serii tłumaczeń strony polskiej, jak to wpływa na całość przepisów, protesty ambasady Izraela ustały i tak przez rok nie były zgłaszane w oficjalnych rozmowach u źródła. Proszę zobaczyć: w 2006 r., gdy przyjęto te same przepisy, nie było ani konsultacji ze stroną izraelską, ani wyłączeń w badaniach. Co oznacza, że teraz dochowaliśmy dużo większej staranności. Czasem jednak są zjawiska od nas niezależne, tj. wewnętrzne uwarunkowania polityki w Izraelu, co przyznała sama pani ambasador.

Były szef MSZ pan Witold Waszczykowski stawia to jednak inaczej i mówi: mój resort ostrzegał, moje uwagi zlekceważono.

Nie chcę wchodzić teraz w taką dyskusję wewnątrzrządową. Wystarczy jednak spojrzeć na ustawę o działach administracji rządowej, by dostrzec, że konsultowanie ustaw z placówkami dyplomatycznymi nie jest obowiązkiem Ministerstwa Sprawiedliwości.

Ale uwagi ze strony MSZ były.

Były do MS i do Sejmu. Szczególnie w 2016 r. MSZ zgłaszało ryzyko związane z pracami naukowymi i działalnością artystyczną. Większość była pochodnymi protestów IHRA (International Holocaust Remembrance Alliance). Te uwagi zostały uwzględnione, ustawę zmieniono, dodano fundamentalne wyjątki dotyczące prac naukowych i artystycznych. IHRA odstąpiła od krytycznego stanowiska, które miała przyjąć na szczycie w Rumunii. Potem czas leci. Uwagi przy spotkaniach ze stroną izraelską nie są powtarzane. Nie ma żadnego telefonu, listu, ostrzeżenia z ambasady Izraela. Zwróćmy uwagę: jest projekt w porządku obrad, który jest znany publicznie – nie ma żadnych sygnałów z Izraela. Trwa debata w Sejmie po Komisji – nie ma żadnych sygnałów z Izraela. Trwa trzecie czytanie – nie ma żadnych sygnałów z Izraela. Nawet po uchwaleniu nowelizacji przez Sejm, to jest piątek 26 stycznia, nie ma żadnych protestów. Nawet telefonu do kogokolwiek z nas – mimo że mamy swoje komórki.

Wszystko zaczyna się później od ostrego tweeta polityka izraelskiego Yaira Lapida, konkurenta premiera Beniamina Netanjahu. Ten decyduje się odpowiedzieć jeszcze ostrzej w odniesieniu do Polski. Sama pani ambasador Anna Azari przyznała w jednym z wywiadów, że lider opozycji uderzył, więc i rząd musiał uderzyć. Czyli oni sami przyznają, że nie chcieli Polski atakować, ale zmusiła ich do tego sytuacja wewnętrzna w Izraelu.

I tu widzi pan polski błąd – w niedostrzeżeniu napięcia na izraelskiej scenie politycznej?

Tak. Choć śledzenie wewnętrznej polityki w Izraelu to nie jest moje zadanie. Na pytanie o przyczyny wybuchu tego konfliktu odpowiedź nie leży po naszej stronie. To w Izraelu podjęto taką decyzję, w mojej opinii z innych niż sama ustawa powodów. Skoro przyjęcie takiego samego przepisu w 2006 r. i podobnych w wielu krajach UE nie spowodowało żadnych protestów.

Może trzeba było w ustawie napisać precyzyjnie: używanie skrajnie zakłamanego terminu „polskie obozy śmierci" jest przestępstwem, i na tym skończyć ustawę?

Oczywiście analizowaliśmy i takie rozwiązanie. Szybko się okazało, że dla ludzi, którzy chcą świadomie pomawiać Polskę, byłby to sygnał, jak można to robić bezkarnie. Wystarczyłoby używać innych kłamstw, na przykład o „polskich komorach gazowych". Albo przypisać nam dowolną niemiecką zbrodnię. I już to prawo byłoby martwe. Wtedy, jestem pewien, za jakiś czas wszyscy śmialiby się: ależ to Ministerstwo Sprawiedliwości głupie, dali się podejść jak dzieci. Ten obecny przepis jest naprawdę dobrze, optymalnie napisany. Jest to odwzorowanie już obowiązującego w polskim prawie, w tej samej ustawie, zapisu o tzw. kłamstwie oświęcimskim.

eprasa.pl 7313dec8fb

W rządzie były inne pomysły na brzmienie tego przepisu?

Nie. Ustawa była przez półtora roku znana i konsultowana, nikt nie proponował innego zapisu. Bo wszyscy wiedzą, że to jest optymalne. Takie konstrukcje prawne, takie zapisy istnieją w większości państw europejskich. Przykład – art. 248 ust. 2 austriackiego Kodeksu karnego: kto publicznie i nienawistnie obraża lub dyskredytuje Republikę Austrii lub jeden z jej krajów związkowych, kara: do roku pozbawienia wolności. Dalej art. 90a niemieckiego Kodeksu karnego: penalizacji podlega obrażanie lub złośliwe wyrażanie pogardy wobec Niemiec lub jednego z jej krajów związkowych – do trzech lat więzienia.

Premier Jan Olszewski mówił jednak, że obecna ustawa to „bubel prawny", że penalizowane powinno być konkretne określenie. Zacytujmy: „Grossa, który będzie twierdził, że prowadził działalność naukową, kiedy przeciwnicy twierdzą, że jest paszkwilantem. Sąd tego nie rozstrzygnie".

Bardzo szanuję pana premiera Olszewskiego, ale tu nie ma racji. Nam właśnie nie chodzi o karanie Grossa, bo celem nie jest penalizacja opisów poszczególnych sytuacji, badań, nawet jeżeli autorzy we wnioskach przerysowują. Tym się nie zajmujemy. Ten przepis dotyczy zakazu przypisywania narodowi polskiemu jako całości, i państwu polskiemu, sprawstwa Holokaustu. Ale pojawia się tu jeszcze jeden wątek, często spotykany w innych wypowiedziach: że nie da się rzekomo stwierdzić, czy coś jest badaniem naukowym, czy nie. Otóż nie jest to prawda. Analizowaliśmy ten aspekt w ministerstwie bardzo dokładnie i jasno wynika, że są wyraźne kryteria określające, czy coś jest badaniem naukowym, czy nie. Zawsze sąd może też powołać biegłych, którzy to stwierdzą.

Tę obawę można wyrazić jeszcze inaczej: że to się skończy jak z obrazą uczuć religijnych. Te sprawy niemal zawsze kończą się, pod rozmaitymi pretekstami, uniewinnieniem.

Fot. Andrzej Wiktor

To są poszczególne decyzje sądów i na to nigdy nie mamy wpływu. Możemy jednak sięgnąć do linii orzecznictwa w sprawach dotyczących kłamstwa oświęcimskiego i zobaczyć, że to działa, sądy potrafią ocenić, czy coś jest kłamstwem oświęcimskim, czy nie. Tu kluczowe jest sformułowanie w przepisie, że kto „wbrew faktom" przypisuje narodowi polskiemu te zbrodnie, podlega karze. Te „fakty" w orzecznictwie są określane jako elementy bezsporne, istniejące ponad wszelką wątpliwość. Nie mówimy zatem o dyskusji o tym, co się działo w czasie okupacji w mieście X czy Y, ale o sprawy niezaprzeczalne, takie jak to, że nie było „polskich obozów zagłady", że państwo polskie nie organizowało Holokaustu, bo było w podziemiu i na uchodźstwie, a czyniło to państwo niemieckie, okupujące ziemie polskie.

Odwróćmy zatem pytanie – kiedy ten przepis mógłby zostać użyty?

Kiedy ktoś zacznie bredzić o „polskich komorach gazowych", których nie było, jakimś „polskim SS odpowiedzialnym za Holokaust" etc. Takie artykuły prasowe zresztą pojawiają się na świecie, mówił o tym na posiedzeniu komisji sejmowej wiceminister spraw zagranicznych Jan Dziedziczak.

A artykuł, takie już zresztą były, o tym, że jednak jako naród współodpowiadamy za zbrodnię Holokaustu?

To zawsze będzie badane w kontekście, w jakim te słowa padły. W mojej ocenie – tak, to byłoby złamanie nowego prawa. Ale ja nie jestem prokuratorem.

Są też opinie jeszcze radykalniejsze: po co ustawa, kary, lepiej edukować, wyjaśniać.

Tak robiliśmy przez dekady. I efekt każdy widzi gołym okiem. Każdy chyba słyszał zdanie o „polskich obozach śmierci" padające z ust b. prezydenta USA czy b. szefa FBI, które usłyszało miliony ludzi. Potem powszechniało w różnych publikacjach. Trzeba było coś z tym zrobić.

Dopytamy: może jednak trzeba było to jeszcze przedyskutować, by przyjęcie ustawy nastąpiło w momencie rozwiania wątpliwości?

Tak mogło być, choćby w Senacie. My nigdzie się nie spieszyliśmy, ustawa była przygotowywana spokojnie i długo, a parlament miał pełne prawo ją jeszcze skorygować. Kiedy jednak próbowano Polskę szantażować, kierownictwo polityczne państwa polskiego uznało, że nie będzie zgody na takie metody. Ostatecznie prezydent zdecydował, że jeszcze ustawie powinien się przyjrzeć Trybunał. Choć w mojej opinii te przepisy są wzorowane na rozwiązaniach od dawna obecnych w polskim i europejskim prawie.

Duże emocje wzbudził termin przyjęcia ustawy, w przeddzień wyzwolenia obozu Auschwitz, który jest Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu.

Termin był przypadkowy, wynikał z kalendarza prac parlamentarnych.

eprasa.pl 7313dec8fb

Pewnie byłby inny, gdyby ktokolwiek miał świadomość, że dla strony izraelskiej to nadal, pomimo dodania wyjątków o pracach naukowych i działalności artystycznej, jakiś problem. Wszyscy uważali, że kłopotem są możliwe reakcje ukraińskie, to był ważny dla tej sprawy kontekst. Zresztą, uważam Izrael za poważne, sprawne państwo, które bez wątpienia śledzi prace legislacyjne w polskim parlamencie, obserwuje, co znajduje się w porządku obrad. To też był moment na ewentualną reakcję. Nic takiego nie nastąpiło.

A potem – burza.

Opowiem panom pewne zdarzenie z tych dni, które dobrze pokazuje, jak bardzo ten atak był zaskakujący. Otóż tuż przed uroczystościami w Auschwitz, gdzie ambasador Anna Azari wystąpiła ze swoim protestem, dosłownie kilkadziesiąt minut wcześniej zadzwonił do mnie urzędnik z otoczenia premiera. Powiedział, że dostał sygnał, iż to wystąpienie będzie zawierało atak na projekt ustawy, który wyszedł z Ministerstwa Sprawiedliwości. I on, i ja byliśmy przekonani, że chodzi o ustawę reprywatyzacyjną! Bo to o nią Izraelczycy intensywnie dopytywali i dopytują, o niej z nami rozmawiali wielokrotnie. Przypomniałem więc szybko, jaka jest idea reprywatyzacji, którą proponujemy, o jakie pieniądze chodzi, dla kogo i dlaczego to tak ważne. A tymczasem atak poszedł w zupełnie innym kierunku.

Może tak naprawdę chodzi jednak o reprywatyzację? Opinię publiczną zadziwiła informacja, że przedstawiciele ambasady izraelskiej byli zaniepokojeni pracami komisji weryfikacyjnej badającej złodziejską reprywatyzację w stolicy, która ma rzekomo zagrażać interesom obywateli izraelskich.

Rzeczywiście, moje pierwsze spotkanie z ambasador Anną Azari dotyczyło tej sprawy. Pani ambasador zgłosiła zaniepokojenie, stwierdziła, że na pracy tej komisji obywatele Izraela mogą tylko stracić. Z czym ja się nie zgadzam, bo mafia kradnąca te kamienice żerowała w dużej mierze na mieniu pożydowskim. Kamienica przy Noakowskiego 16, w której przejęciu wzięła udział rodzina Hanny Gronkiewicz-Waltz, jest dobrym tego przykładem. Kolejne nasze spotkanie dotyczyło już ustawy reprywatyzacyjnej, której projekt przygotowało Ministerstwo Sprawiedliwości.

> W ostatnim roku czterokrotnie spotkałem się z panią ambasador Izraela lub jej zastępcą. Ani razu nie podjęto na tych spotkaniach kwestii nowelizacji ustawy o IPN. Interesowano się głównie ustawą reprywatyzacyjną

Powtarzamy pytanie: może to o to chodzi?

Na pewno pytanie, czy naprawdę chodziło o ustawę o IPN, czy też o coś zupełnie innego, jest uzasadnione. W mojej opinii sprawa jest jasna: musimy tę sprawę załatwić, jak zrobiły to inne państwa Europy Środkowej, bo bez tego będziemy nadal okradani. Już dzisiaj państwo jest często bezbronne wobec tych oszustw, a co będzie, gdy zjawią się tu jeszcze poważniejsi, międzynarodowi gracze? Na każde spotkanie z ambasadorami brałem z sobą zdjęcie doszczętnie zburzonej w czasie wojny Warszawy. I mówię: „To zostało po wojnie. Warszawę Polacy odbudowali od zera. W ramach umów międzynarodowych już zapłaciliśmy miliardy. I nadal mamy płacić?”.

Przygotowaliście dobry, sensowny, równy dla wszystkich projekt. I co z nim się dzieje?

Jest w kancelarii premiera. Mam nadzieję, że projekt nie zostanie uboczną ofiarą tej awantury.

Na koniec pytanie osobiste: popełnił pan jakiś błąd w tej sprawie?

Zawsze w takiej sytuacji należy to przemyśleć. Nie miałem rozeznania w wewnętrznej sytuacji w Izraelu. Może też nie powinienem aż tylu spraw brać na siebie. Ale też proszę o zrozumienie. W naszym środowisku silne jest wspomnienie z lat 2005–2007, z okresu, kiedy pierwszy raz otrzymaliśmy szansę naprawiania państwa polskiego, czynienia go silniejszym. Potem przez lata zadawaliśmy sobie często pytanie: a może można było zostać w biurze jeszcze te kilka godzin w nocy i zrobić dla państwa coś więcej? Dzisiaj też mamy poczucie, że czas mija, że niestety nikt inny pewnych spraw nie załatwi. Ja odpowiadam za program reformy systemu penitencjarnego, modernizację służby więziennej, buduję szkołę wyższą Służby Więziennej, by ta służba, domykająca system bezpieczeństwa państwa, była superprofesjonalna. Uruchomiłem Instytut Kryminologii, Muzeum Żołnierzy Wyklętych na Rakowieckiej w Warszawie, odbudowałem system dozoru elektronicznego, program ochrony zwierząt, rejestr pedofilów, pracowałem nad nową ustawą komorniczą, wdrożyłem projekt „Praca dla więźniów”, który zwiększył zatrudnienie skazanych o 60 proc. (!) Kieruję pracą komisji weryfikacyjnej, przygotowaliśmy wspomniany już w tej rozmowie projekt ustawy reprywatyzacyjnej. Plus sprawy bieżące, sprawy budżetowe ministerstwa, inwestycje.

O jedną sprawę za dużo?

Każda warta poświęcenia. Ale podchodzę do siebie krytycznie: może wziąłem o jedną sprawę za dużo. Choć z drugiej strony bilans tej bitwy jest jednak pozytywny. Sądzę, że za wiele lat dzięki temu liczba użycia sformułowania „polskie obozy śmierci” drastycznie spadnie i stosowanie ustawy będzie niepotrzebne. Polska obudziła się z letargu i zmienia myślenie o swojej polityce historycznej. Dzięki tej sprawie trwa pełna mobilizacja państwa – od dyplomacji, przez fundacje, Polonię, po nowoczesne narzędzia komunikacji. Wreszcie.

eprasa.pl 7313dec8fb

Kanclerz Helmut Kohl w Jerozolimie w 1984 r.

Fot. EastNews/Associated Press

Nieczyste sumienie

„Historia to jest to, w co ludzie wierzą, a wierzą w to, co im przekazują media: z prawdą historyczną ma to niewiele wspólnego" – ten cytat z monachijskiego dziennika „Süddeutsche Zeitung" świetnie obrazuje, dlaczego walka przeciwko używaniu określenia „polskie obozy zagłady" jest słuszna

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Skąd wziął się termin „polskie obozy", dokładnie nie wiadomo. Po raz pierwszy miał zostać użyty przez Jana Karskiego, który próbował zawiadomić Zachód o zbrodniach Niemców. W 1944 r. Karski opublikował artykuł pod tytułem „Polish Death Camps" w amerykańskim piśmie „Collier's". Chodziło mu oczywiście o geograficzne położenie obozów, a nie o to, że są polskie. Tuż po wojnie o „polskich obozach" pisała w swojej książce „Medaliony" także Zofia Nałkowska. Znalazło się ono jako określenie geograficzne również we wspomnieniach węgierskiego Żyda Eugene'a Weinstocka pod tytułem

eprasa.pl 7313dec8fb

„Za ostatnią ścieżką". Trudno tym autorom jednak zarzucić fałszowanie historii, zarówno bowiem Nałkowska, jak i Weinstock sprawców zbrodni wojennych nazywają jednoznacznie „Niemcami", a nie jak dziś stało się to powszechne „nazistami". Wówczas, gdy pamięć o niemieckich zbrodniach była wciąż żywa, „polskie obozy" rzeczywiście mogły stanowić rodzaj skrótu myślowego.

Dziś natomiast „polskie obozy", łączone z rzekomym antysemityzmem Polaków, mają stworzyć wrażenie współpracy polskiego narodu z III Rzeszą w eksterminacji Żydów. Jest to zabieg prosty i niesłychanie skuteczny: wina poprzez asocjację. Obozy były w Polsce. Polacy byli antysemitami. Wnioski nasuwają się same.

ŚWIADOMA MANIPULACJA?

Na łączeniu Polski z zagładą Żydów wizerunkowo wydają się korzystać najbardziej Niemcy, dlatego pojawiła się teza, że „polskie obozy" to wynalazek zachodnioniemieckiej służby wywiadowczej, która pod koniec lat 40. XX w. do swoich szeregów wcieliła setki dawnych pracowników Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (SD), SS, Gestapo, Abwehry, Tajnej Policji Polowej, a także oficerów Wehrmachtu. Późniejszy Bundesnachrichtendienst (BND) nazywał się wówczas jeszcze Organisation Gehlen, a kierował nią niemiecki generał brygady Reinhard Gehlen, w czasie wojny jeden z najważniejszych oficerów Hitlera na froncie wschodnim. Amerykanie postanowili posłużyć się Gehlenem do stworzenia siatki wywiadowczej w zachodnich strefach okupacyjnych, niemiecki oficer bowiem kierował w czasie wojny rozległą i dobrze zorganizowaną grupą nazistowskich szpiegów działających na szkodę Armii Czerwonej i ZSRR. Gehlen i jego „gestapo boys" znów zbierali informacje o Sowietach, tym razem dla Amerykanów, oraz trudzili się działalnością kontrwywiadowczą, czyli nadzorowali aktywność sowieckich szpiegów w amerykańskiej strefie. W tym celu została utworzona tzw. agencja 114 (Generalvertretung L) kierowana przez Alfreda Benzingera, byłego sierżanta Tajnej Policji Polowej. Benzinger i jego ludzie, a byli wśród nich liczni zbrodniarze wojenni, z wielkim zapałem tropili konie trojańskie bolszewizmu w nowo powstającym RFN.

Jak twierdzi m.in. Leszek Pietrzak na łamach „Do Rzeczy", to Gehlen, Benzinger i Co. mieli się posłużyć semantyczną manipulacją i wprowadzić do medialnego obiegu termin „polskie obozy koncentracyjne" oraz zmienić Niemców w „nazistów", by zdjąć odium Holokaustu z Bundesrepubliki. Problem w tym, że dowodów na to nie ma. W 2011 r. BND postanowił się rozliczyć ze swoją „brunatną" przeszłością i uruchomił komisję historyków, którzy przekopali się już przez setki akt i sporządzili liczne raporty o działalności Gehlena i jego „gestapo boys". Nie ma w nich mowy o „polskich obozach koncentracyjnych", ani nawet dowodów na to, że Benzinger i jego ludzie zajmowali się tym tematem. OG działała w tym okresie zresztą pod ścisłym nadzorem CIA. Istniała wprawdzie wówczas komórka, która zajmowała się Polską i Czechosłowacją – agencja 120 pod kierownictwem byłego dowódcy SS Hermanna Wondraka. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że Wondrak i jego ludzie uczestniczyli w kreowaniu polityki historycznej. Nie oznacza to oczywiście, że tak nie było, biorąc pod uwagę starania Amerykanów, by zrobić z dawnej Rzeszy „jak najszybciej" nowoczesne, demokratyczne państwo. Nie mając jednak dostępu do akt BND z tego okresu, z których zresztą ostało się zaledwie 10 proc., trudno z pełną powagą stawiać taką tezę.

> Niemieccy historycy otwarcie poszukują dziś współwinnych Holokaustu w ramach „prześwietlenia europejskiego wymiaru masowego mordu"

Historia powstania BND pokazuje jednak, jak w powojennych Niemczech traktowano w końcu nie tak odległą przeszłość. Denazyfikacji nie było, a zbrodnię Holokaustu przykryto płaszczykiem milczenia. II wojna światowa zakończyła się całkowitym moralnym i politycznym bankructwem Niemiec. Nic z tego, co obowiązywało do 1945 r. w sensie politycznym, nie miało przyszłości. Niemcy jako naród byli tego świadomi, stąd ogromna gotowość wśród elit, by zdystansować się od przeszłości. Niegdysiejsi zwolennicy Hitlera szybko zmienili barwy i zakasali rękawy, by odbudować kraj. Rozliczenia nie było. Wielu dawnych działaczy NSDAP wylądowało w zachodnioniemieckiej SPD, FDP i CDU i piastowało polityczne urzędy nawet do lat 80. XX w. Wspólnotę milczenia, która nastała po 1945 r. i którą akceptowały wszystkie partie polityczne, Niemcy uznają do dziś za niezbędną cenę sukcesu demokracji i budowy niemieckiego modelu dobrobytu. Federalna struktura państwa, utrudniająca koncentrację władzy, została Niemcom narzucona przez zachodnich aliantów, podobnie jak „patriotyzm konstytucyjny", który miał zastąpić ciągoty narodowe. Podział na dwa wrogie ideologicznie obozy, RFN i NRD, sprzyjał zmowie milczenia.

Antyfaszyzm, który stał się ideologią państwową NRD, negował własną winę, ponieważ wynikało to z oficjalnej definicji nazizmu. Uznawano go za produkt imperializmu i kapitalizmu. Dominowało wówczas przekonanie, że ponieważ Niemcy przegrali wojnę, stracili część swojego terytorium, są ofiarami. Niemieckie powojnie to więc okres poszukiwania normalności – uwolnienia od ciężaru historii. Według niemieckiego historyka Götza Aly'ego pierwsze pokolenie powojenne w Niemczech dorastało w „osobliwym chłodzie, w zamrożonych warunkach". „Co innego miało zrobić pokolenie »Sieg Heil«? Jego zbrodnie były tak potworne, że natychmiastowa konfrontacja z nimi była niemożliwa. Kanclerz Konrad Adenauer znakomicie to rozumiał. Potrzebna była terapeutyczna śpiączka" – twierdzi historyk w wywiadzie z dziennikiem „Die Welt" i zaznacza, że „jeśli ktoś urodził się w 1947 r. to

eprasa.pl 7313dec8fb

z 95-procentowym prawdopodobieństwem jego ojciec był w Wehrmachcie i popełniał zbrodnie wojenne albo był ich świadkiem". „Jedna trzecia ojców była członkami NSDAP. O tym się nie mówiło" – przekonuje.

ZMOWA MILCZENIA

Ta zmowa milczenia została przełamana wraz z tzw. procesem oświęcimskim, który toczył się między 20 grudnia 1963 a 10 sierpnia 1965 r. przed sądem we Frankfurcie nad Menem. Na ławie oskarżonych miał zasiąść ostatni komendant obozu Richard Baer (zmarł on jednak przed rozpoczęciem procesu) w towarzystwie innych członków załogi obozu, w tym lekarzy i sanitariuszy SS, a także członków obozowego Gestapo. Wyroki wypadły łagodnie, ale medialny cyrk wokół procesu skutecznie wybudził Niemców z letargu. „Ten proces skonfrontował ich po raz pierwszy po wojnie ze zbrodniami Holokaustu. Pamiętam, że w szkole pokazali nam wtedy film o górach trupów w Oświęcimiu, Bergen-Belsen i Buchenwaldzie. Przy kolacji rodzice zapytali mnie, jak było w szkole. Gdy im powiedziałem, zesztywnieli. Nie spodziewali się, że będą musieli się jeszcze zmierzyć z tą przeszłością. Podobne sceny odbywały się wówczas w tysiącach niemieckich domów" – wspomina Götz Aly.

Temat niemieckiej winy został podchwycony przez pokolenie '68 pod hasłem „wywietrzenia starego zaduchu". Rozpoczęła się historyczna wiwisekcja, szczegółowy ogląd każdego aspektu kolektywnej zbrodni. Ta wiwisekcja ścierała się jednak z wciąż silną potrzebą zapomnienia w społeczeństwie. Zdaniem Götza Aly'ego rozliczenie z historią przerosło Ruch '68. „Szybko przestaliśmy się zajmować narodowym socjalizmem i zajęliśmy się faszyzmem. Faszyzm był bowiem zjawiskiem światowym, czyhał w Iranie u szacha, w Waszyngtonie, w Sajgonie i w Afryce Południowej. Był uniwersalny i nie miał nic wspólnego z naszymi rodzicami. Projektowaliśmy naszą traumę na innych i dbaliśmy o to, by ci inni znajdowali się co najmniej 6 tys. km od nas, czyli w bezpiecznej odległości" – podkreśla historyk w rozmowie z „Die Welt".

Zagładę, aż do procesu Eichmanna w 1961 r., objęto także w Izraelu milczeniem. Znany izraelski historyk Tom Segev dokumentuje w swojej książce „Siódmy milion. Izrael – piętno Zagłady" obojętność syjonistycznych przywódców w Palestynie wobec Shoah oraz instrumentalne traktowanie tej tragedii. Kraj, którego powstanie miało być zadośćuczynieniem za eksterminację Żydów w Europie, potrzebował opowieści o walecznych bohaterach, a nie o ofiarach masowego mordu. Według rozpowszechnionej wśród syjonistów wykładni europejscy Żydzi zginęli właśnie dlatego, że odrzucali syjonizm i budowę Państwa Izrael. Nie skorzystali z okazji ucieczki, gdy była ona możliwa. Okazywano im pogardę za słabość i brak woli walki. „Złe traktowanie ocalonych, pogarda, brała się po pierwsze z przekonania, że ci, którzy przeżyli, zrobili to kosztem innych ofiar Zagłady. Poza tym Żydzi powinni byli wyjechać z Europy wcześniej, przed wojną. Zostając, pozwalając się zabić, zaszkodzili Państwu Izrael, bo mieli stać się jego obywatelami" – tłumaczy Segev. W pierwszych latach po wojnie dyskutowano jeszcze o Judenratach, o żydowskich kapo w obozach. Słynny łowca nazistów Szymon Wiesenthal uważał ich za takich samych kolaborantów, jak współpracownicy Hitlera z Francji czy Holandii. Byli dla niego zdrajcami, ludźmi nikczemnymi. Gdyby nie ich działania – dowodził – zginęłoby znacznie mniej Żydów. Wiesenthal poza tym uważał Zagładę za zbrodnię wymierzoną nie w naród żydowski, ale w całą ludzkość.

Ta narracja uległa radykalnej zmianie pod rządami pierwszego premiera Izraela Davida Ben Guriona. Jak twierdzi Boas Evron, publicysta dzienników „Haaretz" i „Yedioth Ahronoth" w swojej książce „Żydowskie państwo czy żydowski naród? („Jewish State or Israeli Nation?"), „w obliczu braku pozytywnej więzi narodowej w wielokulturowym izraelskim tyglu, do którego stale przybywali ocaleli z Europy, Ben Gurion chciał oprzeć świadomość narodową celowo na negatywnym fundamencie koszmaru Shoah". Na solidarności w obliczu wrogiego Żydom otoczenia i wszechobecnego antysemityzmu. Było to konieczne także dlatego, że Ben Gurion chciał dokonać zbliżenia z Niemcami i uzyskać od nich rekompensatę. Izraelski premier widział w umowie z Adenaurem szansę na wyrwanie młodego państwa z gospodarczej zapaści. Mimo sprzeciwu części Knesetu i ostrych protestów na ulicach Jerozolimy Ben Gurion przeforsował w 1952 r. umowę reparacyjną z Republiką Federalną Niemiec, która dostarczyła Izraelowi w ciągu następnych 12 lat dobra i usługi o wartości ponad 700 mln dol. By odeprzeć zarzut wybaczenia Niemcom ich zbrodni, co zarzucali Ben Gurionowi zarówno politycy prawicy, jak i lewicy, potrzebna była narracja przypominająca Izraelczykom oraz światu o Holokauście i milionach jego żydowskich ofiar.

EICHMANN W JEROZOLIMIE

Wielki medialny show, jaki urządzono przy okazji procesu Adolfa Eichmanna, stanowił ważny element tej narracji. Hannah Arendt, która śledziła proces na zlecenie pisma „New Yorker", zarzuciła Ben Gurionowi, który osobiście redagował mowę oskarżycielską prokuratora Gideona Hausnera, że zorganizował proces nie po to, by pokazać, co zrobił Eichmann, tylko, by podkreślić wyjątkowość zbrodni Holokaustu. Jak napisała Arendt w swojej książce „Eichmann w Jerozolimie" („Eichmann in Jerusalem") na ławie oskarżonych nie zasiadał wówczas jeden człowiek, tylko „antysemityzm na przestrzeni historii". „Prokurator sugerował otwarcie, że Eichmann nie był zwykłym kryminalistą, tylko wykonawcą określonego z góry losu. Zbrodniarze wojenni w Norymberdze nie byli sądzeni za zbrodnie przeciwko Żydom, tylko przeciwko wielu narodom" – dodała Arendt, odnotowując zmianę, która dokonała się w świadomości Żydów i miała się zakotwiczyć w ich kolektywnej pamięci. Arendt wspomniała w „Eichmannie w Jerozolimie" także o kolaboracji Żydów z Niemcami, zaczynając od syjonistów i kończąc na Judenratach, które miały dostarczać Niemcom szczegółowe listy żydowskiego majątku do skonfiskowania. „Prawda jest taka, że gdyby Żydzi byli niezorganizowani i nie mieli przywódców, panowałby w czasie wojny wprawdzie chaos i nędza, ale liczba ofiar nie oscylowałaby między 4 a 6 mln"

eprasa.pl 7313dec8fb

Premier Izraela David Ben Gurion (po lewej) rozmawia z kanclerzem RFN Konradem Adenauerem, 14 marca 1960 r.

Fot. East/News/Associated Press

– pisała. Tego zdania Żydzi jej nigdy nie wybaczyli. Liga przeciw Zniesławieniu nazwała „Eichmanna w Jerozolimie" książką „złowrogą i banalną", a pismo „Jewish Spectator" określiło Arendt „Żydówką, która nienawidzi samej siebie oraz Państwa Izrael".

Tym sposobem niebywała tragedia Holokaustu stała się dla Żydów drugą religią. Strzeżoną niezwykle pieczołowicie, obecną w wychowaniu i edukacji. Polityka historyczna zbudowana wokół wizerunku „narodu ofiar zbrodni" wzmacnia politycznie Państwo Izrael i stanowi oś integracji narodowej. Jak pisze żydowska feministka Kim Chernin na łamach liberalnego pisma „Tikkun", wśród Żydów panuje przekonanie, że „są zawsze w niebezpieczeństwie, i zawsze byli". „Prowadzi to do trwania na stanowisku, że każdy krytycyzm jest atakiem i doprowadzi do naszej zagłady. Jest to zakorzenione w przeświadczeniu, że jakakolwiek negatywna opinia o Żydach (albo Izraelu) stanowi oznakę antysemityzmu" – pisze Chernin. Według niej Żydzi „wciąż czujnym okiem patrzą na zewnątrz, odczytują znaki, wyczuwają insynuacje, zbierają dowody, są zawsze strażnikami przetrwania swojego ludu".

Pierwszym z dogmatów tzw. religii Holokaustu jest przekonanie, że był on zbrodnią nieporównywalną z żadną inną w historii ludzkości, zbrodnią najbardziej okrutną i najbardziej straszną. Po drugie, Żydzi byli ofiarą absolutnie niewinną w przeciwieństwie do innych ofiar. Po trzecie, zagłada Żydów w gruncie rzeczy była realizowana przez całą ludzkość. Mimo że zaplanowali i prowadzili ją niemieccy naziści, to jednak chętnie przyłączali się do nich Polacy, Węgrzy czy inne narody. Czwarty dogmat zakłada, że źródłem niemieckiego nazizmu był chrześcijański antyjudaizm, który przerodził się w antysemityzm. To chrześcijaństwo zaraziło cały świat wrogością do Żydów. Konsekwencją tych dogmatów jest twierdzenie, że wszyscy ludzie, także ci, którzy cierpieli pod niemiecką okupacją, m.in. Polacy, mają krew na rękach.

NAZIŚCI Z KOSMOSU

Podczas gdy Żydzi budowali swoje państwo wokół pamięci o Zagładzie, w kraju potomków Goethego i Schillera rozgorzał spór historyków, o to jak należy traktować nazistowską przeszłość Niemiec. Część historyków otwarcie postulowała relatywizację wydarzeń z lat 1933–1945, argumentując, że pamięć o Holokauście nie pozwala RFN prowadzić swobodnej, a przede wszystkim „samodzielnej" polityki. Liberalno-lewicowi historycy, jak Wolfgang Mommsen czy Jürgen Habermas, dopatrywali się w działaniach niektórych polityków, m.in. kanclerza Helmuta Kohla, który w 1984 r. mówił w Izraelu o „łasce późnego urodzenia", „starań o zakończenie debaty wokół nazistowskiej przeszłości Niemiec za pomocą metody grubej kreski". W 1985 r. Kohl wywołał skandal, gdy wraz z prezydentem USA Ronaldem Reaganem odwiedził cmentarz wojskowy w Bitburgu, gdzie byli pochowani członkowie Waffen SS. Jak twierdzili wówczas niektórzy niemieccy historycy, Kohl chciał w ten sposób doprowadzić do „denazyfikacji pamięci" poprzez wspólne wspominanie niemieckich i amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli w II wojnie światowej.

eprasa.pl 7313dec8fb

Historyk Heinrich August Winkler wręcz zarzucił Kohlowi, że „chce dokonać normalizacji tej wojny jako wojny europejskiej oraz ustawić Niemcy na równi z zachodnimi aliantami". „Można tu rozpoznać główny element polityki zagranicznej i historycznej Kohla: wysiłek na rzecz odzyskania politycznej suwerenności poprzez więź z Zachodem, a tym samym stopniowe dojście do współpracy z sojusznikami na poziomie oczu, jak równy z równym. Niemiecka przeszłość była główną przeszkodą na drodze do tego celu. Zaprzeczanie tej przeszłości byłoby bezcelowe i nie to było intencją kanclerza. Musiał więc wymyślić wiele symbolicznych gestów, które przy niekwestionowanym uznaniu tej przeszłości jednocześnie doprowadziłyby do zmniejszenia dramatyzmu ówczesnych wydarzeń i pozwoliłyby Niemcom wyjść z pozycji pokory i pokuty, symbolizowanej przez uklęknięcie Brandta w Warszawie" – mówił wówczas historyk Claus Leggewie.

Można powiedzieć, że „polityka pamięci" Kohla okazała się wyjątkowo skuteczna. Rozliczenie z przeszłością uległo rytualizacji, ustanowiła się procedura wyznania winy, pokuty i pojednania. Kohl w połowie lat 80. spodziewał się upadku komunizmu. Zjednoczenie Niemiec rysowało się już dość wyraźnie na horyzoncie. Dlatego relatywizacja niemieckich zbrodni, osadzenie ich w kontekście „wielkiej europejskiej wojny" było takie ważne. Niemiecki kanclerz miał świadomość, że ze względu na historię „Berlińska Republika" będzie dla niektórych partnerów Niemiec trudna do przyjęcia.

Tak słowo „naziści" powoli zaczęło wypierać „Niemców" w publicznym dyskursie, w prasie i przemówieniach polityków. Historycy zaczęli się zajmować własnym losem i własnymi ofiarami, czego owocem były m.in. film „Upadek" i serial „Nasze matki, nasi ojcowie". Prezydent Niemiec Joachim Gauck w 2015 r. w 70. rocznicę zakończenia II wojny światowej złożył hołd poległym żołnierzom sowieckim. Bo wyzwolili Niemców... „spod jarzma nazizmu". W przemówieniu kanclerz Angeli Merkel z okazji obchodów 70. rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego w Dachau słowo „Niemcy" nie padło ani razu. Chodzi jednak o to, że wojny nie rozpętało „nazistowskie kierownictwo", lecz Niemcy. Kiedyś było to oczywiste także dla samych Niemców. Przecież historia nie przetaczała się po prostu ponad głowami niczego nieświadomych, czystych jak łza jednostek. Jak pisze amerykański historyk Robert Gellately w swojej książce „Wspierać Hitlera" („Backing Hitler") „Niemcy wiedzieli o obozach koncentracyjnych". Historyk przekopał się przez archiwa niemieckich gazet i odkrył, że obóz koncentracyjny w Dachau miał nawet „dzień otwartych drzwi", a okoliczni mieszkańcy byli z niego dumni. „W jednym z artykułów chwalą się, że budowa obozu pozytywnie wpłynęła na miejscowy biznes. Niemcy w takim tempie denuncjowali Żydów, że Gestapo nie nadążało" – pisze Gellately. Szczegółowe roztrząsanie niemieckiego losu – wypędzeni, masowe gwałty na Niemkach dokonane przez Sowietów – doprowadziło do tego, że krzywda i cierpienie są w dzisiejszych Niemczech dziedziczne, odpowiedzialność już nie, a poczucie wstydu zanikło w pewnych kręgach niemal zupełnie. Natomiast pojawiło się wielu badaczy „nieczystego sumienia Polaków" chcących rzekomo „przemilczeć mroczne rozdziały własnej historii". Po latach tropienia faszyzmu i objawów antysemityzmu w Niemczech nadeszła kolej na wymuszenie podobnej kolektywnej ekspiacji na innych narodach.

> Konsekwencją „religii" Holokaustu jest twierdzenie, że wszyscy ludzie, także ci, którzy cierpieli pod niemiecką okupacją, m.in. Polacy, mają krew na rękach

EUROPA PRZECIWKO ŻYDOM

Niemieccy historycy otwarcie poszukują dziś współwinnych Holokaustu, w ramach – jak pisze tygodnik „Die Zeit" – „prześwietlenia europejskiego wymiaru masowego mordu". Wyżej wymieniony Götz Aly wydał w 2017 r. książkę pod tytułem „Europa przeciwko Żydom" („Europa gegen die Juden"), w której wyjaśnia, że Zagłady nie da się wytłumaczyć tylko za pomocą niemieckiej historii, bowiem „wszędzie panował wówczas antysemityzm, szczególnie we wschodniej Europie". Ten antysemityzm miał przygotować nazistom grunt.

Można – należy nawet – zapytać, po co Niemcy to robią? Po pierwsze, bo Niemcy swą zbrodniczą przeszłość zaczęli traktować instrumentalnie, jako zobowiązanie moralne do bycia wzorem otwartości i tolerancji (vide refugees welcome). Szczegóły tej przeszłości stały się więc odległym tłem, które coraz bardziej się rozmywa. Po drugie, przeszłość ta nie pasuje do państwa, które chce być dziś postrzegane jako lider zjednoczonej Europy. Jako główny bastion demokracji liberalnej. Do kraju sukcesu, sympatycznego i otwartego.

Uniwersalizacja Shoah uprawiana przez Żydów idealnie wpasowuje się przy tym w obecną niemiecką kulturę pamięci. Jeśli wszyscy byli antysemitami i chcieli się pozbyć Żydów, to „polskie obozy" nie są takie dalekie od prawdy, a w każdym razie nie należy o to kruszyć kopii. Niemiecki soft power okazał się przy tym na tyle skuteczny, że nawet w anglojęzycznych gazetach trudno odnaleźć dziś odniesienia do „Niemców", gdy jest mowa o II wojnie światowej. Zastąpili ich naziści, a sformułowania „Polish Death Camp" użył sam prezydent USA Barack Obama podczas odbywającej się w 2012 r. w Białym Domu uroczystości uhonorowania Jana Karskiego Prezydenckim Medalem Wolności. Relatywizacja niemieckich win jest przy tym – wbrew zapewnieniom Niemców – jak najbardziej celowym zabiegiem. Zaprzeczyć tej przeszłości się nie da, ale można zmienić jej percepcję, wpłynąć na pamięć o niej – i dokładnie to Niemcy robią.

eprasa.pl 7313dec8fb

Wojna o pamięć

Egzekucja Polaków przygodnie złapanych przez gestapo na rynku w Sosnowcu, 1939 r.

Przez kilkadziesiąt lat udało się zmienić na świecie wizerunek Polaków: z ofiar ludobójstwa we współsprawców Holokaustu

GRZEGORZ GÓRNY

Tuż po upadku komunizmu ówczesny minister kultury Austrii Erhard Busek zwrócił się do polskich polityków w słowach, których sens można streścić następująco: „Macie ogromny kapitał, którym jest wasza historia, a zwłaszcza postawa Polaków w czasie II wojny światowej. Wiele narodów w Europie ma moralnego kaca z powodu swego zachowania w tamtych czasach. Wy nie macie powodów do wstydu, lecz do dumy. Nie zmarnujcie tego kapitału". Erhard Busek, rocznik 1941, wiedział dobrze, co mówi, bo wychował się w cieniu tamtych wydarzeń.

ŚMIERĆ PRZYCHODZI Z NIEMIEC

W latach 1939–1945 Polska padła ofiarą morderczego eksperymentu, którego niejeden kraj mógłby nie przeżyć. Napadnięta została z dwóch stron i rozszarpana przez dwa agresywne mocarstwa, reprezentujące najbardziej ludobójcze reżimy w historii. Już jesienią 1939 r. okupanci rozpoczęli akcję eksterminacyjną mającą na celu likwidację polskiej inteligencji jako klasy społecznej. Na podstawie przygotowanych wcześniej list aresztowano działaczy społecznych, prawników, lekarzy, urzędników czy przedsiębiorców i mordowano ich w zbiorowych miejscach kaźni. Ich jedyną winą była przynależność do „polskiej warstwy przywódczej". Przypominało to operację

Fot. Muzeum Niepodległości/East News

eprasa.pl 7313dec8fb

lobotomii dokonaną na żywym organizmie. Naród bez elit miał się zamienić w bezwolną masę.

Dla tej masy Niemcy utworzyli parakolonialny twór – Generalną Gubernię, w której traktowali miejscową ludność gorzej niż niegdyś w swych afrykańskich koloniach. Odebrali jej jakiekolwiek prawa obywatelskie i poddali procesowi kulturowej degradacji. Zamknęli wszystkie uniwersytety, szkoły średnie, muzea, archiwa i biblioteki. Nakazali skonfiskowanie wszystkich radioodbiorników, a za słuchanie radia groziła kara śmierci. Kulturträgerzy znad Renu i Szprewy traktowali cudzą własność jak swoją, rabując niezliczoną ilość dzieł sztuki, z których 0,5 mln do dziś nie wróciło do Polski. W końcu po co stadu bydła obrazy Bruegla czy Rafaela?

Po polsku można było się uczyć jedynie w szkołach podstawowych, liczących zaledwie cztery klasy, w których miano opanować umiejętność czytania, pisania i najprostszych rachunków. Przedmioty takie jak geografia czy historia były zakazane. Po co więcej niewolnikom przeznaczonym do prac dla „rasy panów"?

Był czas, gdy kilkudziesięciomilionowy naród nie miał we własnym języku wykładowym ani jednej szkoły wyższej i miał zaledwie jedną średnią – w Balatonboglár na Węgrzech. Na ziemiach zagarniętych przez Stalina również prowadzono bowiem politykę depolonizacji. Niemcy oraz Sowieci prześcigali się w terrorze wobec ludności polskiej i właściwie trudno powiedzieć, który z tych reżimów był straszniejszy. I jedni, i drudzy przeprowadzali masowe egzekucje i wywózki do obozów. Jakakolwiek próba oporu była bezwzględnie karana. Hitlerowcy wprowadzili zasadę odpowiedzialności zbiorowej i za każdego zabitego Niemca mordowali kilkudziesięciu niewinnych Polaków. Miało to paraliżować wolę walki.

Na terenach wcielonych bezpośrednio do III Rzeszy Niemcy odebrali majątki i wypędzili domów 2 mln Polaków. Kolejne 2 mln Polaków trafiło na przymusowe roboty do Niemiec, gdzie pracowali w przemyśle lub rolnictwie, nie otrzymując za to zapłaty. 27 kwietnia 1940 r. na rozkaz szefa SS Heinricha Himmlera założono obóz koncentracyjny Auschwitz, przeznaczony początkowo dla polskich więźniów. Dopiero później zaczną trafiać do niego Żydzi. Stał się on największym cmentarzyskiem Polaków w historii – zginęło ich tam ok. 70 tys.

O ile Niemcy uważali Polaków za „podludzi", którym wyznaczali los niewolników, o tyle Żydów sytuowali na jeszcze niższym szczeblu drabiny rasowej i traktowali jak insekty, które należy wytępić. Uruchomiona przez nich machina ludobójstwa pełną parą zaczęła pracować po ataku na ZSRS. „Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej" przewidywało zlikwidowanie wszystkich osób tej narodowości lub uważanych za takie.

Holokaust był częścią większego projektu, tzw. Generalnego Planu Wschodniego, opracowanego w 1941 r. i przewidującego po wymordowaniu 11 mln Żydów wytępienie 51 mln Słowian i Bałtów. Zniknąć miało 80–85 proc. Polaków, a pozostała część miała służyć jako niewolnicy dla 10 mln niemieckich kolonistów. W latach 1942–1943 Generalplan Ost zaczęto realizować na Zamojszczyźnie, ale przerwały go działania wojenne.

NA RATUNEK ŻYDOM

Polska była jedynym okupowanym narodem w Europie, który nie kolaborował z Hitlerem. Poniosła z tego tytułu olbrzymie straty. Życie straciło ok. 6 mln obywateli Rzeczypospolitej (w tym połowa pochodzenia żydowskiego). Wyrazem niezłomności ducha stał się fenomen unikalny w skali kontynentu – Podziemne Państwo Polskie z własnymi strukturami konspiracyjnymi, łącznie z tajnym wojskiem, czyli Armią Krajową. Zarówno ono, jak i rząd RP na wychodźstwie w Londynie od początku potępiały niemieckie ludobójstwo na Żydach i starały się informować o tym rządy oraz społeczeństwa innych krajów. Niestety raporty w tej sprawie były przez przywódców wolnego świata ignorowane.

Na Zachodzie za pomoc Żydom nie groziła kara śmierci, u nas – tak. Odpowiedzialność za to rozciągała się na wszystkich domowników, więc Niemcy za ukrywanie zbiegów z getta potrafili wymordować całe rodziny, łącznie z dziećmi. Dwaj Holendrzy, którzy w Amsterdamie dali schronienie Annie Frank, przeżyli wojnę – jeden trafił na sześć tygodni do aresztu, a drugi wylądował w obozie. W okupowanej Polsce za taki czyn zostaliby na miejscu rozstrzelani razem ze swymi najbliższymi. W tym kontekście zastanawiające jest to, że zarówno w Polsce, jak i w Holandii udało się uratować od ludobójstwa taki sam odsetek ludności żydowskiej, choć tu i tam wiązało się to z nieporównywalnymi konsekwencjami.

Oczywiście w każdym podbitym narodzie znajdują się ludzie, którzy zdradzają ojczyznę, współpracują z okupantami i budują na tym swą pozycję. Podczas wojny należeli do nich m.in. szmalcownicy, którzy zarabiali pieniądze na wyłapywaniu Żydów i wydawaniu ich w ręce Niemców. Polskie władze konspiracyjne surowo potępiały ten proceder i przewidywały za szmalcownictwo karę śmierci. Trudno było w ówczesnych warunkach wyegzekwować to prawo, ale część wyroków udało się wykonać.

W 1942 r. Polskie Państwo Podziemne stworzyło Żegotę – jedyną tego typu konspiracyjną organizację w okupowanej Europie, zajmującą się pomaganiem Żydom. Historycy obliczają, że aby uratować jednego zbiega z getta, potrzeba było zaangażowania 10 osób. Nie wiadomo dokładnie, ilu Polaków ratowało Żydów, ale historycy szacują, że mogło ich być od 300 tys. do nawet 1 mln.

NOWY PARADYGMAT HISTORII

Koniec II wojny światowej nie oznaczał dla Polaków wolności. Kraj zniewolony został przez komunistyczny reżim przywieziony ze wschodu na sowieckich czołgach. Znów nastał czas terroru, odmierzany przez aresztowania, procesy pokazowe i egzekucje. Dotychczasowi sojusznicy, zachodni alianci, bez większych oporów zaakceptowali ten stan rzeczy. Już w 1943 r. w Teheranie Churchill i Roosevelt ustąpili Stalinowi, wyrażając zgodę, by Polska znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. Kiedy w 1945 r. odbyła się konferencja założycielska ONZ w San Francisco, nie zaproszono na nią nikogo z Polski, choć obecni byli tam reprezentanci Socjali-

eprasa.pl 7313dec8fb

stycznych Republik Sowieckich Białorusi i Ukrainy, traktowani jak przedstawiciele niepodległych państw. Gdy 8 czerwca 1946 r. doszło w centrum Londynu do wielkiej defilady zwycięstwa, zabrakło na niej polskich żołnierzy, mimo że Siły Zbrojne RP były czwartą co do wielkości armią sojuszniczą, liczniejszą nawet od francuskiej i walczącą na różnych frontach: od Norwegii po Afrykę Północną.

Pozbawiony podmiotowości naród nie był w stanie się upomnieć o swe interesy, ignorowane przez wielkie mocarstwa. Zatrzaśnięta za żelazną kurtyną Polska została odcięta od kulturowego krwiobiegu Zachodu. Przez kilkadziesiąt lat nie uczestniczyła więc w intelektualnych sporach i historycznych debatach, które odbywały się w wolnym świecie. Jak wiemy zaś z praktyki, nieobecni nie mają racji.

W tym czasie wzrosła rola polityki historycznej, traktowanej jako element budowania pozycji państw na arenie międzynarodowej. Szczególnym polem konfrontacji stała się pamięć o II wojnie światowej. Niemcy, które w 1945 r. były najbardziej znienawidzonym narodem na świecie, wykonały olbrzymią pracę, aby to zmienić. Jednym ze sposobów okazała się zmiana narracji historycznej, w której miejsce Niemców jako ludobójców zajęli bliżej nieokreśleni, pozbawieni narodowości naziści. Oni z kolei mieli swoich współpracowników wywodzących się już z konkretnych nacji. Wśród tych wspólników zbrodni wymieniani byli Ukraińcy, Litwini, Słowacy, Węgrzy czy Rumuni. Polaków nie odważano się w tym gronie wymieniać, póki żyła jeszcze generacja pamiętająca tamte czasy. Na to przyjdzie czas na początku XXI w.

Paradygmat historyczny zmienił się także w Izraelu. Powstałe w 1948 r. państwo żydowskie od początku oparte było na ideologii syjonistycznej, wynoszącej na piedestał siłę oraz tężyznę fizyczną osadników i pionierów. Nie było w niej miejsca na słabe, bezwolne ofiary ocalałych z Holokaustu. Zmieniło się to dopiero po procesie Eichmanna. W obliczu słabnięcia tradycyjnego judaizmu oraz syjonizmu to właśnie pamięć o Shoah stała się centralnym elementem budowania współczesnej tożsamości historycznej oraz integracji narodowej Żydów.

Wojna siedmiodniowa w 1967 r. przyspieszyła ten proces. W Izraelu otoczonym przez wrogich sąsiadów i zagrożonym likwidacją przez państwa arabskie główną dewizą stało się hasło: „Nigdy więcej Shoah". Pamięć o Holokauście miała mobilizować nowe pokolenia Izraelczyków do obrony własnego państwa jako jedynego gwaranta, że nie powtórzy się ludobójstwo. W tej optyce cała Europa przedstawiana była jako miejsce niebezpieczne dla Żydów, najbardziej niebezpieczna zaś była Polska, ponieważ tam zginęło ich najwięcej.

> Już jesienią 1939 r. okupanci rozpoczęli akcję eksterminacyjną mającą na celu likwidację polskiej inteligencji. Naród bez elit miał się zamienić w bezwolną masę

W miarę jak odchodziło pokolenie bezpośrednich świadków wojny, narracja zmieniała się coraz bardziej. Sprzyjała temu rosnąca ignorancja społeczeństw Zachodu. Rabin Byron Sherwin wspominał, że w latach 90. zapytał licealistów żydowskich w Chicago, jak ich zdaniem wyglądało życie w getcie warszawskim. Odpowiedzieli mu, że: 1. nikt nie miał własnego pokoju, 2. nie było oddzielnych łazienek, 3. była tylko czarno-biała telewizja, 4. nie było klimatyzacji, 5. nie było przekąsek między posiłkami, 6. każdy miał tylko dwie pary dżinsów.

NOWY WIZERUNEK

W takim klimacie pojawiały się dzieła, które wpisywały się w nowy paradygmat, przedstawiając Polaków w niekorzystnym świetle, jak powieść „Malowany ptak" Jerzego Kosińskiego czy filmy „Shoah" Claude'a Lanzmanna lub „Shtetl" Mariana Marzyńskiego. Wywoływały one gorące debaty, w których strona polska nie była obecna. W rezultacie utrwalał się negatywny wizerunek Polaków jako współsprawców i beneficjentów Holokaustu.

Nową jakość przyniosły już po upadku komunizmu książki Jana T. Grossa „Upiorna dekada", „Sąsiedzi" i „Strach", które odbiły się szerokim echem na Zachodzie. Wyłaniał się z nich obraz Polaków jako patologicznych antysemitów, szmalcowników, ludobójców i grabieżców żydowskiego mienia. Polska edycja „Strachu" wydana przez Znak w 2008 r. została okrojona w porównaniu z amerykańskim oryginałem. Wykreślono z niej fragmenty mówiące o rytualnych mordach dokonywanych przez polskie duchowieństwo na żydowskich dzieciach, o grabieniu żydowskich majątków jako społecznie akceptowanej normie w Polsce czy o polskiej zmowie z nazistami w kwestii eksterminacji Żydów. Redaktorzy Znaku zdali chyba sobie sprawę, że tak ordynarne kłamstwa u nas by nie przeszły, ale niezorientowani czytelnicy anglojęzyczni przyjmowali fałszerstwa Grossa jak prawdę historyczną.

W efekcie doszło do sytuacji, którą przewidywał już w 2001 r. ks. prof. Waldemar Chrostowski. Otóż zauważył on, że na świecie zmienia się wizja II wojny światowej dotycząca stosunków w trójkącie Niemcy–Polacy–Żydzi. Gdy żyło jeszcze wielu świadków pamiętających tamte wydarzenia, dominował obraz Niemców jako prześladowców, a Polaków i Żydów jako ofiar. Następnie pojawił się obraz Niemców jako prześladowców, Żydów jako ofiar, Polaków zaś jako świadków. Później zaczęła się utrwalać wizja Niemców i Polaków jako wspólnych prześladowców, a Żydów jako ofiar. Teraz weszliśmy w nową fazę: Żydzi pozostają ofiarami, Niemcy przekształcili się w świadków, a Polacy zostali oprawcami. W tym kontekście sformułowanie „polskie obozy śmierci" staje się więc dla wielu oczywistością. Awantura, jaka wybuchła wokół ustawy o IPN, stwarza szansę, by zmienić ten stan i odkłamać historię. Jeśli nie teraz, to kiedy?

eprasa.pl 7313dec8fb

Kierunek uderzenia nadał opozycji Tusk. Wysłał tweeta, w którym odciął się od twierdzenia, że Polacy są współwinni Holokaustu, ale zaraz dodał, iż winę za zniszczenie wizerunku Polski ponosi rządząca prawica

Oblany test

Międzynarodowa nagonka na Polskę, której najnowszą odsłoną stał się konflikt z Izraelem, to rodzaj sprawdzianu dla opozycji: czy jest ona w stanie, dla dobra własnego państwa, powstrzymać się od ostrej walki politycznej z PiS? Jak na razie opozycja tego egzaminu nie zdała

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Od chwili powstania rządu PiS głoszę pogląd, że jednym z najpoważniejszych problemów jest dziś w Polsce brak opozycji. Bo jeśli definiować opozycję jako przeciwwagę dla rządu, krytycznego recenzenta jego polityki, to dziś w Polsce takiej formacji na dobrą sprawę nie ma. Prawica nie ma partnera, z którym mogłaby prowadzić rzeczową debatę czy polemikę wokół najważniejszych wyzwań stojących przed Polską. Zamiast tego mamy na scenie politycznej kogoś w rodzaju puczystów, którzy nie tylko czekają z utęsknieniem na każde potknięcie znienawidzonej władzy (co jeszcze byłoby zrozumiałe), lecz świadomi swojego nikłego poparcia w kraju coraz gorliwiej szukają sojuszników za jego granicami.

Nie dostrzegają przy tym, że o ile wewnętrzną rywalizację można uznać za spór wokół pytania, jak najlepiej bronić polskiego interesu, o tyle szukanie rozstrzygnięcia tego sporu za granicą jest narażeniem wspólnego interesu na szwank. Bo Polska ma tylko jedną rację stanu, niezależną od tego, kto akurat sprawuje władzę. Próba definiowania naszej racji stanu przy pomocy obcych rządów musi prowadzić do uprzywilejowania ich interesów kosztem polskiego. I tak się właśnie dzieje. Dążenie do obalenia prawicowych rządów okazuje się silniejsze od poczucia odpowiedzialności za własne państwo.

MARZENIE NUROWSKIEJ

Pojawia się tu oczywiście pytanie, czy dla dużej części środowisk opozycyjnych – nie przypadkiem określających się przecież totalną opozycją – dzisiejsza Polska jest ich państwem. Oni sami uwielbiają używać sformułowania „państwo PiS", które nie jest już nawet – jak osławiony „ten kraj" – formą dystansowania się od wspólnoty, lecz deklaracją postawienia się poza jej granicami. W infantylny i absurdalny sposób ujęła to pisarka Maria Nurowska, która pewnego grudniowego wieczora wymarzyła sobie podział Polski na dwa państwa. Wedle jej wizji opozycja miałaby „wziąć tereny od Warszawy na północ, do morza, a elektorat Małego Człowieczka na południe po góry".

Nic zatem dziwnego, że antyszambrowanie w brukselskich korytarzach, domaganie się sankcji przeciwko Polsce, a teraz przyłączanie się do zagranicznej nagonki na „polskich antysemitów i nazistów" nie jest uważane za naganne. To przecież walka z obcym państwem, z pisowską okupacją. Można i tak – gdy cel uświęca środki – ale trudno potem protestować, gdy na prawicy pojawiają się skojarzenia z targowicą. Skojarzenia brutalne i zapewne krzywdzące w odniesieniu do poszczególnych ludzi, ale przecież sami poszkodowani twierdzą, że Polska to „państwo PiS" i że nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

Można powiedzieć, że w tym konflikcie mamy – podobnie jak w sporze polsko-izraelskim – starcie dwóch wykluczających się perspektyw. Przy czym jedna z nich, słabiej reprezentowana w kraju, znajduje się jednocześnie w nurcie dominującym za granicą i utożsamia się z nim bez większych zastrzeżeń – a niekiedy nawet z entuzjazmem.

NAZIŚCI NA ŚNIADANIE

Gdy się okazało, że do walki z prawicowym rządem nie da się zaprząc większości społeczeństwa, główne wysiłki opozycji skupiły się na zmobilizowaniu przeciwko „państwu PiS" zagranicy. Istotą tych działań było jak najszersze zaangażowanie zagranicznych instytucji w proces stanowienia prawa w Polsce pod pretekstem łamania przez PiS demokratycznych standardów. Była to więc w istocie (pomijając już słuszność lub niesłuszność postawionych przez opozycję zarzutów) strategia świadomego pozbawienia się części suwerennych uprawnień państwa w celu wywarcia presji na znienawidzony rząd i zabezpieczenia w przyszłości własnego interesu politycznego.

Jednak tego rodzaju zagraniczną interwencję można było łatwo uznać za niedopuszczalne wsparcie dla jednej ze stron politycznego konfliktu w Polsce, zatem potrzebne było coś więcej – jakiś

Fot. Andrzej Hulimka/REPORTER

eprasa.pl 7313dec8fb

obiektywny czynnik, który pozwalałby przedstawić obce zaangażowanie jako formę obrony uniwersalnych wartości.

Stąd też wzięły się coraz bardziej głośne i gwałtowne oskarżenia o nacjonalistyczną falę, która rzekomo miała – pod auspicjami PiS – wezbrać na niespotykaną dotąd skalę. Przygotowaniem do boju były szeroko kolportowane w zachodnich mediach relacje o 60 tys. faszystów demonstrujących w Warszawie podczas Marszu Niepodległości, które podsycał na łamach „New York Timesa" Jan Tomasz Gross, konfabulując na temat Polaków „domagających się znowu [sic!] czystej krwi" i rozpowszechniając kłamstwa o okrzykach na cześć Ku Klux Klanu, wznoszonych rzekomo w trakcie marszu.

Strategia Grossa była ewidentnie nakierowana na amerykańskiego czytelnika, który doskonale rozumie konotacje z Ku Klux Klanem. Do Grossa, którego zdaniem PiS sytuuje się politycznie „między endecją a ONR", dołączył natychmiast małżeński duet Anne Applebaum i Radosława Sikorskiego. Były minister ocenił, że Marsz Niepodległości potwierdza obraz Polski jako „kraju tępych antysemitów i nacjonalistów", po czym podzielił się anegdotą o swoich amerykańskich znajomych, którzy zapytali go, czy mogą wysłać swojego syna „do kraju, w którym bije się Murzynów".

Dopełnieniem tych oskarżeń stał się wyemitowany niedawno przez TVN reportaż przedstawiający garstkę neonazistów, którzy w lesie oddawali hołdy Hitlerowi. Choć wydarzenie miało ewidentnie marginalny charakter, a rząd podjął natychmiast decyzję o pociągnięciu uczestników tego brunatnego sabatu do odpowiedzialności, liberalne środowiska potraktowały ten reportaż jako kolejny dowód na mocno i z wyraźnie złą wolą naciąganą tezę o faszystowskiej naturze Polaków. Teza, którą wałkowano nawet w śniadaniowym paśmie TVN u Doroty Wellman, została natychmiast rozkolportowana za granicę. Stąd już tylko krok do potwierdzenia domniemanej masowej fascynacji Polaków Hitlerem i komorami gazowymi.

W ten sposób docieramy do rozpętanego wokół nowelizacji ustawy o IPN konfliktu z Izraelem, który – zataczając coraz szersze kręgi – został przyjęty przez sporą chyba część antypisowskiej opozycji jako doskonała okazja do rozprawy z „państwem PiS".

Dla „Newsweeka" kierowanego przez Lisa autorytetem w sporze z Izraelem został polakożerca Jan Tomasz Gross

POSTKOMUNIŚCI OSKARŻAJĄ

Kierunek uderzenia wskazał tu sam Donald Tusk. Po wybuchu konfliktu nadał z Brukseli tweeta, w którym odciął się wprawdzie od twierdzenia, że Polacy są współwinni Holokaustu, ale zaraz dodał, iż winę za zniszczenie wizerunku Polski ponosi rządząca prawica. A zatem – jak można wnioskować – w opinii Tuska należało siedzieć cicho i ignorować przekłamywanie historii, które w ostatnich latach osiągnęło już taką skalę, że zaczęło zagrażać fundamentalnym interesom Polski. Taką interpretację wypowiedzi Tuska potwierdza wniosek PO o odroczenie dyskusji sejmowej nad wprowadzeniem Narodowego Dnia Pamięci Polaków Ratujących Żydów. Pikanterii dodaje tu fakt, że wniosek (odrzucony przez posłów) zgłosiła Iwona Śledzińska-Katarasińska, ta sama, która w 1968 r. publikowała w peerelowskiej prasie antysemickie artykuły.

Podobnym tropem poszła Katarzyna Lubnauer z Nowoczesnej, wskazując jakieś wyliczenia, że po wybuchu konfliktu z Izraelem zwalczane przez Polskę hasło „Polish Death Camps" osiągnęło niespotykaną dotąd liczbę odsłon w internecie. A zatem że rząd, walcząc z tym pojęciem, w istocie je rozpropagował. Pojawiały się też całkowicie bałamutne argumenty, jak u Marcina Mellera w „Newsweeku", że sprzeciwiając się przekłamywaniu historii, obóz rządzący sprawia wrażenie, jakby chciał coś ukryć. A tym, co chce ukryć, jest współudział Polaków w Holokauście.

Bo o tym, że Polacy brali systemowo udział w mordowaniu Żydów, przeciwnicy PiS są przekonani. Początkowo nieśmiało, ale – wraz z eskalacją konfliktu – coraz bardziej otwarcie przyłączali się do kłamliwej nagonki. Marcin Święcicki, poseł PO, a kiedyś sekretarz KC PZPR, w programie telewizyjnym Grzegorza Jankowskiego w Polsacie wprost oświadczył: „Choć nie budowaliśmy obozów śmierci, to mordowaliśmy Żydów", co wywołało oburzenie prowadzącego program, który przypominał o swoim dziadku przerzucającym żywność za mur warszawskiego getta.

Precedens, jakim była wypowiedź Święcickiego, uruchomił kolejne oskarżenia. W ostatnią środę na łamach „Rzeczpospolitej" ukazał się wywiad z Włodzimierzem Cimoszewiczem. Cimoszewicz, były premier i szef dyplomacji oraz – podobnie jak Święcicki – dawny funkcjonariusz komunistycznej partii, stwierdził, że „Polacy brali udział w Holokauście" i dzisiejsze milczenie w tej sprawie rozciąga tę odpowiedzialność na dzisiejsze pokolenie, co brzmi zaskakująco zbieżnie z oficjalną izraelską (i nie tylko izraelską) wersją historii.

eprasa.pl 7313dec8fb

Skądinąd nagła aktywność byłych członków PZPR w temacie „polskiej winy" jest zadziwiająca. Czyżby tkwiła w nich jakaś potrzeba oczyszczenia się, związana z przeszłością własnego środowiska?

ODMIENNY GENOTYP

O ile krzywdzące większość Polaków uogólnienia na temat udziału ich rodziców i dziadków w mordowaniu Żydów wzbudziły dość powszechne oburzenie, o tyle dystansujący się od „prymitywnej, antysemickiej tłuszczy" osobiści wrogowie Kaczyńskiego natychmiast uderzyli się w piersi.

Barbara Nowacka, nieustająca nadzieja lewicy, oświadczyła, że nowelizacja ustawy o IPN i sprzeciwianie się tym samym udziałowi Polaków w niemieckich zbrodniach, „karmi demony antysemityzmu". Paweł Wroński na łamach „Gazety Wyborczej" z gorliwością neofity (wychowany w Kielcach na opowieściach o „Ponurym", do czasu liceum nie wiedział – jak pisze – że w jego mieście doszło do pogromu) oznajmia, że dopiero teraz rozumie, iż Żydom bezpieczniej było za drutami obozu niż pomiędzy Polakami. Po swoją heroiczną autobiografię sięga również niezastąpiony Tomasz Lis, który wspomina, że w marcu 1968 r. miał dwa lata, ale dzisiaj – dzięki PiS – już wie, jak tamten marzec pachniał.

O tym, że tego rodzaju komentarze są wyłącznie instrumentem w walce politycznej z PiS, świadczyć mogą oszczerstwa rzucane przez osoby pokroju Wojciecha Czuchnowskiego z „Gazety Wyborczej". Dziennikarz, wyraźnie nawiązując do zbliżającej się rocznicy Marca '68, obelżywie określił Bronisława Wildsteina mianem żydowskiego „pożytecznego idioty prawicy", co oczywiście nie wywołało żadnej reakcji kierownictwa „GW", tak zwykle bezkompromisowej w walce z przejawami wszelkiej dyskryminacji.

Podobnie w „Newsweeku" wypowiada się Barbara Engelking, była żona Michała Boniego i tropicielka antysemityzmu, ta sama, dla której śmierć Polaka nie może się równać ze śmiercią Żyda (bo dla Żyda śmierć to „metafizyczna tragedia"). Otóż pani Engelking po ustaleniu emocjonalnych różnic między Polakami a Żydami snuje w „Newsweeku" rozważania na temat odmienności osób deklarujących poglądy prawicowe. „Może oni rzeczywiście mają inny genotyp?" – pyta retorycznie. Zaskakująca hipoteza, która nasuwa pytanie, czy pani Engelking przeprowadzała jakieś badania rasowe.

W politycznym zaślepieniu łatwo – jak się okazuje – stosować wobec swoich przeciwników kryteria, które oficjalnie się piętnuje.

* * *

Antypisowska fobia odbiera opozycji instynkt samozachowawczy. Uparte brnięcie pod prąd już nie tylko nastrojów społecznych, lecz wręcz racji stanu, skazuje ją na coraz większą izolację i marginalizację, czego dowodzą ostatnie notowania partii politycznych, w których PiS oscyluje w okolicach osiągnięcia większości konstytucyjnej.

I nie chodzi o to, aby afirmować politykę i decyzje obozu rządowego, ale o rzecz w cywilizowanej debacie fundamentalną – o poszanowanie godności tych, którzy się od nas różnią. To paradoks, że trzeba o tym ciągle przypominać wielu osobom deklarującym się jako lewica i liberałowie. Czy jest to jednak jeszcze dla kogokolwiek zaskakujące?

REKLAMA

17/0118/F

eprasa.pl 7313dec8fb

W 100-lecie odzyskania niepodległości mamy wojnę o niepodległość. Potrzebne są odwaga, mądrość i skuteczność. Polem bitwy są pamięć i wartości, orężem jest kultura

Ekipa filmowa odtwarza prawdziwe zdjęcie rodziny Kowalskich

Fot. Z archiwum autora

Prawda nas wyzwoli

MACIEJ PAWLICKI

Przyczyny propagandowej, dyplomatycznej, prawnej i moralnej wojny, jaką wypowiedziano Polsce, wydają się oczywiste. Izrael zdecydował się ostro zaatakować Polskę, niszcząc budowane od dekad dobre relacje z Polakami. A USA mu na to pozwoliły, ale i same ustawiły się w roli strofującego, posuwając się do kuriozalnego oświadczenia, które sugeruje, że państwo polskie jest odpowiedzialne za nazistowskie zbrodnie.

Zapewne w decyzji Izraela i USA kluczową rolę odegrały amerykańskie środowiska żydowskie. Podczas niemieckiego Endlösung der Judenfrage (Ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej) – mimo apeli polskiego państwa – polskim i europejskim Żydom nie pomogły, ale po ich majątek zgłaszają się ochoczo. Doprowadziły do uchwalenia przez Senat USA ustawy 447 nakazującej zwrot mienia po zamordowanych Żydach (w tym także obywatelach Rzeczypospolitej) organizacjom żydowskim, które nie są ich spadkobiercami. Ustawa jest sprzeczna z prawem polskim, amerykańskim i światowym oraz cywilizacją łacińską opartą na prawie rzymskim, a jednak Senat USA ją

eprasa.pl 7313dec8fb

uchwalił. Trudno nie sądzić, że wojna, którą wypowiedziano Polsce, jest przygotowaniem do zmuszenia Polski, by przekazała organizacjom żydowskim oraz Izraelowi wielomiliardowe „rekompensaty" za zgodne z prawem przejęcie przez Rzeczpospolitą mienia po jej zamordowanych obywatelach.

Drugą przyczyną jest rosnąca pozycja Polski, którą w ten oto sposób przywołuje się na powrót do roli posłusznej kolonii poważnych państw. W operacji bierze cichy udział Rosja, i to właśnie Putin mógł odegrać kluczową rolę w uruchomieniu histerii, w rozmowach z Netanjahu kładąc na stół argumenty, które premier Izraela uznał za warte zrujnowania relacji z większością Polaków. Bo z polskim państwem niekoniecznie, liczy zapewne, że polskie elity znowu się wystraszą, ugną, wycofają. A ta władza wkrótce odejdzie w niesławie antysemitów i znowu porządek zapanuje w Warszawie.

Zniszczenie rodzącej się podmiotowości Polski jest także na rękę Niemcom i będącym ich narzędziem brukselskim urzędnikom. Powstała więc przedziwna antypolska koalicja izraelsko-amerykańsko-niemiecko-rosyjska. Jakież zrządzenie Opatrzności, że w 100. rocznicę odzyskania niepodległości Polska musi o niepodległość znowu walczyć, bo znalazła się w okrążeniu kilku potężnych sił, które chcą ją zmusić do uległości.

LEŚNA MASKARADA

Wygląda na to, że operacja przygotowana została starannie. Kilka poszlak: Yair Lapid, polityk izraelski, który pierwszy ruszył do ataku z okrzykiem „polskie obozy śmierci istniały!", intensywnie zajmuje się przejęciem mienia po zamordowanych Żydach, wspiera Światową Organizację ds. Restytucji Mienia Żydowskiego (WJRO). Jego ojciec Tommy Lapid był przewodniczącym Parlamentarnej Komisji Śledczej ds. Lokalizowania i Restytucji Własności Ofiar Holokaustu (Parliamentary Inquiry Committee for the Location and Restitution of Property of Holocaust Victims). WJRO zgłosiła poprawki do ustawy reprywatyzacyjnej przygotowywanej w Ministerstwie Sprawiedliwości, domagając się zwrotów w naturze lub rekompensat za mienie zamordowanych obywateli Rzeczypospolitej narodowości żydowskiej. Mowa nie tylko o kamienicach, lecz także fabrykach, miejskich działkach i gruntach rolnych. Według „Super Expressu" w grę wchodzi bilion złotych.

Preludium do trwającej nagonki na Polskę były TVN-owskie i zagraniczne relacje z Marszu Niepodległości, na którym grupa prowokatorów wystąpiła z hasłami dającymi pretekst do uznania go za „marsz faszystów". Właścicielem telewizji TVN jest Scripps Networks. W maju 2017 r. trwały negocjacje przejęcia firmy przez Discovery Communications. Trzeba trafu, że wtedy to właśnie dzielni dziennikarze TVN „przeniknęli" do kilkuosobowej grupy „polskich nazistów" i w krzakach urządzili maskaradę pod tytułem polskie urodziny Hitlera.

Finalizacja zakupu TVN przez Discovery nastąpiła kilka tygodni później, a zatwierdzenie transakcji przez Komisję Europejską kilka dni temu. Sfilmowany w krzakach show czekał na swój czas osiem miesięcy. Szef Discovery, czyli właściciel TVN David Zaslav, jest członkiem władz USC Shoah Foundation. Współorganizował International Holocaust Remembrance Day. Jak mówi, jego babcia straciła wszystko w Warszawie. Właściciel TVN jest także członkiem Światowego Kongresu Żydów, który zgłasza podobne co WJRO żądania wobec polskiej ustawy reprywatyzacyjnej.

Wiele jest sygnałów współbrzmienia radykalnych oszczerstw wobec Polski i nasilających się żądań przekazania wielomiliardowego mienia polskich Żydów amerykańskim organizacjom. Najwyraźniej – ogłaszając ustawę w przeddzień uroczystości w Auschwitz – daliśmy się złapać w rodzaj zastawionej na Polskę pułapki, której elementem było utożsamianie polskiej niepodległości z faszyzmem, a Polaków z leśnymi czcicielami Hitlera.

Doszły jednak nowe elementy, jak coraz wyraźniejszy sojusz rosyjsko-izraelski. W Izraelu powstają pomniki Armii Czerwonej, wzrasta pozycja Żydów rosyjskich, stojące w Syrii rosyjskie czołgi robią wrażenie. Słyszeliśmy ten sojusz, gdy po skandalicznym wystąpieniu ambasador Izraela radośnie basował jej ambasador Rosji. A przyklaskuje temu sojuszowi europejska lewica, posuwając się do twierdzeń wstrząsających. Oto Stefanie Schüler-Springorum, szefowa Ośrodka Badań nad Antysemityzmem Uniwersytetu w Berlinie, stwierdziła: „Agresja Polaków przeciwko rządom komunistycznym zawsze była podszyta antysemityzmem". Czyli wiemy już, że Polacy walczyli z komunizmem dlatego, że są antysemitami. I to Polacy objawiali wobec komunizmu „agresję", a nie odwrotnie. Kurtyna.

RYTUAŁ PRZEJŚCIA

Pisałem niedawno na tych łamach, że Polska właśnie odbywa „rytuał przejścia" do grona państw podmiotowych. Wygląda na to, że będzie on jeszcze trudniejszy, niż sądziliśmy. Podmiotowa Polska przeszkadza Niemcom, przeszkadza Rosji, teraz niestety okazuje się, że przeszkadza także Izraelowi. Myślę, że ta operacja jest dla Izraela długofalowo bardzo niekorzystna, ale to nie nasz problem. Polacy zasmakowali niepodległości i państwa, które dba o ich interesy. Ale gospodarczy sukces Polski, której polityka od dwóch lat opiera się na społecznej solidarności, zezłościł także światowych liberałów. Bo to niebezpieczny przykład, że można osiągnąć sukces, zaprzeczając liberalnym dogmatom. Więc lepiej ten eksperyment zakończyć.

Dziś polska niepodległość jest naprawdę zagrożona. Przyczyną wydają się gigantyczne pieniądze miał rację Lech Kaczyński, mówiąc izraelskiej minister edukacji: „Niemcy kupili sobie wasze wybaczenie". Państwo polskie było jedynym na świecie, które w swe wojenne cele wpisało ocalenie Żydów, setki tysięcy Polaków, którzy narażali życie własne i swoich dzieci, by ratować Żydów – to widać za mało. Bo świat o tym nie wie, bo na cały świat można zorganizować hucpę kłamstw, oszczerstw i przemilczeń, która właśnie trwa.

Premier Morawiecki mówi pięknie: „Polska historia jest, a przynajmniej powinna być królową pamięci świata". Polem bitwy jest pamięć, ale przede wszystkim wartości. I polska przyszłość. A orężem kultura. Od 2002 r. – w ślad za

eprasa.pl 7313dec8fb

inicjatorką Komitetu dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów Anną Poraj-Wybranowską z Kanady, za Stefanem Korbońskim, autorem książki „Poles and Jews in World War II", za prof. Tomaszem Strzemboszem, prof. Janem Żarynem, dr Ewą Kurek i wieloma innymi – próbuję państwo polskie zmuszać do aktywności w tej mierze, robiąc filmy, ale nie czas na wyliczanie, co kto zrobił. Zrobiliśmy za mało. Dziś do wykonania jest gigantyczna praca na bardzo wielu polach, i to w bardzo konkretnych harmonogramach.

Zacząć musimy od samego początku. Od tego, że Żydzi wypędzeni z Anglii (1290), Francji (1306, 1394), Hiszpanii (1492), Portugalii (1497) i wielokrotnie z księstw niemieckich (z Mainz czterokrotnie) – osiedlali się w Polsce. Tu dostali prawa i królewskie przywileje. Polski szlachcic za zabicie polskiego chłopa płacił grzywnę, za zabicie Żyda czekała go kara śmierci. Polska była dla Żydów Po-lin – tu odpocznę, miejscem gdzie przez osiem wieków rozwijali swą kulturę. Po utracie przez Polskę niepodległości los Żydów znacznie się pogorszył, zwłaszcza państwo rosyjskie chętnie organizowało pogromy. W znowu wolnej Polsce żyło 3,5 mln Żydów, prowadzono w językach jidysz lub hebrajskim 266 szkół podstawowych, 12 wyższych i 14 zawodowych, było 15 teatrów, wydawano 130 czasopism...

A potem opowieść o niemieckim „ostatecznym rozwiązaniu", polskiej walce, polskiej odwadze i polskiej ofierze. Z przywołaniem słów Arnolda Mostowicza, prezesa Stowarzyszenia Kombatantów Żydowskich: „Żaden naród nie złożył na ołtarzu pomocy Żydom takiej hekatomby ofiar, jak Polacy. Bowiem w wielu krajach okupowanych pomoc ta nie niosła ze sobą żadnego ryzyka".

DZIAŁAJMY

W końcu 2009 r. odbyła się premiera filmu „Historia Kowalskich" w reżyserii A. Gołębiewskiego i mojej. Kilka tygodni wcześniej rozpocząłem namawianie Kancelarii Prezydenta, by spalone przez Niemców żywcem rodziny Kowalskich i Obuchiewiczów oraz zastrzelone rodziny Kosiorów i Skoczylasów prezydent odznaczył Krzyżami Zasługi. Nowość polegała na tym, że Kowalscy, Kosiorowie i inni mieli być pierwszymi Polakami ratującymi Żydów odznaczonymi przez państwo polskie, mimo że wcześniej nie zostali uznani przez Yad Vashem za sprawiedliwych. A więc w tej sprawie prawdziwy początek podmiotowości państwa polskiego. Bo nagrodzonych przez izraelski instytut Sprawiedliwych jest 6 tys., a Polaków, którzy ratowali Żydów, było 100 razy tyle, może jeszcze więcej.

Dwa dni przed premierą zaprosiła mnie minister Ewa Junczyk-Ziomecka i zażądała, bym z końcowej sceny filmu usunął napis mówiący, że Polaków ratujących Żydów mogło być nawet milion. – Profesor Feliks Tych [były szef Żydowskiego Instytutu Historycznego] ma inne zdanie – powiedziała minister. – Te dane są od prof. Tomasza Strzembosza i prof. Jana Żaryna z Instytutu Pamięci Narodowej – odpowiedziałem. – Z takim napisem nikt panu tego filmu na świecie nie pokaże – odrzekła minister. Odpowiedziałem, że napisu nie usunę.

Nazajutrz dowiedziałem się, że jednak nie będzie odznaczeń dla bohaterów z Ciepielowa. Zadzwoniłem do szefa Kancelarii Prezydenta Władysława Stasiaka. Zrozumiałem, że bardzo chce, by prezydent odznaczenia przyznał. Do ostatniej chwili trwały w kancelarii jakieś wewnętrzne zmagania. Udało się. Na premierze filmu Maria Kaczyńska i minister Stasiak wręczyli potomkom Kowalskich, Kosiorów i Skoczylasów pośmiertne odznaczenia, a po filmie prezydentowa napisała: „Gratuluję najserdeczniej. Film »Historia Kowalskich« – okrucieństwo wojny, Holokaustu i heroizm ludzi, Polaków, którzy narażając życie nie tylko swoje, ale całych rodzin, ratowali swych sąsiadów – Żydów. To film, który młodzież musi poznać – świadectwo historii, okrutny, wzruszający prawdziwy".

> Nagrodzonych tytułem Sprawiedliwych jest 6 tys., a Polaków ratujących Żydów było 100 razy więcej

A historii Kowalskich są tysiące. Argumentów jest mnóstwo, nieopowiedzianych, polskich, pięknych historii jest mnóstwo. Ustawa potrzebna, ale zakłada jedynie reakcję. Nie umniejszając w niczym działaniom reaktywnym, kluczowe są wielopłaszczyznowe i bardzo intensywne działania miękkiej edukacji, soft power, skutecznie rozbudowujące polski punkt widzenia na liczne środowiska, zwłaszcza liderów opinii w poszczególnych krajach i lokalnych społecznościach. Garść pomysłów:

1. Radykalne podbudzenie aktywności polskich placówek dyplomatycznych. Każda ma w tym roku zorganizować wydarzenie naukowo-medialne, na których zaprezentowane zostaną dwa–trzy filmy o tematyce polsko-żydowskiej, a po nich odbędzie się dyskusja z udziałem historyków, publicystów, ewentualnie polityków. Wydarzenie musi się odbyć poza siedzibą ambasady czy ośrodka polskiego, w środku miasta, a wziąć w nim udział mają lokalni naukowcy, studenci, dziennikarze. Przedsięwzięcie ma być relacjonowane w internecie, a jego mierzony medialnymi reakcjami zasięg będzie miarą sprawności pracowników polskich placówek.

2. Opracowanie długofalowego, rozpisanego na rok 2018, ale także 10–15–20 lat planu promocji Polski. Taki zespół powstał, prace trwają od wielu miesięcy, czas zmierzyć efekty.

3. Wyraziste sformułowanie zadań oraz terminów ich realizacji dla wszystkich instytucji kultury i mediów wspieranych ze środków publicznych, w tym Telewizji Polskiej, Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Narodowego Centrum Kultury, Polskiej Fundacji Narodowej, Instytutu Adama Mickiewicza, państwowych teatrów, muzeów i galerii.

4. Naukowy audyt przekazu muzeów na terenie Polski, będących niemieckimi obozami zagłady. Dochodzą bardzo liczne sygnały, że męczeństwo Polaków jest w nich maskowane, niekiedy wręcz ukrywane, podobnie jak ukrywane

eprasa.pl 7313dec8fb

Maria Kaczyńska z wnuczkami Adama i Bronisławy Kowalskich

Fot. Picaresque/Maciej Łabudzki

jest ich niemieckie sprawstwo. Przekaz o „polskich obozach śmierci" produkujemy więc sami.

5. Zbudowanie potężnego systemu edukacji historycznej, atrakcyjnych stypendiów dla zagranicznych naukowców, studentów, dziennikarzy, literatów, artystów i wszelkich liderów opinii. To dla soft power punkt najważniejszy.

6. Sponsorowanie tłumaczeń i zagranicznych publikacji prac polskich historyków wraz z kosztami skutecznych kampanii promocyjnych.

7. Cykl sympozjów naukowych na najważniejszych uniwersytetach Europy i świata, na których ukazane zostaną nieznane fakty o II wojnie światowej.

8. Sponsorowanie utworzenia katedr filologii polskiej na uniwersytetach Europy i świata.

9. Inwestycja w gry komputerowe ukazujące prawdę o II wojnie światowej.

10. Powołanie polskiej, anglojęzycznej telewizji informacyjno-filmowej.

11. Upamiętnienie pomnikami wszystkich Polaków zamordowanych przez Niemców za próbę ratowania Żydów.

12. Utworzenie w centrum Warszawy Muzeum Ratujących. Wszystkich ratujących swych współbraci przed ideologicznymi mordercami.

Lista pomysłów jest długa. Potrzebne są decyzje i trzy rzeczy: skuteczność, skuteczność i skuteczność. Konieczne jest rozliczanie z powierzonych zadań w bardzo konkretnych terminach.

KONIEC ZŁUDZEŃ

Izrael sądzi, że atakując Polskę, więcej zyskuje, niż traci; że propagandowe, polityczne „rozjechanie" Polski mu się opłaca. Sądzę, że się myli. Straty wśród Polaków, jakie wyrządza trwająca od kilkunastu dni antypolska korrida, są wielopłaszczyznowe i będą trwać długo. Na forum międzynarodowym Polska ze stosunku proizraelskiego winna przejść na chłodny dystans i czysty rachunek zysków oraz strat.

W minionych kilkunastu dniach w relacjach z Izraelem skończyły się złudzenia. Wielu mówi: „Wyleczyłem się z filosemityzmu". Sympatia do wielu Żydów pozostanie, ale w relacjach z państwem Żydów odtąd kluczem winna się stać symetria. Absolutna symetria. Chcecie wpływu na polskie ustawy? Rozmawiajmy, bo my chcemy wpływu na ustawy izraelskie. Chcecie wpływu na muzea na terenie Polski? Rozmawiajmy, bo chcemy takiego samego wpływu na muzea na terenie Izraela. Chcecie prawdy o Jedwabnem? My też chcemy. Dlatego konieczne jest – jak w każdym cywilizowanym kraju – dokładne, archeologiczne zbadanie, jak zginęli zakopani tam ludzie.

Chcecie prawdy o liczbie polskich szmalcowników i Polaków, którzy mordowali Żydów? My też chcemy. Liczmy ich więc, badajmy, ujawniajmy. Ale my chcemy prawdy o liczbie szmalcowników żydowskich i liczbie Żydów, którzy mordowali Polaków w służbie totalitaryzmów. Liczmy ich, badajmy. Badajmy liczbę Żydów mordujących Żydów, liczbę Polaków w Waffen-SS i liczbę Żydów pracujących w niemieckim systemie zagłady. Opisujmy dokładnie i ujawniajmy rolę policji granatowej i rolę policji żydowskiej, dobrze przecież znaną żydowskim historykom w Izraelu i niezakazaną. Wszak to żydowskiej policji Żydzi bali się najbardziej, bo była najbrutalniejsza i najskuteczniejsza w wynajdywaniu żydowskich kryjówek. Opiszmy szeroko i pokażmy światu rolę polskiego państwa wobec Zagłady i rolę Judenratów, żydowskich samorządów. Odpowiedzmy na pytanie, czy sporządzały listy Żydów na transporty do obozów śmierci. Opiszmy wszystko. Bohaterstwo i zbrodnie. Służalczość i opór. Odwagę i strach. Skale i proporcje. Wszędzie. Jak słusznie mówi premier Morawiecki: „Na gruncie prawdy będziemy mogli zbudować lepsze, głębsze relacje z partnerami".

A przede wszystkim na gruncie prawdy zbudujemy wolną, silną i sprawiedliwą Polskę.

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Bronimy czegoś więcej

Chcą nas zrównać z Niemcami? Tak. Ale ideologia holokaustiańska prowadzi do czegoś jeszcze groźniejszego

PIOTR SKWIECIŃSKI

Nie ma bardziej bolesnych, trudniejszych i mniej przepracowanych psychologicznie i historycznie spraw niż te, które leżą u podstaw fali oburzenia, jaka przeszła po żydowskim świecie w związku z ustawą o IPN. Nie chodzi tu o sławetne „polskie obozy", tylko o problem rzeczywistej postawy Polaków wobec Żydów w okresie okupacji. A zwłaszcza o najstraszniejsze ekstremum tej postawy, czyli o wydawanie Żydów Niemcom i samodzielne mordowanie ich przez Polaków.

Dyskusji o tym nie ułatwia ewidentna ideologiczna motywacja części badaczy podnoszących ten temat. Przynosząca skutki ocierające się o świadome kłamstwo.

Żeby daleko nie szukać przykładu – oto Jan Tomasz Gross udzielił dwa lata temu wywiadu portalowi Lewica.pl. Broni w nim tezy, że w czasie wojny Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców. Ale przesuwa tę tezę jeszcze dalej. Sugeruje mianowicie, że... liczba Żydów zamordowanych przez Polaków jest co najmniej zbliżona do liczby Żydów zamordowanych przez Niemców.

To absurd? Przesadzam? Gross jest wytrawnym graczem, nie stawia kropek nad i. Ale jak inaczej można odebrać to, że – zastanawiając się nad skalą zjawiska – posługuje się np. passusem ze słynnego okupacyjnego dziennika doktora Zygmunta Klukowskiego ze Szczebrzeszyna, referując go tak oto: „W kilka tygodni po zakończeniu tej »akcji« Klukowski rozmawiał z burmistrzem Szczebrzeszyna, który poinformował go, że w trakcie likwidacji getta 934 osoby zostały wywiezione do obozów zagłady, zaś 2300 osób zginęło na miejscu, w ogromnej mierze z rąk Polaków".

Brzmi mocno? Bardzo. Co by to znaczyło? Co znaczy „w ogromnej mierze"? Przecież nie sposób zrozumieć tego inaczej niż jako sugestię, iż z rąk Polaków zginęła albo większość szczebrzeszyńskich Żydów, albo przynajmniej około połowy spośród nich.

eprasa.pl 7313dec8fb

Tymczasem Klukowski pisze naprawdę tak: „Mówił mi dzisiaj burmistrz Kraus, że pierwszego dnia wywieziono, dokładnie, 934 Żydów, rozstrzelano zaś w domach, na ulicach i na cmentarzu około 2300".

A z poprzednich zapisów Klukowskiego wynika, że wprawdzie polscy policjanci (wraz z niemiecką żandarmerią) łapali Żydów i uciekających mordowali, a schwytanych konwojowali na cmentarz, ale (co skądinąd zgodne ze zdrowym rozsądkiem) to na tym cmentarzu (gdzie znajdował się centralny punkt zagłady) zginęła przygniatająca większość szczebrzeszyńskich ofiar Shoah. Tam zaś masowych rozstrzeliwań z karabinów maszynowych dokonywali Niemcy. Polacy w całej operacji pełnili tylko funkcję pomocniczą.

Innymi słowy, to, co Gross sugeruje, że z tych 2,3 tys. Żydów jakąś ogromną część zabili Polacy, jest (niezależnie od winy granatowych policjantów) nieprawdą. I Gross, który przecież czytał Klukowskiego nieraz, musi o tym wiedzieć. Nadużycia dopuszcza się więc w pełni świadomie.

Ba, ale tego rodzaju przykłady mają posłużyć do ekstrapolacji na całą Polskę, do obliczeń dotyczących globalnej liczby Żydów zabitych przez Polaków. I o to tu chodzi.

Czy więc nie mamy podstaw, by nabrać podejrzeń dotyczących motywacji Grossa i jego adherentów? Czy nie mamy prawa nie wykluczać, że wśród tych motywacji, oprócz poszukiwania prawdy, samodzielną rolę gra również chęć uderzenia w Polaków? Nawet kosztem, nazwijmy to tak, pewnego nagięcia rzeczywistości?

Czy więc nie mamy prawa uznać, że w całym hałasie dotyczącym ustawy o IPN niektórym idzie o to właśnie?

ZA TRZY LITRY

Tylko że to jest tylko jedna strona medalu. Bo zarazem jest faktem, że to, co się działo w czasie okupacji na polskiej prowincji, pozostaje w dużym stopniu poza naszą świadomością. A działy się rzeczy straszne.

W Szczebrzeszynie, kiedy Niemcy mordowali Żydów, „śmiano się i żartowano" – pisze wzmiankowany wyżej Klukowski. Gdy rozpoczęto wywózki do Bełżca, „sporo ludności polskiej, zwłaszcza chłopaków, gorliwie pomaga przy wyszukiwaniu Żydów... Działają... granatowi policjanci, którym kazano zabijać na miejscu każdego złapanego Żyda. Rozkaz ten wykonują bardzo gorliwie... Chłopcy uganiali się nawet za małymi dziećmi żydowskimi, które policjanci zabijali na oczach wszystkich... Popisywał się też młody policjant z Sułowa, Matysiak. Woźny (miejski) Skórzak, nie mając karabinu ani rewolweru, siekierą rąbał głowy wyciąganych z kryjówek Żydów. Inni cywile »z amatorstwa« też gorliwie pomagali, wyszukiwali Żydów, pędzili ich do magistratu lub na posterunek, bili, kopali. Przez cały dzień jedni tropili tych nieszczęśliwych, drudzy zwozili trupy i kopali na kirkucie doły". „Byłem świadkiem, jak usuwano Żydów z kryjówki w domu powroźnika Dyma. Naliczyłem około 50 Żydów wziętych do więzienia. Tłum patrzył, śmiał się, a nawet bił Żydów, inni przeszukiwali domy, szukając następnych ofiar" – notuje doktor.

Klukowski widzi Żydów pędzonych na rozstrzelanie. „Po bokach szli żandarmi, policjanci i Polacy zaciągnięci do pomocniczej służby wartowniczej, bez broni, w czarnych niemieckich mundurach. Ci pałkami wciąż walili Żydów po plecach, po głowach i gdzie się dało". Na prowincji zaś „chłopi w obawie przed represjami wyłapują Żydów po wsiach i przywożą do miasta albo nieraz wprost na miejscu zabijają".

Czy tylko „w obawie przed represjami"? „5 listopada przejeżdżałem przez wieś Siedliska" – notuje w innym punkcie Polski, w Łukowie, nauczyciel Stanisław Żemiński. „Wstąpiłem do spółdzielni. Chłopi kupowali kosy. Sklepowa mówi: »Przydadzą się wam na dzisiejszą obławę«. Pytam, na jaką obławę. „A na Żydów«. Zapytałem: »A ile zapłacą za schwytanego Żyda?«. Zapadło kłopotliwe milczenie". Odpowiedź na to pytanie Żemiński poznał niedługo. „W Kąkolewnicy dowiedziałem się, że za Żyda dostarczonego żywcem lub trupem żandarmeria daje trzy litry wódki".

„W Okrzei przy wywożeniu Żydów było tylko kilku żandarmów i kilku Ukraińców. Bohaterami byli miejscowi Polacy. Spędzono Żydów na rynek, naprzeciw kościoła, kazano im tańczyć, śpiewać »Alleluja«. Potem kazano im rozebrać się, położyć na ziemi, »wyrównać łebki« i zastrzelili 90 osób. Jedna z matek jeszcze po śmierci dziecka przyciskała do piersi trupa swego dziecka".

Opisawszy likwidację getta w samym Łukowie Żemiński konkluduje: „Jest to dla mnie tym tragiczniejsze, że w zbrodni tej pławili się nie tylko Niemcy i sprowadzeni przez nich do pomocy siepacze ukraińscy czy łotewscy. Boli mnie nawet nie to, że brała w tym udział również nasza »kochana« granatowa policja, bo wiadomo, że to zwierzęta. Najohydniejsze dla mnie to to, że brali w tym udział Polacy cywile, na ochotnika".

Ani Szczebrzeszyn, ani Łuków, ani otaczające te miasteczka wsie nie były nietypowe dla prowincji Generalnego Gubernatorstwa.

CELOWE ROZMYWANIE RÓŻNICY

Czy to oznacza jednak, że rację mają ci, którzy tak jak Gross dążą do postawienia znaku równości między Polakami a Niemcami? A są tacy. Gross, jak już napisałem wyżej, nie stawia kropki nad i. Ale to stwarzany przez niego i jemu podobnych klimat powoduje np. to, iż taki były szef FBI James Comey potrafi wymienić Polaków i Niemców – na równych prawach – wśród „wspólników morderców".

Oczywiście, że nie mają racji. Nie tylko i nie przede wszystkim dlatego, że dokonywana przez Grossa ekwilibrystyka z liczbami jest nadużyciem na granicy kłamstwa. Zasadnicza różnica polega na czymś innym.

Nie potrafię ująć jej lepiej niż Lech Kaczyński, który w trakcie spotkania z ówczesną izraelską minister edukacji Julią Tamir mówił (sama opisała je dzisiaj, nazywając spotkanie z polskim prezydentem „lekcją człowieczeństwa"): „Nie mówię, że wszyscy byliśmy sprawiedliwi. Byli Polacy, którzy chętnie współpracowali, u innych ta współpraca wynikała z obojętności, inni współpracowali ze strachu, a byli też tacy, którzy walczyli".

Prezydent opowiedział swojej rozmówczyni historię polskiej wojennej martyrologii. I skonkludował: „To wy piszecie historię na nowo [tu Tamir

eprasa.pl 7313dec8fb

pisze: „nagle podniósł głos, wyglądał na wyczerpanego i rozgniewanego"]. Celowo chcecie rozmyć różnicę między wstrząsającymi świadectwami o Polakach, którzy mordowali i masakrowali Żydów, a faktem, iż naród polski i ówczesny polski rząd nigdy nie wypowiedział wojny Żydom ani nie zdecydował o ich eksterminacji – polityka eksterminacji była natomiast oficjalną niemiecką polityką".

A przedtem mówił: „Wysyłacie swoich uczniów do Polski. Chodzą po naszych ulicach, machają izraelskimi flagami, zioną nienawiścią i strachem, patrzą na nas, jak gdyby zobaczyli diabła, a potem udają się do Berlina, aby tam się bawić. I oni są szczęśliwi w Berlinie, siedzą w kawiarniach niedaleko siedziby Gestapo i czują się komfortowo. W Niemczech widzą kulturę i sztukę, u nas widzą tylko trupy".

Cóż można dodać do słów śp. prezydenta? Chyba to, że okupowana prowincjonalna Polska była w dużej mierze pozbawiona swoich elit. W 1942 czy 1943 r. bardzo znaczna ich część była już albo wybita, albo uwięziona, albo musiała uciec z terenów, gdzie była znana.

Nie tylko strach przed Niemcami stopował więc tych Polaków, których przerażała eksterminacja, przed próbą powstrzymania uczestniczących w niej rodaków. Tych Polaków bardzo często od dłuższego czasu po prostu nie było już na miejscu.

Co niestety nie zmienia tego, że dobrowolne uczestnictwo w ludobójstwie, wydawanie Żydów Niemcom oraz samodzielne ich zabijanie na prowincji GG było, jak ujął to historyk Krzysztof Persak, nie powszechne, ale powszednie. Nie powszechne – bo nie uczestniczyła w tym ani większość Polaków, ani nawet ich znacząca mniejszość. Ale powszednie – bo działo się to ciągle, wszędzie i często.

I niestety nie sposób określić tego zjawiska jako wyłącznie odruch spuszczonych z łańcucha degeneratów. Nie ma świadectw mówiących o uczestnictwie w mordowaniu Żydów przedstawicieli elit. Ale wystarczająco wiele jest świadectw powszechności nastrojów, refleksji politycznej wyrażanej słowami: „Niemcy rozwiązują ten problem za nas". I braku współczucia dla ofiar.

Wydawał i mordował motłoch. Tego motłochu nie prowadziły elity. Co więcej, te elity, gdyby nie były bezsilne, by do tego nie dopuściły. Ale przedtem spora ich część miała udział w ukształtowaniu psychicznego krajobrazu, który do tego się przyczynił. Bo znakiem czasów bezpośrednio przedwojennych był radykalizujący się momentami aż do zezwierzęcenia antysemityzm, a spora część elit transmitowała ten nastrój w dół. Nie doprowadziłoby to do zbrodniczych skutków, gdyby polskie państwo nie padło i nie przyszli Niemcy. Ale przyszli, zaczęli mordować. Pokazali, że jest to bezkarne, i wtedy okazało się, że rzucane niegdyś słowa mają swoje konsekwencje. Żadna z głośnych historii przedwojennych antysemickich przywódców czy intelektualistów w czasie okupacji ratujących żydowskie dzieci tego nie zmienia.

> Polski opór wobec tej wizji ma znaczenie szersze niż narodowe. Zgoła uniwersalne. Broni bowiem nie tylko Polski, lecz także wizji człowieczeństwa nieskażonego integralnym pesymizmem

ZWORNIK ZŁEGO WSZECHŚWIATA

Tylko że zarazem nie sposób nie zauważyć, że narzucana przez tworzących religię Holokaustu klasyfikacja, w której myśl wszyscy żyjący w czasach i na obszarach, w których dokonywał się Holokaust, dzielą się na sprawców, ofiary i „biernych świadków" (bystanders), ma się nijak do Polski.

Bo ta ogromna większość Polaków, w tym tych z prowincji, która ani nie znalazła w sobie heroizmu pozwalającego na ratowanie mordowanych, ani nie przyłączyła się do mordujących – to nie byli „bierni świadkowie" w rozumieniu Raula Hilberga, który na początku lat 90. sformułował tę triadę. Nie była nimi, niezależnie od tego, jak w głębi duszy każdy z nich odnosił się do Żydów.

Trudno bowiem określić mianem „biernego świadka" kogoś, kto nie tylko w oczywisty sposób skazałby się na śmierć, gdyby wystąpił w obronie mordowanych, lecz kto oprócz tego i niezależnie od tego jest prześladowany, a często jest zasadnie przeświadczony, iż jest wyłącznie kwestią czasu podzielenie przez niego losu dzisiejszych ofiar. Wobec kogoś takiego trudno aplikować moralne standardy stworzone z myślą o innej rzeczywistości. A usiłuje się to robić.

Jeśli zaś obywateli Polski dzieli się na te same kategorie, co obywateli Niemiec, Słowacji, Francji, Węgier, to ma to swoje oczywiste implikacje. Przybliża to nas do zaakceptowania wizji tamtych czasów, którą przedstawiał przywołany wyżej James Comey. Wizji, w której wszyscy Europejczycy byliby winni tak samo.

Co z jednej strony pogrąża wszystkich w moralnym piekle. Ale w praktyce oznacza przede wszystkim, iż ci, którzy naprawdę wymyślili i przeprowadzili Ostateczne Rozwiązanie, moralnie awansują, bo stają się równi wszystkim innym. To nie tylko oni byli źli. Byli źli tak samo jak wszyscy ludzie.

Nie twierdzę, że taki jest świadomy cel tej operacji. Większości jej operatorów chodzi raczej o utrwalenie – poprzez upowszechnienie odpowiedzialności, a przez to przekonania, że Holokaust dotyczy wszystkich – jego wizji jako najważniejszego i najbardziej fundamentalnego wydarzenia, zwornika historii i nieledwie całego wszechświata. Ale taki jest jej uboczny rezultat.

I również dlatego polski opór wobec tej wizji ma znaczenie szersze niż narodowe. Zgoła uniwersalne. Broni bowiem nie tylko Polski, ale wizji człowieczeństwa nieskażonego integralnym pesymizmem.

eprasa.pl 7313dec8fb

Pokój łatwo nie wróci

Sprowokowanie trudnego i zapewne przewlekłego kryzysu polsko-żydowskiego to najbardziej fałszywy krok Jarosława Kaczyńskiego, jaki uczynił on w trakcie swego długiego życiorysu politycznego

JAN ROKITA

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7313dec8fb

Ten fałszywy krok lider PiS zrobił po raz pierwszy (chyba jeszcze bez pełnego rozeznania sytuacji i skutków) w trzecim tygodniu stycznia, kiedy niewynegocjowaną z Żydami ustawę dotyczącą odpowiedzialności za Holokaust zdecydował się nagle „odmrozić" i kazał ją rozpatrzyć Sejmowi. Powtórzył ów fałszywy krok po raz drugi, w środę 31 stycznia, już z całkowitym rozeznaniem kontekstu i konsekwencji, gdy mimo wzbierającego globalnego tsunami oskarżeń przeciwko Polsce kazał senatorom PiS w środku nocy dopchnąć kolanem atakowany przepis art. 55a, tak by na siłę zatrzasnąć otwarte do tamtego momentu okno negocjacyjne.

Za pierwszym razem Kaczyński złamał niepisaną, ale od lat ugruntowaną w polskiej polityce zasadę, że wszelkie regulacje dotyczące odpowiedzialności za Holokaust podejmowane są w porozumieniu nie tylko z władzami w Jerozolimie, lecz także z reprezentantami światowej diaspory żydowskiej. I to nie po to aby w ten sposób sprawiać Żydom jakąś przyjemność albo udowadniać szczególne ich traktowanie, tylko po prostu z racji wiedzy o ryzykach, na jakie w przeciwnym razie można wystawić żywotne interesy państwa polskiego.

Za drugim razem, w tamtą nieszczęsną środę, fałszywy krok Kaczyńskiego miał jeszcze gorszą naturę. Wziął się z tego, że szef PiS postanowił okazać „niezłomność" w sprawie swojego pierwszego błędu, więc zdecydował, że państwo polskie zapłaci cenę globalnego rozpętania polsko-żydowskich demonów, byle tylko sam PiS, a zwłaszcza jego lider nie stanął wobec cienia posądzenia o uległość wobec „żydowskiego dyktatu". Stało się tak na przekór całej dotychczasowej tradycji pisowskiej polityki, która dotąd wykazywała się nie tylko wielką dbałością o pokój w relacjach Polaków i Żydów, lecz także nieskrywaną empatią i wyrozumiałością wobec krytykowanej przez świat polityki prawicowego rządu w Jerozolimie. Stało się tak również pomimo próśb i argumentów, jakie tamtego dnia kierowane były po cichu do Kaczyńskiego przez licznych, bardzo prominentnych przedstawicieli obecnego obozu władzy, o czym otwarcie mówiła w senacie córka gen. Andersa. „A my wczoraj czy przedwczoraj błagaliśmy, żeby to w ogóle do Senatu nie przeszło!" – z goryczą wypominała Kaczyńskiemu senator Anna Maria Anders.

SAME PARADOKSY

Do którejś chwili można było przypuszczać, że znaczna część winy, przynajmniej w tym pierwszym przypadku, leży po stronie izraelskiej dyplomacji, w tym zwłaszcza dziwnie niejasno zachowującej się ambasador Anny Azari. Dyplomatka nie chciała bowiem jasno odpowiadać na pytania polskich dziennikarzy dotyczące tego, czy w toku wielu spotkań z przedstawicielami polskiego rządu akceptowała nowe przepisy, czy też ich nie akceptowała. Jednak Azari dość skutecznie „uniewinnił" były szef MSZ Witold Waszczykowski, zdecydowanie wyjaśniając, że „od kilku lat strona izraelska nie akceptowała tej ustawy, a MSZ ostrzegało przed tym". Można więc założyć, że w gruncie rzeczy Kaczyński ani przez chwilę nie był zdezorientowany co do stanu uzgodnień sprawy z Żydami. A w świetle wieloletniego własnego doświadczenia politycznego mógł i powinien był przewidzieć nie tylko histeryczne reakcje w Jerozolimie, lecz i groźne pomruki gniewu w Waszyngtonie, w którym od czasu objęcia władzy przez Donalda Trumpa lobby żydowskie współzawiaduje amerykańską polityką na skalę, jakiej USA nie doświadczały w ciągu poprzednich dziesięcioleci.

Żadna z tych przesłanek nie była tajemnicą, więc jedyne pytanie, jakie szef PiS mógł sobie stawiać, to pytanie o długofalową skalę ryzyk, na jakie wystawi państwo polskie za sprawą polityki zrywającej z dobrą, wieloletnią, także pisowską tradycją. Co zaś do sposobu, w jaki Żydzi reagują na wszelkie naruszenie ich reguł, gdy chodzi o materię Holokaustu, można się już było w Polsce przekonać co najmniej dwukrotnie: raz – kiedy przy murze Auschwitz powstał karmel, w którym zakonnice chciały się modlić za zamordowanych; dwa – gdy na oświęcimskim żwirowisku nadgorliwi katolicy i patrioci postanowili postawić krzyże. W jednym i drugim przypadku tylko mocny i wyraźny krok do tyłu, wykonany za sprawą Jana Pawła II, a potem rządu Jerzego Buzka, pozwoliły ochronić Polskę przed niebezpieczeństwami, na jakie została wówczas narażona.

SPÓR WEWNĘTRZNY

O tym, że te ryzyka są rozumiane również w kręgu politycznych autorytetów PiS, bodaj najlepiej świadczy postawa, jaką zajął w obecnym kryzysie Jan Olszewski. Był on tym, który publicznie, a nie tylko po cichu, w tamtą środę 31 stycznia przekonywał Kaczyńskiego, aby nie zmuszał Senatu do uchwalania konfliktowej ustawy. Olszewski poszedł wówczas zresztą znacznie dalej w pryncypialności argumentacji, nie bez racji twierdząc, iż „prawo karne jest w ogóle daleko niewłaściwym narzędziem w wypadku polityki historycznej". „Dyskusja ograniczona prawem na tym traci i uważam, że to bardzo niedobra metoda" – dodawał były premier, a zarazem ikona twardego zaplecza pisowskiego, które do dziś jest przekonane, że stracił on niegdyś władzę za sprawą spisku zdrajców i agentów. Co ciekawe, Olszewski bodaj najostrzej potraktował uboczny wątek ukraiński nowej ustawy, nazywając go wręcz „absurdalnym". Trudno zresztą nie przyznać mu racji. W końcu dopiero co prezydent Andrzej Duda uzgadniał z głową państwa ukraińskiego, że rozlewający się spór historyczny między Warszawą a Kijowem zostanie jakoś załagodzony przez negocjacje historyków, pochodzących z IPN obu krajów. Tyle tylko, że jak dobrze wiadomo, specjalnością historyków z IPN kijowskiego jest właśnie „rażące pomniejszanie odpowiedzialności rzeczywistych sprawców zbrodni" na Wołyniu (mówiąc językiem nowego art. 55a); powstaje więc problem: czy ich zaproszenie przez prezydenta na negocjacje w Warszawie ma się skończyć ich aresztowaniem zgodnie z nowym prawem, czy też mają oni otrzymać na czas negocjacji jakiś list żelazny od polskich władz?

To groteskowe na pozór pytanie jest w istocie fundamentalną kwestią powagi oraz autorytetu państwa i prawa polskiego. Wątpić bowiem można, czy sami autorzy nowych przepisów karnych zakładają w ogóle ich poważne stosowanie w praktyce. Czy też raczej mają być one jedynie swego rodzaju „manifestem ideologicznym", którego żaden prokurator nie odważy się użyć na serio w poważnej sytuacji. No bo jak odtąd prokuratorzy

eprasa.pl 7313dec8fb

mają postępować wobec zagranicznych polityków (np. izraelskich) ostentacyjnie łamiących polskie prawo karne? Właśnie tego dotyczyły przestrogi Jana Olszewskiego.

PROBLEMY Z LOGIKĄ

Skądinąd, abstrahując od polityki, sam przepis karny art. 55a skonstruowany jest na sposób iście absurdalny. W ferworze patriotycznego sporu z Żydami mało kto dostrzegł, że tym jednym przepisem PiS wprowadza do prawa karnego aż trzy nowe przestępstwa. To kluczowe, o które toczy się wielki spór, dotyczy przypisywania Polsce i Polakom zbrodni niemieckich. Ale są także dwa dalsze. Jedno ma polegać na przypisywaniu państwu bądź narodowi polskiemu „współodpowiedzialności" za wszelkie „inne zbrodnie przeciw pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne"; kolejne zaś – po prostu na „rażącym pomniejszaniu odpowiedzialności rzeczywistych sprawców" takich zbrodni. Art. 55a nie ogranicza przy tym owych „innych zbrodni" ani w czasie, ani w przestrzeni. Dla prawnika nie ma więc wątpliwości, że przestępcą będzie zatem np. ten, kto chciałby dziś głosić (skądinąd nie bez historycznej racji), że Legiony Dąbrowskiego są wraz z Francuzami współodpowiedzialne za ludobójstwo zbuntowanych niewolników haitańskich na początku XIX w. Albo że nawet sam fakt „rażącego pomniejszania" odpowiedzialności Ateńczyków za masakrę na Melos z roku 416 przed Chrystusem, choć bez związku z polską współodpowiedzialnością, również wyczerpuje od teraz znamiona przestępstwa w świetle polskiego prawa. Widać, że autorzy tego przepisu zignorowali po prostu wymóg powagi prawa karnego. Zapewne nie jest przypadkiem, że sędzia Jarosław Wyrembak, tuż przed powołaniem go przez prezydenta Dudę do Trybunału Konstytucyjnego, zdążył jeszcze w ekspertyzie Biura Analiz Sejmowych napisać, że art 55a – to „przepis lakoniczny, niejasny i problematyczny w interpretacji". Ale jego ocenę Kaczyński także zignorował.

O ile dwa fałszywe kroki Kaczyńskiego stały się źródłem tego kryzysu, o tyle trudno mieć pretensje do głowy państwa o podpisanie ustawy. Rozwijające się kryzysy mają swoją, często koszmarną, wewnętrzną logikę, która faktycznie odbiera prawo wolnej decyzji kolejnym politycznym aktorom. W środę 31 stycznia szef PiS mógł powstrzymać kryzys, w zasadzie bez konsekwencji, wyhamowując prace senackie nad art. 55a. Tej swobody decyzji nie miał już we wtorek 6 lutego Andrzej Duda po tym, jak Senat nowe prawo uchwalił, a lider PiS publicznie zażądał od pierwszego obywatela podpisu pod ustawą. Hipotetyczne weto, nawet perfekcyjnie prawniczo umotywowane, rodziłoby jedynie trzy fatalne pod każdym względem polityczne konsekwencje. Wyzwoliłoby lawinę oskarżeń wobec Dudy, sytuując go w oczach sporej części pisowskich wyborców w politycznym piekle zdrajców i obcych agentów. Doprowadziłoby do ostrego podziału wewnątrz obozu władzy, wedle skrajnie niekorzystnych dla Dudy „patriotycznych" linii podziału. Ale co z perspektywy interesu publicznego najważniejsze, weto nieuchronnie uruchomiłoby silną kampanię antysemicką w Polsce, której zapowiedzią była dzień wcześniejsza antyprezydencka manifestacja pod hasłem: „Zdejmij jarmułkę, podpisz ustawę". Jeśli więc jedną z najpoważniejszych szkód związanych z ustawą jest wyciągnięcie na światło dzienne tłumionych przez lata silnych namiętności antypolskich pośród Żydów i antysemickich pośród Polaków, to fakt weta zmultiplikowałby tylko ten efekt po polskiej stronie. Naiwnością polityków bywa myślenie, wedle którego wystarczy kierować się słusznymi przekonaniami, aby postępować z polityczną odpowiedzialnością. Tymczasem w polityce bywa przeciwnie: często trzeba postąpić tak, aby już zaistniałych złych rzeczy nie uczynić jeszcze gorszymi. Uwolnienie poprzez weto wściekłości i politycznej energii licznych polskich antysemitów byłoby właśnie taką złą polityką. Niestety, doktrynalnie patrzące na świat PO i Nowoczesna nie są zdolne tego dostrzec.

> Widać, że autorzy przepisu z art. 55a po prostu zignorowali wymóg powagi prawa karnego

NIEPOKÓJ

Być może istnieje naprawdę (jak twierdzą dziennikarze „Gazety Wyborczej") jakiś plan zapanowania przez polskie władze nad tym kryzysem z użyciem Trybunału Konstytucyjnego. Tajna ponoć taktyka Kaczyńskiego, wedle której to ani on sam, ani rząd, ani prezydent nie mają wziąć odpowiedzialności za upadek art. 55a, a ma to zrobić za wszystkich sędzia Julia Przyłębska. Z pewnością to, czy ów przepis zostanie obalony, czy też nie, będzie mieć spore znaczenie polityczne, zwłaszcza z perspektywy dalszych kroków podejmowanych wobec Polski przez prożydowski Biały Dom.

W chwili gdy piszę te słowa, ciągle jeszcze bowiem nie pokazał się ów z niepokojem spodziewany wpis na twitterowym koncie @realDonaldTrump zapowiadający, iż „kraj negujący odpowiedzialność za Holokaust" nie może liczyć na amerykańską obronę. Przez merkantylnego w myśleniu Trumpa konkret, jakim byłby upadek inkryminowanego art. 55a, mógłby zostać potraktowany jako zamknięcie z sukcesem jakiegoś problemu. Ale nie należy się łudzić, że nawet w takim razie (co tymczasem wydaje się hipotezą mocno na wyrost), inne kluczowe ryzyka, na jakie Kaczyński wystawił państwo polskie, zostałyby zlikwidowane. Zatrzaśnięta przez wiele lat puszka Pandory, z niezliczonymi ansami Żydów do Polaków i vice versa, została już otwarta. Od teraz trzeba się będzie stale liczyć z tym, że wielki żydowski kapitał może pewnego dnia zaatakować polską walutę, że inwestycje w Polsce mogą stanąć pod znakiem zapytania, że zwrot gigantycznego „mienia pożydowskiego" znajdzie się na agendzie realnej polityki, a w Ameryce jakieś trudne do jasnego określenia siły będą kopać dołki pod polskimi interesami.

Polsko-żydowski pokój, nad którym w interesie państwa polskiego pracowano z niezłymi efektami przez trzy dekady, teraz tak łatwo już nie powróci.

eprasa.pl 7313dec8fb

Holokaust jako „religia zastępcza”

Uchwalona przez Sejm 27 stycznia 2018 r. nowelizacja ustawy o IPN wywołała najpoważniejszy od dziesięcioleci kryzys polsko-izraelski. Polskie władze i opinia publiczna są wręcz zszokowane gwałtownością reakcji rządu izraelskiego. Aby zrozumieć tę – z polskiego punktu widzenia trudną do pojęcia – reakcję, należy się zapoznać z wyjątkową rolą pamięci o Holokauście w Państwie Izrael oraz w społeczności żydowskiej na całym świecie, a także miejscem narodu polskiego w tej narracji

BOGDAN MUSIAŁ

U niemal wszystkich narodów istnieje wiele bardzo różnych elementów identyfikacji. W przypadku społeczności żydowskiej od dekad podstawową rolę odgrywa pamięć o Holokauście, która po 1945 r. stopniowo zastąpiła judaizm jako główny element tożsamości. Pamięć o Zagładzie stała się mitem założycielskim Państwa Izrael oraz podstawowym elementem integrującym diasporę żydowską na całym świecie, szczególnie w USA.

Zmarły w 2009 r. znany izraelski pisarz Amos Elon napisał: „Holokaust pozostaje podstawowym urazem społeczeństwa izraelskiego. Nie sposób przecenić jego wpływu na proces kształtowania się narodu. [...] Wyjaśnia on obsesyjną podejrzliwość, rosnący nacisk na poleganie na sobie za wszelką cenę w świecie, który pozwolił, aby wydarzyło się takie nieszczęście. [...] Uraz Holokaustu pozostawił nieusuwalne piętno na psychice narodu, biegu i treści życia publicznego, kontaktach z zagranicą”.

W obliczu postępującej sekularyzacji pamięć o Holokauście stała się „religią zastępczą”) Państwa Izrael oraz diaspory żydowskiej, najpierw w USA, a później na całym świecie. Wiara żydowska i jej rytuały tracą na znaczeniu, a jej miejsce zajęła pamięć o Zagładzie europejskich Żydów. Synagogi zostały zastąpione przez miejsca pamięci i muzea historii Holokaustu oraz świeckie organizacje żydowskie w poszczególnych krajach. Różnego rodzaju instytuty i katedry historii oraz pamięci o Holokauście zastąpiły nauczanie religii żydowskiej. Nie trzeba wierzyć w Boga ani przestrzegać nakazów religijnych, wystarczy pamiętać i przypominać o Zagładzie.

Obok nowoczesnej i bitnej armii pamięć o Zagładzie stała się również bardzo ważnym instrumentem polityki zagranicznej Państwa Izrael. Jest ona bardzo często używana przez rząd izraelski, w tym także przez premiera Beniamina Netanjahu.

NARRACYJNA KONSTRUKCJA PAMIĘCI O HOLOKAUŚCIE

Narracyjna konstrukcja izraelskiej/żydowskiej „zastępczej religii” Holokaustu opiera się na dwóch podstawowych elementach: (1) na wyjątkowości zagłady Żydów oraz (2) zdradzie europejskich Żydów przez ich nieżydowskich sąsiadów w obliczu Holokaustu.

Wyjątkowości zagłady Żydów jest trudno zaprzeczyć. Co prawda w historii ludzkości były zbrodnie masowe, które pochłonęły więcej ofiar, np. zbrodnie sowieckich czy też chińskich komunistów. Jednak wyjątkowość Holokaustu polega na tym, że ówczesny rząd niemiecki podjął decyzję wymordowania wszystkich europejskich Żydów ze względów rasistowskich i bez jakichkolwiek wyjątków. Skala tej zbrodni jest przerażająca – 5–6 mln żydowskich kobiet, mężczyzn i dzieci zostało zgładzonych.

Niemieccy oprawcy mordowali żydowskie ofiary poprzez masowe rozstrzeliwania i rzezie, w szczególności w Europie Wschodniej i w obozach zagłady. To pierwsze niestety nie było niczym wyjątkowym, ponieważ takiego losu doznała również ludność polska. Wystarczy wspomnieć o masakrze polskiej ludności cywilnej w Warszawie w 1944 r. dokonanej przez niemieckich okupantów. Jednakże budowa specjalnych fabryk śmierci, czyli obozów zagłady, w celu mordowania w nich żydowskich kobiet, mężczyzn i dzieci za pomocą trujących gazów (cyklon B, spaliny) jest już czymś wyjątkowym w dziejach ludzkości.

Również wysiłek logistyczny niemieckiego państwa oraz jego instytucji, urzędów, sił policyjnych, a także kolei jest czymś wyjątkowym. Znaczną część ofiar transportowano tysiące kilometrów z różnych krańców Europy do fabryk śmierci w okupowanej Polsce.

To wszystko razem czyni Holokaust wyjątkowym w dziejach ludzkości.

eprasa.pl 7313dec8fb

Porównywanie niemieckich zbrodni na Polakach w latach 1939–1945 oraz nazywanie ich Holokaustem jest w moim przekonaniu nieuprawnione. Również skala zbrodni jest nieporównywalna. W Polsce Holokaust – Zagładę przeżyło około ośmiu procent przedwojennej trzymilionowej populacji żydowskiej, natomiast stosunek strat polskiej ludności etnicznej był odwrotny. Dlatego też żydowscy historycy i publicyści piszą o „nierównych ofiarach" oraz reagują nierzadko emocjonalnie na stwierdzenia, iż Polacy i Żydzi cierpieli tak samo podczas niemieckiej okupacji.

Problematyczna jest jednak tendencja żydowskiej pamięci o Holokauście do redukowania zbrodni „nazistowskich" jedynie do zagłady Żydów. W narracji tej nie ma miejsca dla polskich ofiar zbrodni niemieckich, i to mimo że Polacy ponieśli największe straty materialne i ludzkie spośród innych nacji Europy. Nie licząc tu oczywiście narodu żydowskiego.

ZDRADA LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ

Z polskiego punktu widzenia najbardziej kontrowersyjny jest jednak drugi kluczowy element narracji izraelskiej/żydowskiej dotyczącej Holokaustu. Chodzi o przekonanie o zdradzie ludności żydowskiej przez jej nieżydowskich sąsiadów w obliczu Zagłady.

Według koncepcji „zastępczej religii" Holokaustu świat postrzegany jest jako zagrożenie dla egzystencji narodu żydowskiego i jedynie istnienie Państwa Izrael może uchronić Żydów przed powtórzeniem się takiej tragedii. Aby wzmocnić ten przekaz, stworzono opowieść o powszechnej zdradzie ludności żydowskiej w obliczu jej zagłady przez ludność nieżydowską. Panuje przekonanie, że dzieje antysemityzmu w Europie doprowadziły do tego, iż Holokaust stał się nieunikniony i że dopiero powszechna zdrada Żydów przez ich nieżydowskich sąsiadów umożliwiła „nazistom" dokonanie tej masowej zbrodni. Wobec tego jedynie istnienie Państwa Izrael może zapewnić Żydom przetrwanie.

Dogmat zdrady nie podlega dyskusji, co oznacza nie tylko moralną współwinę za zbrodnie na Żydach dokonane obok „nazistowskich" katów. W wielu przypadkach to przekonanie opiera się na konkretnych przesłankach, np. masakrach dokonanych przez litewskie i łotewskie oddziały paramilitarne czy też rumuńskie jednostki na ludności żydowskiej w 1941 i 1942 r. Można również wspomnieć o współudziale słowackich, węgierskich czy też francuskich kolaborantów w wysyłaniu ludności żydowskiej do obozów zagłady w okupowanej Polsce. Ten współudział nie był incydentalny, lecz systemowy, czego jednak na pewno nie można powiedzieć o Polakach.

Fot. Shuterstock

eprasa.pl 7313dec8fb

Problem jednak w tym, że ponad połowa ofiar Holokaustu to polscy Żydzi zamordowani na terenie okupowanej Polski przez niemieckich okupantów. I to właśnie Polaków wymienia się najczęściej w kontekście zdrady Żydów przez nieżydowskich sąsiadów. Według narracji „religii" Holokaustu antysemityzm jest i był głęboko zakorzeniony w polskim społeczeństwie, Polacy „wyssali antysemityzm z mlekiem matki" (Icchak Szamir, były premier Izraela) oraz masowo i ochoczo wspierali „nazistów" w zagładzie Żydów. Według tej wizji historii pomoc prześladowanym przez „nazistów" Żydom była wyjątkiem. Mowa jest o „nazistach", a nie o Niemcach, ponieważ w międzyczasie zbrodnie niemieckie okresu wojny, w tym także Holokaust, zostały „odniemczone" i „znazyfikowane", a częściowo nawet „spolonizowane".

Faktem jest, że byli Polacy, którzy pomagali niemieckim oprawcom w prześladowaniu Żydów z nieprzymuszonej woli. Dominowali wśród nich zwykli przestępcy kanalie. Były to osoby, które korzystały z okazji, czyli niemieckiej okupacji i systemowego prześladowaniu Żydów, aby się wzbogacić i pofolgować swoim niskim instynktom. Takie osoby znajdziemy w każdym społeczeństwie, również wśród Żydów. Należy jednak zaznaczyć, że większość Polaków, która w ten czy inny sposób wzięła udział w tej zbrodni, została do tego przymuszona przez niemieckich okupantów. Na terenie okupowanej Polski Niemcy stworzyli i wprowadzili w życie jedyny swego rodzaju w Europie system „prawa okupacyjnego". Pod groźbą kary śmierci zabroniono nie tylko wszelkiej pomocy prześladowanym Żydom, lecz także wymuszono współudział w ich prześladowaniu. Niemcy poszli tak daleko, że przemilczanie informacji o pomocy Żydom udzielonej przez innych podlegało również karze śmierci.

Liczba Polaków zamordowanych przez Niemców za tego rodzaju „przestępstwa" liczy się w tysiącach. Zdarzało się, że całe wioski były palone przez Niemców za ukrywanie Żydów przez niektórych ich mieszkańców. Regułą było jednak przede wszystkim mordowanie samych „winowajców" wraz z ich rodzinami oraz oczywiście żydowskimi podopiecznymi.

GROSS, JEGO EPIGONI I ICH METODY „BADAWCZE"

Niemieckie prawo okupacyjne dotyczące pomocy prześladowanym Żydom zaprzecza tezie o rzekomo powszechnym morderczym antysemityzmie Polaków. Gdyby Polacy tak masowo i ochotniczo brali udział w prześladowaniu Żydów, jak twierdzą Jan Tomasz Gross i jego epigoni, nie byłyby przecież konieczne tak drakońskie kary za udzielaną im pomoc oraz wymuszanie „współdziałania" pod groźbą kary śmierci. A przecież w innych okupowanych przez Niemców krajach, np. we Francji, Holandii czy Belgii, takie ustawodawstwo nie było konieczne i go nie wprowadzono.

Z tego powodu wspomniani „badacze" Holokaustu pomijają całkowicie ten aspekt lub bagatelizują jego znaczenie przy przedstawianiu postaw ludności polskiej. W ten sposób systematycznie zafałszowują i wypaczają tamte tragiczne wydarzenia oraz relacje polsko-żydowskie w okresie niemieckiej okupacji.

Metoda „badawcza" Jana Tomasza Grossa nie ma wiele wspólnego z badaniami naukowymi, za to sporo z antypolską propagandą. Charakterystyczną cechą jego publikacji na temat Holokaustu jest nieprzestrzeganie podstawowych wymagań naukowych, czego przykładem jest książka „Sąsiedzi". Zapoznałem się ze źródłami wykorzystanymi przez Grossa w tej publikacji i po dogłębnej analizie stwierdziłem, że metodą Grossa na podstawie tych samych dokumentów i źródeł można udowodnić zupełnie przeciwstawne tezy.

Metoda „badawcza" Grossa polega na bezkrytycznym traktowaniu relacji tych, którzy przeżyli Holokaust. Jan Tomasz Gross ogłosił to jako nowe podejście do źródeł i stwierdził, że ustanawia nowe wzorce dla historiografii Holokaustu. Uważa on, że „nasza postawa wyjściowa do każdego przekazu pochodzącego od niedoszłych ofiar Holokaustu powinna się zmienić z wątpiącej na afirmującą". Jednak taka metoda „badawcza" nie jest niczym nowym, lecz obowiązującym od dekad dogmatem „zastępczej religii" Holokaustu.

Równocześnie Gross twierdzi autorytatywnie: „O złą wolę względem sąsiadów Polaków w tej materii (relacje o stosunkach polsko-żydowskich podczas wojny) nie mamy podstaw podejrzewać Żydów".

Gotowość Grossa do afirmacji świadectw niedoszłych ofiar Holokaustu ma jednak swoje granice. Akceptuje on bowiem jedynie takie relacje, które potwierdzają jego tezy, a inne systematycznie ignoruje. Przykładem są relacje świadków żydowskich spisane w latach 1941–1942 o sytuacji na Kresach, pod okupacją sowiecką. Wielu żydowskich autorów tych relacji ocenia bardzo krytycznie postawy części społeczeństwa żydowskiego w stosunku do Polaków. Jeden z nich tak opisuje sytuację w Wilnie: „Żydowscy komuniści igrali z uczuć patriotycznych Polaków, denuncjowali ich nielegalne rozmowy, wskazywali polskich oficerów oraz byłych wyższych urzędników, z własnej woli pracowali w NKWD i brali udział w aresztowaniach".

Gross konsekwentnie omija takie relacje, bo przeczą one jego tezie, że podczas okupacji sowieckiej nie wydarzyło się nic, co mogłoby wpłynąć negatywnie na zaostrzenie i bez tego napiętych stosunków polsko-żydowskich.

W Polsce Gross ma wielu naśladowców, którzy ochoczo stosują jego metody „badawcze". Wspomnę tutaj tylko Jana Grabowskiego i jego manipulacje w publikacji „Judenjagd", o czym już wielokrotnie pisałem. Grabowski posunął się tak daleko, że zmanipulował nawet tekst mojego stryja.

Smutne jest tylko to, że „badania naukowe" polskich epigonów Grossa są finansowane z pieniędzy polskich podatników pod pretekstem wspierania badań naukowych. A przecież ich publikacje nie mają wiele wspólnego z nauką. Niestety jest to cecha wielu publikacji dotyczących historii Holokaustu, także w Stanach Zjednoczonych. Raul Hilberg, zmarły przed laty nestor badań historii zagłady Żydów i światowy autorytet w tej dziedzinie, stwierdził już w latach 90., że w USA nie funkcjonuje „kontrola jakości" w dziedzinie badań nad Holokaustem.

Zamiast uchwalać nowe ustawy, postarajmy się, aby w badaniach relacji polsko-żydowskich finansowanych z pieniędzy polskiego podatnika przestrzegano podstawowych reguł badań naukowych. Już samo to będzie stanowiło duży postęp i przyczyni się do poprawy wizerunku Polski.

eprasa.pl 7313dec8fb

USTAWA O IPN A „ZASTĘPCZA RELIGIA" HOLOKAUSTU

Ustawa o IPN, w aktualnej postaci, podważa jeden z podstawowych dogmatów „zastępczej religii" Holokaustu Państwa Izrael oraz diaspory żydowskiej na świecie. Trudno się więc dziwić, że reakcje rządu izraelskiego oraz mediów są tak gwałtowne. Tutaj nie chodzi o fakty historyczne, lecz o wiarę. Negowanie współodpowiedzialności Polaków za zagładę Żydów jest zaprzeczeniem jednego z kluczowych dogmatów „religii" Holokaustu, dlatego tak raptowne są reakcje na ustawowy zapis o penalizacji przypisywania współodpowiedzialności narodu i państwa polskiego za Holokaust.

Bo przecież wszelkie publikacje, które ten dogmat potwierdzają, są przyjmowane bezkrytycznie i bezrefleksyjnie jako prawda objawiona, stąd popularność i kariera medialna Jana T. Grossa. W moim przekonaniu celowo prowokuje on ostre reakcje i odbywa się to w podobny sposób, jak czyni to osławiony już prowokator Andrzej Hadacz.

W lutym 2016 r. zapoznałem się z ówczesnym projektem ustawy stworzonej przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Napisałem wówczas notatkę skierowaną do ministerstwa, jednak nie wiem, czy została tam dostarczona. Napisałem w niej m.in.: „Bardzo dobrze, że rząd polski podejmuje działania mające na celu ściąganie kłamliwych sformułowań typu »polskie obozy koncentracyjne«. Wstępna propozycja Ministerstwa Sprawiedliwości w tej sprawie nosi w sobie jednak pewne zagrożenia, może wręcz zachęcić do różnego typu prowokacji medialnych (podobnych do niedawnych wypowiedzi Jana T. Grossa do mediów anglo- i niemieckojęzycznych). [...] Taka ustawa może sprowokować nawet medialną nagonkę na Polskę i rząd polski, iż rzekomo chce się zabronić krytycznej debaty na temat polskiej historii (tenor: wprowadzenie cenzury), co przecież nie jest intencją wspomnianego projektu ustawy".

Niestety okazało się, że miałem rację. Całkowicie zgadzam się z oceną tej ustawy przez byłego premiera Jana Olszewskiego. W jego przekonaniu „projekt nowelizacji ustawy o IPN nie powinien nigdy trafić do Sejmu w takiej postaci. [...] W praktyce jest nie do zastosowania". Ta ustawa i burza, którą ona wywołała, niestety zaszkodziła także bardzo Instytutowi Pamięci Narodowej. W istniejącej sytuacji trudno będzie odbudować wizerunek tej instytucji poza granicami Polski.

Pytanie, czy rząd Polski przez specjalną ustawę powinien reagować na wypowiedzi red. Grossa, czyli Hadacza dyskusji nad Holokaustem na terenie Polski, a także na jego epigonów oraz ich najwidoczniej świadome prowokacje? Pojawiają się głosy mówiące o tym, że jednym z celów nowej ustawy o IPN była chęć „dopadnięcia" Grossa i jego epigonów. Jeżeli tak było, to prowokator Gross święci po raz kolejny triumfy.

> Gdyby Polacy tak ochoczo brali udział w prześladowaniu Żydów, jak twierdzą Jan T. Gross i jego epigoni, nie byłyby przecież konieczne tak drakońskie kary za udzielaną im pomoc

ZWALCZANIE NOWOCZESNEGO „SZMALCOWNICTWA"

Wielu publicystów podkreśla aspekt materialny omawianego tutaj konfliktu, czego nie można wykluczyć, więc i to powinniśmy uwzględnić.

Obowiązkiem państwa polskiego jest zwalczanie nowoczesnego „szmalcownictwa", czyli przede wszystkim wzbogacania się przez przestępców i różnych cwaniaków na majątku „pożydowskim" w ramach „dzikiej/złodziejskiej prywatyzacji". Najbardziej znanym przypadkiem jest rodzina Waltzów z Warszawy, która nie miała najmniejszych skrupułów, aby wzbogacić się na majątku ofiar Holokaustu. W tym samym czasie prezydent miasta Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz – żona i matka wspomnianych „beneficjentów" „dzikiej prywatyzacji" – wygłasza płomienne frazesy o konieczności walki z antysemityzmem.

Środki odzyskane z tego niecnego procederu oraz uzyskane ze sprzedaży jeszcze nierozszabrowanych domów, działek i innego majątku pomordowanych żydowskich właścicieli, bez prawnych spadkobierców, można by przeznaczyć na upamiętnienie i rozpropagowanie przebogatej historii i kultury żydowskiej oraz pamięci o zagładzie Żydów na ziemiach polskich. Niemieccy oprawcy czynili przecież wszystko, aby nie tylko wymordować wszystkich Żydów, lecz także, by wymazać wszelkie ślady żydowskiej historii i kultury na ziemiach polskich.

Dzięki temu pokażemy współczesnym Żydom, iż Polska nie jest tylko ogromnym cmentarzem żydowskim z obozami zagłady, lecz także krajem, w którym Żydzi „stworzyli bezprecedensowe dzieła intelektu religijnego i ducha, a judaizm kwitł swobodnie i rozwinął się bardziej niż gdzie indziej, kraj pełen pomników żydowskiej duchowości, a nie tylko żydowskich grobów i miejsc śmierci i zagłady". To niemieckie państwo i niemiecki narodowy socjalizm zgładziły w okrutny sposób żydowską społeczność i jego kulturę na terenach okupowanej przez Niemców Polski. Państwo polskie oraz naród polski nie miały fizycznej możliwości zapobiec tej zbrodni.

Państwo i społeczeństwo polskie nie może się wzbogacić na majątku pomordowanych Żydów z przyczyn moralno-etycznych. Jako wkład założycielski odpowiedniej fundacji mogą posłużyć pieniądze odzyskane od rodziny Waltzów, co będzie nie tylko aktem symbolicznym. Natomiast żądania, aby z tych środków finansować podobne inicjatywy poza granicami Polski, nie mają żadnych podstaw moralnych ani prawnych.

Autor jest historykiem specjalizującym się w badaniu dziejów Niemiec, Polski i Rosji w XX w., zwłaszcza w okresie II wojny światowej i w latach międzywojennych

eprasa.pl 7313dec8fb

W polskiej polityce nastąpiła zasadnicza zamiana ról: PiS jest modernizatorem, PO hamulcowym i frustratem

Fot. Andrzej Wiktor

Pułapka na opozycję

STANISŁAW JANECKI

Po buńczucznych wypowiedziach polityków Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej w związku z międzynarodowymi reperkusjami przyjęcia noweli ustawy o IPN można by sądzić, że opozycja złapała drugi oddech i prostą drogą zmierza do władzy. Problemem jest to, że albo liderzy opozycji niczego nie rozumieją, albo wiedzą, co się dzieje, i jeszcze mocniej niż dotychczas brną w kłopoty. Najnowsze osiągnięcia polityków PO to nawiązanie przez Grzegorza Schetynę stosunków dyplomatycznych z USA, a konkretnie z ambasadorem Paulem Jonesem. Poinformował o tym wiceprzewodniczący partii Tomasz Siemoniak i ma to być dowodem tworzenia alternatywnej polityki zagranicznej, bo ta państwowa jakoby się zawaliła. Taki wniosek wyciągnął właśnie Siemoniak, twierdząc, że rząd PiS nie ma żadnych relacji z Waszyngtonem, skoro sekretarz stanu Rex Tillerson wydał dość chłodne oświadczenie po podpisaniu ustawy o IPN przez prezydenta Andrzeja Dudę. Siemoniak nie musi oczywiście wiedzieć, że między Departamentem Stanu a polskim MSZ i Kancelarią Prezydenta istnieją gorące linie, wykorzystywane niemal 24 godziny na dobę, a relacje polsko-amerykańskie są intensywniejsze niż kiedykolwiek. Ale słowa Siemoniaka oraz informacje o nawiązaniu stosunków z ambasadą USA pokazują całkowite oderwanie opozycji od rzeczywistości. Podobnie jak żądania przewodniczącej Nowoczesnej Katarzyny Lubnauer, by prezydent Duda zwołał w sprawie ustawy o IPN posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Tyle tylko, że opozycja nie ma żadnego dobrego wyjścia, a jedynym, który chyba to rozumie, jest Schetyna. Rozumieć, a móc coś zmienić, to jednak dwie zupełnie różne sprawy.

TOTALNA DEFENSYWA

Wydawałoby się, że w atmosferze zamieszania wokół naszego kraju i wskutek pokazywania przez opozycję oraz jej media Polski jako państwa niestabilnego, a wręcz stojącego nad przepaścią i skonfliktowanego z całym światem, poparcie dla PO i Nowoczesnej powinno szybko rosnąć. W rzeczywistości jest odwrotnie.

Po pierwsze dlatego, że przeciętni Polacy nie dostrzegają żadnego armagedonu, a swoją sytuację postrzegają jako stabilną i z dobrymi perspektywami na przyszłość. Po drugie, w przeciwieństwie do lat 2007–2015 nie uważają, żeby zagranica miała prawo do nieograniczonego wręcz wtrącania się w wewnętrzne sprawy Polski. Dlatego ataki na rząd Prawa i Sprawiedliwości z zagranicy sporą część społeczeństwa skłaniają do lojalności wobec władzy. Nawet tych, którzy wcześniej PiS nie popierali. Po trzecie, w ostatnich miesiącach polska polityka jest właściwie tylko plebiscytem w sprawie fundamen-

eprasa.pl 7313dec8fb

talnych wartości: suwerenności, podmiotowości, honoru i godności narodowej. I opozycja nie ma co liczyć na to, że większość Polaków uzna te wartości za mało ważne albo opowie się za ich przeciwieństwem. Nawet jeśli niektórych takie „uwznioślenie" polityki trochę irytuje. Po czwarte, to PiS narzuca tematy debaty publicznej, opozycja zaś jest wyłącznie reaktywna. PO głównie reaguje w sprawach polityki zagranicznej i obronnej, a Nowoczesna w sprawach gospodarczych i socjalnych. I ich kontrnarracja wcale nie wygrywa, co widać szczególnie po bardzo chłodnym przyjęciu pomysłów Nowoczesnej, by manipulować przy programie 500+. I co widać po bardzo złym przyjęciu sposobu funkcjonowania Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej, a co jest przecież ukoronowaniem polityki zagranicznej PO.

Po piąte, Platforma na całej linii przegrała bój o wizerunek partii modernizacyjnej, Nowoczesna zaś nie zdołała go zbudować. Porównanie osiągnięć modernizacyjnych w dwuleciu rządów PiS z cztery razy dłuższymi rządami PO bardzo negatywnie działa na modernizacyjny wizerunek partii Schetyny. W dodatku ich wersja modernizacji kojarzy się z wielkimi aferami, o czym Polacy przekonują się w związku z działaniami CBA, pracą komisji weryfikacyjnej i komisji ds. Amber Gold, czy wciąż widocznymi skutkami tego, co ujawniły nagrania z restauracji Sowa & Przyjaciele oraz Amber Room.

Opozycja znalazła się w pułapce przede wszystkim dlatego, że krytyka PiS w tych sprawach, w których tę partię atakuje zagranica, jest odbierana jako przyjmowanie punktu widzenia i realizowanie interesów przeciwników Polski. Szczególnie ostro wyszło to na jaw w związku z atakami na rządzących z PiS polityków i media w Izraelu, przez środowiska żydowskie w USA oraz przez liczący się z ich zdaniem Departament Stanu. Duża część społeczeństwa uznaje, że została przekroczona granica ingerowania w wewnętrzne sprawy Polski, że opozycja się do tego przyczyniła donosami na własny kraj, że idol tej opozycji, czyli Donald Tusk, sprzymierzył się z wrogami Polski. Ten negatywny „efekt Tuska" jest znacznie większy, niż opozycja sobie wyobraża. A przecież szef Rady Europejskiej miał być jej największym atutem, wręcz zbawcą. Efektem tej sytuacji jest to, że znacznie więcej osób uważa, iż Polska jest realnie atakowana, i to nie z własnej winy, więc trzeba wspierać władzę, niż uznaje, że winne jest PiS, dlatego trzeba wspierać opozycję, szczególnie PO, która przez osiem lat rządów takich kłopotów nie miała. Tyle że nie jest to postrzegane tak, iż rzeczywiście nie było problemów, lecz że były one skrywane i maskowane, a większość spraw została po prostu mocno zakłamana, np. kwestie pojednania z Niemcami, Żydami czy Ukraińcami. Każdy głos opozycji współbrzmiący z tymi, którzy atakują PiS oraz jego rząd z zagranicy, jest traktowany niemal w kategoriach zdrady narodowej. A jednocześnie opozycja nie może bronić rządu PiS, bo przyznałaby mu rację. Dlatego głos opozycji jest taki cherlawy, a ona sama nie ma żadnego dobrego wyjścia.

Właściwie opozycja powinna robić wszystko, żeby ataki na Polskę z zewnątrz ustały, gdyż dopóki trwają, poparcie dla niej będzie spadać. Ale nie może tego zrobić, bo zostałaby uznana za jeszcze słabszą, niż faktycznie jest. Można więc rzec, że zamiast totalnej opozycji mamy totalną defensywę.

54 PROC. DLA PiS

PiS robi na własne potrzeby regularne badania na dużej, reprezentatywnej próbie i wedle ostatniego z nich partia Jarosława Kaczyńskiego ma już 54 proc. poparcia, natomiast PO nie przekracza 15 proc., a Nowoczesna 10 proc. Nie osłabła mobilizacja twardego elektoratu PiS po zaskakującej dla tych wyborców wymianie Beaty Szydło na Mateusza Morawieckiego, odejściu z rządu Antoniego Macierewicza oraz wskutek rozdźwięków między PiS a Andrzejem Dudą ujawnionych po zawetowaniu w lipcu 2017 r. dwóch ustaw sądowych. Rekonstrukcja została całkiem gładko przełknięta, o czym Kaczyński przekonał się 10 stycznia 2018 r. podczas pierwszej po zmianach w rządzie miesięcznicy smoleńskiej. A z moich informacji wynika, że nie był wcale pewien, czy ta reakcja nie będzie negatywna.

PiS przybywa zwolenników z kilku kręgów. Po pierwsze, z ponadpartyjnego kręgu osób uważających się za patriotów, zobligowanych do obrony atakowanego rządu w imię wyższych wartości. Po drugie, z kręgu osób mało zaangażowanych politycznie, dla których ważne jest bezpieczeństwo socjalne, które rząd PiS im gwarantuje. Po trzecie, od zwolenników modernizacji, którzy zaakceptowali Morawieckiego jako głównego i sprawnego modernizatora. Po czwarte, od przedsiębiorców liczących na korzyści z wielkich rządowych planów inwestycyjnych. Po piąte, z kręgów samorządowców, którzy biorą pod uwagę, że obecna władza potrwa długo, i nie chcieliby się znaleźć w pułapce wymuszonej wrogości, odcinającej ich od pieniędzy i udziału w projektach modernizacyjnych.

Opozycja, która uważa się za nowoczesną, europejską i otwartą, praktycznie może liczyć tylko na frustratów, osoby mocno zideologizowane i napędzane nienawiścią do PiS oraz roszczeniowe. To oznacza kwadraturę koła, gdyż taki elektorat partie opozycyjne uważają za najgorszy z możliwych, zamknięty w swoich fobiach, skazujący na porażki w kolejnych wyborach. W polskiej polityce nastąpiła więc zasadnicza zamiana ról.

Obecnie to PiS i jego sojusznikom ze zjednoczonej prawicy przypisuje się te wszystkie cechy, które od ok. 2005 r. przypisywano PO, a od 2015 r. Nowoczesnej w wersji Petru. A nawet więcej, bo widać, że PiS jest teraz w gronie pionierów zmiany nastawienia do modelu rozwoju państw i społeczeństw, co szczególnie dobitnie widać było podczas ostatniego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. To polski model rozwoju (gwarantujący wzrost na poziomie ponad 4 proc.) jest teraz nowatorski i przyszłościowy, co już zauważyły niektóre media sprzyjające opozycji, uznając, że znalazła się ona nie tylko w pułapce, lecz wręcz w czarnej dziurze. Zauważyli to też oczywiście zagraniczni eksperci i inwestorzy. I to jest bodaj najważniejszy bufor bezpieczeństwa w momencie, gdy Polska znalazła się pod ostrzałem z zagranicy. A opozycja nie może tego ostrzału wzmacniać, gdyż wyłącznie na tym traci.

eprasa.pl 7313dec8fb

Tomasz Miśkiewicz, mufti Muzułmańskiego Związku Religijnego, twierdzi, że nie spodziewał się, iż pomysł utworzenia finansowanego przez Saudów muzułmańskiego centrum zostanie uznany za kontrowersyjny

Fot. Andrzej Hulimka/REPORTER

Prezent islamistów dla Białegostoku

Kiedy ujawniono, że w Białymstoku ma powstać Muzułmańskie Centrum Kultury i Edukacji, sfinansowane przez Arabię Saudyjską, zapanowała konsternacja. Minister spraw wewnętrznych oświadczył, że nie wydaje się właściwe, by ortodoksyjni wahabici wspierali polskich Tatarów. Sami Tatarzy też nie sprawiają wrażenia zachwyconych tym pomysłem

eprasa.pl 7313dec8fb

MAJA NARBUTT

Twierdzą, że nic o nim nie wiedzieli, a centrum nie jest im potrzebne. Eksperci przestrzegają, że budowa muzułmańskich ośrodków za saudyjskie pieniądze sprzyja szerzeniu ekstremizmu. Niewzruszony spokój zachowuje tylko sprawca całego zamieszania mufti Tomasz Miśkiewicz, który uważa, że prawdziwym problemem jest polska ksenofobia.

– Pan Miśkiewicz zwrócił się do ambasady o wsparcie finansowe dla projektu centrum, obiecaliśmy pomoc. Wystąpiliśmy o zgodę do MSWiA i czekamy, co się będzie działo dalej. Arabia Saudyjska zawsze wspiera szlachetne cele, daje na nie pieniądze, na domy sierot, pomoc chorym, także w Polsce. Co roku przekazujemy na takie inicjatywy na całym świecie 6 mld dol. To właśnie taka suma, nie taka znów zawrotna –anonimowo mówi saudyjski dyplomata.

Tomasz Miśkiewicz, mufti Muzułmańskiego Związku Religijnego, twierdzi, że nie spodziewał się, iż pomysł utworzenia finansowanego przez Saudów muzułmańskiego centrum, którego patronem ma być król Salman, Strażnik Dwóch Meczetów, zostanie uznany za kontrowersyjny. O wspaniałym geście Arabii Saudyjskiej poinformował podczas noworocznego spotkania prezydenta Dudy z przedstawicielami różnych religii. Reakcję ministra MSWiA Joachima Brudzińskiego uważa za „zbyt energiczną".

– Każdy inaczej rozumie, czym jest wahabizm. Arabia Saudyjska chroni tożsamość religijną swoich obywateli. Ma też prawo dbać o pomoc humanitarną i dawać dotacje wyznawcom islamu na świecie. Jeśli się ją krytykuje, to proszę pamiętać, że Polsce też można zarzucić fundamentalizm – chrześcijański. O narastających nastrojach ksenofobicznych w Polsce, nacjonalistycznych marszach huczy przecież cały świat – mówi mufti Miśkiewicz.

Temat wahabizmu najwyraźniej jest kłopotliwy, stara się go unikać. Rozmawiając o ośrodku, który ma powstać za saudyjskie pieniądze, koncentruje się na zupełnie innych kwestiach. Dużo uwagi poświęca drodze prowadzącej do budynku, w którym do tej pory mieści się siedziba Muzułmańskiego Związku Religijnego. Opowiada obszernie, że droga jest prywatna, niewygodna. A sam budynek – skromny, absolutnie nie zapewnia godnych warunków.

W nowym ośrodku ma być oczywiście zupełnie inaczej. Jak zapewnia mufti Miśkiewicz, stanie się on miejscem ciekawych spotkań. Można się będzie tam zetknąć z muzułmańską kulturą, a nawet poznać kuchnię tatarską. Opowiada o tym z zapałem i elokwentnie, przedstawiając wizję prosperującego ośrodka, godną turystycznych folderów.

Ale ja wciąż nietaktownie drążę temat saudyjskich sponsorów. I w końcu, gdy dotykam drażliwego tematu tolerancji religijnej, mufti wygłasza zaskakującą opinię. – Nikt nie prześladuje chrześcijan w Arabii Saudyjskiej. Można mieć różne odczucia, zależy, czy ktoś jest praktykujący, czy nie. Ale ja mieszkałem tam siedem lat i nie spotkałem się, by ktoś się na to skarżył. Twierdzi pani, że za przejście z islamu na chrześcijaństwo grozi tam kara śmierci? Nigdy o czymś takim nie słyszałem – dziwi się mufti.

To tak niewiarygodne i absurdalne, że na chwilę mnie zamurowuje. Prześladowania chrześcijan w Arabii Saudyjskiej są doskonale opisane i udokumentowane w raportach międzynarodowych organizacji praw człowieka. Kara śmierci za przejście na chrześcijaństwo oraz za ewangelizację nie jest już co prawda wykonywana, ale jej orzeczenie nadal możliwe. Posiadanie Biblii jest zakazane, a policja religijna dokonuje nalotów na domy, by sprawdzić, czy cudzoziemcy nie uczestniczą w nabożeństwach prywatnych. A chociaż Arabia Saudyjska hojnie wspiera budowę meczetów na całym świecie, to nie do pomyślenia jest, by w tym kraju mogła funkcjonować choćby jedna świątynia chrześcijańska.

Twierdzenie muftiego Miśkiewicza, że nie prześladuje się tam chrześcijan ani nikt się na takie prześladowania nie skarży, stawia pod znakiem zapytania jego wiarygodność. W kręgu polskich Tatarów arabskie fascynacje muftiego są tematem komentarzy. Mieszkający w Polsce od wieków Tatarzy zwykle przejawiają dużą rezerwę w stosunku do muzułmańskich przybyszy z innych krajów, czują ich obcość kulturową. Mówią, że nie zamierzają przejąć „arabskich obyczajów", a pod tym pojęciem rozumieją także fundamentalizm religijny.

Miśkiewicz stanowi wyjątek – jego przeciwnicy podkreślają, że nie tylko otacza się muzułmanami z krajów arabskich i Turcji, lecz ich wręcz faworyzuje. Nie spodobało im się, gdy twierdził, że w epoce globalizacji wszyscy wyznawcy islamu powinni się jednoczyć. A tworzenie ośrodka muzułmańskiego za pieniądze saudyjskie budzi w środowisku tatarskim spory niepokój.

– Ostrzegałem na kongresie Muzułmańskiego Związku Religijnego, że nikt za darmo pieniędzy nie daje. Zawsze się czegoś od biorącego oczekuje, są jakieś zobowiązania. Teraz nagle pojawiła się sprawa tego ośrodka. Zostaliśmy zaskoczeni, nikt się z nami nie konsultował. Powiedzielibyśmy dokładnie to, co mówimy teraz: Tatarom ten ośrodek potrzebny nie jest. Może być dla nas wyłącznie źródłem kłopotów – mówi Janusz Aleksandrowicz, tatarski imam z Kruszynian.

Oficjalnie Tatarzy utrzymują, że boją się niechęci miejscowego społeczeństwa, kiedy się rozejdzie, że w Białymstoku jest muzułmański ośrodek finansowany przez Arabię Saudyjską. Zupełnie nieoficjalnie, wręcz w sekrecie, przyznają, że i oni mogą się obawiać oddziaływania radykalnej ideologii i nie mają pojęcia, kto ma prowadzić modlitwy w nowym ośrodku. Już w przeszłości zdarzało się, że rezygnowali z przyprowadzania dzieci na nauki koraniczne w domu modlitwy finansowanym za saudyjskie pieniądze. Zadecydowali, że nauka religii powinna się odbywać na gruncie neutralnym, w państwowej szkole.

Ten lęk nie jest nieuzasadniony. Jak uczą doświadczenia państw zachodnich, wahabizm, najbardziej skrajna forma islamu, nietolerancyjna nawet

eprasa.pl 7313dec8fb

wobec innych jego odmian, jest szczególnie atrakcyjny dla młodzieży – zarówno wywodzącej się z tradycyjnych, zasymilowanych rodzin muzułmańskich, jak i dla konwertytów. Przyciąga, udzielając prostych odpowiedzi na trudne pytania. Formuje nowych bojowników islamu, przekonanych, że czerpią wprost z samego czystego źródła religii.

– Bardzo dobrze, że państwo polskie zamierza się przyglądać projektowi centrum w Białymstoku. Mam wręcz nadzieję, że służby specjalne to monitorują, w końcu po to płacę podatki, by czuwano nad bezpieczeństwem państwa – podkreśla jeden z Tatarów, zastrzegając anonimowość. Jak mówi, podobnie myśli wielu polskich Tatarów.

FANABERIE I INTERES MAŁŻONKI

– Przecież nie zrobimy pikiety przed MSWiA w Warszawie, trzymając transparenty, że nie chcemy, by naszym muftim nadal był Tomasz Miśkiewicz. Źle by to wyglądało, zwłaszcza teraz, kiedy się powtarza, że muzułmanie są źródłem problemów. A Rzeczpospolita przez kilkaset lat nigdy nie miała kłopotu z Tatarami. I niech już tak zostanie – mówi mi jeden z Tatarów. „Przejrzeliśmy na oczy, straciliśmy złudzenia". Takie stwierdzenia często słyszę od swoich tatarskich rozmówców, gdy wypływa temat ich muftiego.

Kiedy Tomasz Miśkiewicz, który w latach 90. jako 15-letni chłopiec wyjechał z rodzinnej Suchowoli, by pobierać nauki koraniczne na Bliskim Wschodzie, wrócił w końcu do Polski, społeczność tatarska przyjęła go z entuzjazmem. Imponował wszystkim. Od pokoleń polscy Tatarzy pisali teksty modlitw alfabetem łacińskim, nie marząc nawet o zgłębieniu Koranu w oryginale. A Miśkiewicz miał prawdziwą religijną wiedzę, potwierdzoną dyplomem z Arabii Saudyjskiej, a także rozległe kontakty w świecie muzułmańskim, którymi się chwalił. Wybrano go więc na muftiego, pierwszego, jakiego polscy Tatarzy mieli po II wojnie światowej.

Ale bardzo szybko nastroje się zmieniły. Przeciwników Miśkiewicza przybywało, zarysowywały się głębokie podziały. – Kłócono się w rodzinach, dzieci myślały inaczej niż rodzice, jeszcze nigdy w naszej społeczności nie było takiego fermentu – mówi Bronisław Talkowski, przewodniczący gminy muzułmańskiej w Kruszynianach, niewielkiej wsi na Podlasiu, zwanej Mekką polskich Tatarów. Konflikt narastał, miał kolejne odsłony. Pisano pisma do władz, wyszukane, utrzymane w barokowej stylistyce. „Nadszedł czas, gdy zmęczeni obrazem zniszczenia i upokorzenia, musimy uderzyć pięścią w stół. Przez długie lata znosiliśmy cierpliwie fanaberie Tomasza Miśkiewicza i niejasne interesy jego małżonki" – skarżyli się w petycji przeciwnicy muftiego.

Nie zawsze było jednak tak elegancko i powściągliwie. Niektóre epizody starć zwolenników i przeciwników Miśkiewicza są wręcz epickie, zwłaszcza gdy do akcji włączali się pełni temperamentu imamowie, którzy przyjechali z krajów arabskich. Nawet w przyziemnym języku raportów policyjnych opisy zajść w meczetach brzmią barwnie i malowniczo. Tatarzy pisali nie tylko petycje, lecz także skargi do policji i prokuratury. Spływały również pisma do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Poniewczasie dawni zwolennicy Miśkiewicza, którzy stali się jego zażartymi przeciwnikami, doszli do wniosku, że od samego początku jego wybór na stanowisko muftiego był nieważny. Przyszły mufti nie spełniał bowiem zasadniczego warunku narzuconego przedwojenną ustawą: nie miał ukończonych 40 lat. A poza tym nie wybrano go na kongresie elekcyjnym, jak każe ustawa, bo takiego kongresu po wojnie nie było.

Ale bardzo szybko okazało się, że Miśkiewicza skutecznie odwołać się nie da. Chociaż odwołał go najpierw wszechpolski Kongres Tatarów, a kilka lat potem na specjalnym kongresie elekcyjnym wybrano nowego muftiego, to wszystko okazywało się nieważne. Za każdym razem Miśkiewicz wracał z Warszawy, triumfalnie wymachując zaświadczeniem z odpowiedniego resortu – najpierw Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, a potem MSWiA. Czarno na białym potwierdzano, że to właśnie on jest muftim. I będzie nim dożywotnio. Koniec i kropka, tak stanowi ustawa z 1936 r. Najwyraźniej pewne zapisy tej ustawy w oczach dyrektorów departamentów były nienaruszalne, a inne – nieistotne.

W końcu Tatarzy zaczęli uważać, że skoro Miśkiewicza tak mocno przyspawano do stołka, że nie liczy się nawet gwarantowana konstytucją autonomia związków wyznaniowych, to najwyraźniej istnieją ważne, ale ukryte powody. Doszli też do wniosku, że gdzieś na górze uznano, że ten mufti jest po prostu użyteczny.

Zapewne to jest przyczyną, że kiedy Miśkiewicz nieoczekiwanie poinformował, że w Białymstoku powstanie Muzułmańskie Centrum, to niektórzy Tatarzy uwierzyli, że nie działał na własną rękę, i snują spiskowe teorie. – Jeśli to centrum nie jest Tatarom potrzebne, to znaczy, że przygotowuje się je dla kogoś innego. Zapewne rząd szykuje się już do przyjęcia imigrantów z krajów arabskich, którzy zaczną wkrótce masowo napływać. Ja wiem, że mówi się oficjalnie coś innego, ale chyba spodziewana jest wielka fala imigracji – stwierdza z przekonaniem Jan Adamowicz, prezes Związku Tatarów RP.

RODZINNY HALAL

Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. To zdanie pada zdumiewająco często, gdy rozmawiam z polskimi muzułmanami o konflikcie wśród Tatarów. I nie chodzi o hojne, a często dyskretne dotacje, jakie mogą płynąć z saudyjskiej organizacji Al-Rabita, wspierającej działania islamizacyjne, czy tureckiej państwowej agencji TIKA.

Gra toczy się o wpływy z certyfikatów halal, potwierdzających, że żywność jest zgodna z religijnymi zasadami i może być eksportowana do muzułmańskich krajów. To olbrzymi biznes – sam eksport mięsa halal z Polski ma roczną wartość ok. 1,5 mld zł. Certyfikaty halal musi mieć też mleko w proszku sprzedawane do Indonezji, katering dostarczany na pokłady samolotów arabskich linii lotniczych, a nawet eksportowane na muzułmańskie rynki, a produkowane u nas torebki ze skóry.

Mufti Miśkiewicz właśnie takie certyfikaty wystawia. Nie on jeden, ale właśnie on ma zdecydowanie największy kawałek tego tortu. A Tatarzy uwa-

eprasa.pl 7313dec8fb

żają, że nie dzieli się z nimi sprawiedliwie, i nawet nie mają pojęcia, jakie są rzeczywiste zyski. W dodatku obsługą systemu halal zajmuje się specjalnie utworzona w tym celu firma żony muftiego, HP Quality & Consulting.

To fakt niezaprzeczalny i zaskakujący. Ale mufti twierdzi, że nie ma w tym niczego dziwnego ani niewłaściwego. – Nie uważam, że jest to niestosowne. Społeczność tatarska jest bardzo mała, właściwie to jedna wielka rodzina, zawsze się okaże, że ktoś jest czyjąś ciocią, wujem itd. To nie do uniknięcia – twierdzi Miśkiewicz. Brzmi to zdecydowanie nieprzekonująco. Podobnie jak tłumaczenie innej drażliwej kwestii – dlaczego Tomasz Miśkiewicz używa tytułu „mufti Rzeczypospolitej", choć w rzeczywistości jest muftim w Rzeczypospolitej. – Posługuję się skrótem – tłumaczy Miśkiewicz.

To chyba niezupełnie prawda. Wyrzucenie z tytułu „mufti w Rzeczypospolitej" literki „w" specjalnie go nie skraca, ale za to zdecydowanie zmienia jego znaczenie. Muftich w Rzeczypospolitej może być kilku. Mufti Rzeczypospolitej powinien być jeden. Sam Miśkiewicz jest tego najwyraźniej doskonale świadomy, bo starał się, choć bezskutecznie, by oficjalnie przysługiwał mu ten właśnie tytuł. – Używając tego tytułu, sugeruje, że jest duchowym zwierzchnikiem wszystkich muzułmanów w Polsce. W krajach arabskich robi to wrażenie. Nikt nie musi wiedzieć, że za tym szumnym tytułem stoi garstka Tatarów, najwyżej kilkaset osób. Miśkiewicza wita się więc z honorami, może się napawać splendorem i traktowany jest bardzo poważnie. Lubi to, ten styl, zresztą sam nosi się jak bogaty Saudyjczyk – mówi młody muzułmanin z Warszawy.

KSENOFOBIA I TAKIJA

Muzułmańskie Centrum Kultury i Edukacji w Białymstoku to dopiero mglisty projekt, ale już budzi emocje. Nieuniknione – tak sądzą właściwie wszyscy. Oprócz muftiego Miśkiewicza, który powtarza, że nie ma przecież wpływu na ksenofobiczne i rasistowskie nastroje w Polsce.

– Oczywiście, centrum muzułmańskie może się nie spodobać pewnym publicystom. Protestował już ks. Isakowicz-Zaleski. No ale on, wiadomo, obraził nawet ks. bp. Pieronka, który stwierdził jasno, że w Polsce narasta faszyzm. Byłem zniesmaczony, że można atakować tak zasłużonego człowieka – ubolewa mufti.

Jak twierdzi, mieszkańcy Białegostoku ucieszą się z powstania centrum finansowanego przez Arabię Saudyjską. Słyszał już nawet głosy poparcia. A reakcję ministra Joachima Brudzińskiego, który zapowiada, że weźmie pod lupę projekt placówki, uważa za przesadzoną.

W entuzjazm Polaków nie bardzo wierzą za to eksperci od islamu, przewidując, że centrum może być źródłem kłopotów. – Sponsor z Arabii Saudyjskiej to nie brzmi najlepiej, zwłaszcza w obecnym klimacie politycznym. Takie związki wywołują zaniepokojenie, niezależnie od tego, co by się w tym ośrodku działo. A czy sponsor ma wpływ na instytucję, którą finansuje? To oczywiste, niezależnie od tego, kto jest sponsorem. Są przykłady: tam gdzie w grę wchodziły pieniądze tureckie, pojawiał się imam z Turcji – mówi dr hab. Katarzyna Górak-Sosnowska, specjalizująca się w zagadnieniach islamu i kultury muzułmańskiej.

„Tsunami pieniędzy" – tak mówi się o liczonych w miliardach dolarów potężnych środkach finansowych Arabii Saudyjskiej, przeznaczonych na projekty religijne i kulturalne. Jak twierdzą eksperci, związek tych projektów z szerzeniem islamskiego ekstremizmu nie tylko w Europie, lecz i na całym świecie, jest bezsprzeczny.

> Mieszkający od wieków w Polsce Tatarzy mówią, że nie zamierzają przejąć „arabskich obyczajów", a pod tym pojęciem rozumieją także fundamentalizm religijny

To temat tak drażliwy, że premier Wielkiej Brytanii Theresa May oświadczyła, że dotyczący tego zjawiska raport brytyjskiego kontrwywiadu ze względu na dobre stosunki z Arabią Saudyjską musi pozostać tajny.

– Powiedzmy otwarcie: tam gdzie Arabia Saudyjska sponsoruje domy kultury, placówki religijne i edukacyjne, okazuje się bardzo często, że są one związane z rozpowszechnianiem myśli wahabickiej, salafickiej, niebezpiecznej i sekciarskiej odmiany islamu. Ściśle związanej z upowszechnianiem muzułmańskiego ekstremizmu. Tę lekcję Europa już przerobiła i wyciąga wnioski – mówi dr Wojciech Szewko, ekspert Narodowego Centrum Studiów Strategicznych ds. Bliskiego Wschodu.

W Austrii zakazano już finansowania przez obce państwa placówek religijnych, wprowadzenie zakazu planuje też Francja. Bardzo krytycznie o finansowaniu placówek przez Arabię Saudyjską wypowiadają się politycy niemieccy. Mamy więc szansę uniknięcia błędów popełnionych przez inne państwa. – Można by pomyśleć, że MSWiA zapowiadając, że będzie się przyglądać pomysłowi stworzenia Centrum Kultury Muzułmańskiej, przesadza i dmucha na zimne. Ale kiedy posłuchałem w radiu muftiego Miśkiewicza i tego, co opowiada o tolerancji w Arabii Saudyjskiej i jak bardzo ta opowieść odbiega od rzeczywistości, to wzbudziło moje zaniepokojenie. Tak jakby nie było tam kary śmierci za nawracanie na chrześcijaństwo czy wieloletniego więzienia za przemycanie Biblii – mówi dr Szewko. I dodaje, że kiedy słuchał muftiego Miśkiewicza, nieodparcie nasunęło mu się jedno słowo – takija.

„Takija" oznacza w zasadzie ostrożność, ale bardziej precyzyjne tłumaczenie mówi o ukrywaniu czy wręcz obłudzie. Zgodnie z Koranem można ukrywać swe rzeczywiste poglądy, jeśli ich ujawnienie wiązałoby się z niebezpieczeństwem i przysparzałoby problemów wśród wyznawców innych religii.

eprasa.pl 7313dec8fb

Posłanka też matka

Ponieważ nie mają umowy o pracę, urlop macierzyński im się nie należy. By pogodzić macierzyństwo z obowiązkami posła, muszą pokonać wiele barier i przeszkód. Sejmowe mamy nie mają lekko

DOROTA ŁOSIEWICZ

Premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern zostanie mamą. Pani premier ogłosiła, że w czerwcu uda się na krótki urlop macierzyński, ale potem obowiązki w domu przejmie jej partner. W Nowej Zelandii rozpętała się dyskusja, czy urzędująca premier powinna się podać do dymisji, czy może jednak powinna dalej pełnić swą funkcję. „Będę szefową rządu i mamą" – powiedziała Ardern dziennikarzom przed swoim domem w Auckland. Oświadczyła, że o zajściu w ciążę dowiedziała się zaledwie sześć dni przed tym, jak się okazało, iż pokieruje rządem. Zdradziła także, że była to dla niej „całkowita niespodzianka". „Nie jestem pierwszą kobietą, która będzie pracowała i miała dziecko. Wiem, że okoliczności są wyjątkowe, ale jest wiele kobiet, które dobrze radziły sobie z tym przede mną" – oświadczyła stanowczo.

Fot. Julita Szewczyk

POKÓJ DLA MAM

W Polsce nie było do tej pory sytuacji, by w ciążę zaszła urzędująca premier. Zresztą tylko trzy kobiety piastowały to stanowisko – Hanna Suchocka, Ewa Kopacz i Beata Szydło. Zdarzały się jednak przypadki, że mamą zostawała parlamentarzystka. W III RP podczas wykonywania mandatu mamami zostało siedem posłanek. A dokładniej tyle zgłosiło fakt macierzyństwa w Kancelarii Sejmu. Pierwszą z nich była Dorota Arciszewska-Mielewczyk. W 1998 r. na świat przyszła Zosia. Gdy miała 12 dni, po raz pierwszy zwiedzała Sejm RP.

– To były czasy AWS, przeprowadzaliśmy wiele reform, każdy głos się liczył. Pamiętam, jak śp. Maciej Płażyński dzwonił do mnie i prosił: „Dorota, przyjeżdżaj". I ja pakowałam wtedy wózek, wanienkę, babcię, dziecko i gnałam do Warszawy. Potem po Sejmie chodziłam z wózkiem. Niestety dość szybko musiałam zrezygnować z naturalnego karmienia, ponieważ stres źle wpłynął na laktację – wspomina Dorota Arciszewska-Mielewczyk.

Strach o to, czy poselskie obowiązki nie wpłyną negatywnie na karmienie, nie jest obcy także Kornelii Wróblewskiej z Nowoczesnej, która mamą została trzy miesiące temu.

– Zauważyłam, że przy okazji awantury o projekt ustawy liberalizujący prawo aborcyjne Tosia stała się bardziej nerwowa, płaczliwa i nie może się najeść. Na szczęście wszystko wróciło do normy – opowiadała Kornelia Wróblewska, gdy udzielała mi wywiadu dla tygodnika „Sieci".

Przygody z karmieniem miała też posłanka PO Agnieszka Pomaska, która sejmową mamą została aż dwukrotnie. Pierwsza była Zosia. Marysia pojawiła się na świecie w 2012 r. Gazety informowały wówczas: „W jednym z gdańskich szpitali przyszła na świat jej córka. Posłanka jeszcze dzień przed porodem pracowała w swoim biurze poselskim. Niewiele brakowało, a Pomaska urodziłaby w pracy. Szczęśliwa mama informację o narodzinach potwierdziła w internecie: »Czekała, czekała, aż zapragnęła być z nami! Megacudowna Marysia już wśród nas:-) Ściskamy i dziękujemy za wszystkie gratulacje!:-)«". Problemy pojawiły się trzy tygodnie później. Agnieszka Pomaska relacjonowała, że 11 maja nie chcieli jej wypuścić z Sejmu blokujący budynek związkowcy. Głosowania się przeciągały, a na nią w domu czekała trzytygodniowa córeczka, miała więc dużą motywację, żeby szybko do niej wrócić. „Podeszłam do barierki. Powiedziałam, że jestem mamą karmiącą, że spieszę się do dziecka. To zostało zignorowane. Próbowałam przejść. W pierwszym momencie zostałam zrzucona z tej barierki" – opowiadała na antenie TVN24 Pomaska.

> Przez 20 lat nasłuchałam się, co by tu można zrobić dla tych sejmowych matek. Była mowa i o przedszkolach, i żłobkach. Posłowie głównie gadali
>
> ***Dorota Arciszewska-Mielewczyk**, posłanka PiS*

Wróćmy jednak do 1998 r. – Wykonując mandat posła, zabiłam wszystkim ćwieka. Nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Marszałek zastanawiał się wówczas, co mi się należy, a co nie. Ponieważ posłowie nie mają umowy o pracę, doszedł do wniosku, że urlop macierzyński mi nie przysługuje – wspomina Arciszewska-Mielewczyk.

Prawna sytuacja mam posłanek do dziś się nie zmieniła. – Nie przysługuje mi urlop macierzyński, ponieważ nie mam pracodawcy – tłumaczyła mi Wróblewska. – Jeśli więc jestem nieobecna podczas posiedzenia, wówczas jest mi to potrącane z uposażenia posła. Dlatego zdecydowałam się przychodzić do pracy z Tosią – dodaje posłanka Nowoczesnej.

Dorota Arciszewska-Mielewczyk w 1998 r. przecierała szlaki kolejnym sejmowym mamom. – Marszałek Płażyński szybko się zorientował, że jako sejmowa mama nie mam zbyt komfortowych warunków. Musiałam się gnieść w jednym gorącym, pozbawionym klimatyzacji pokoiku z dzieckiem i babcią, wózkiem i wanienką. Załatwił mi wówczas dwuosobowy apartament, tzw. dla gości, i tam już się dało jakoś funkcjonować. A ja dzielnie jeździłam z babcią i z Zosią na każde posiedzenie, tak by móc wypełniać obowiązki posła – opowiada posłanka PiS.

Dziś w hotelu sejmowym jest jeden pokój przeznaczony dla mam. Nie korzysta z niego Kornelia Wróblewska, ponieważ mieszka w Warszawie i nie ma takiej potrzeby. Kancelaria Sejmu zapewniła natomiast posłance Nowoczesnej udogodnienia w pokoju pracy posłów, tak by podczas obrad z Tosią mogła tam przebywać także babcia.

Z pokoju w sejmowym hotelu korzystała za to Małgorzata Golińska z PiS: – W hotelu sejmowym jest jeden pokój dla mam. Ponieważ wchodząc do Sejmu, miałam najmłodsze dziecko, został mi on przydzielony. Tam jest większa łazienka, z wanną, jest łóżeczko i dodatkowe łóżko dla osoby, która ze mną przyjeżdżała. Myślę, że ten komfort to wynik perypetii, przez które przechodziła m.in. posłanka Arciszewska-Mielewczyk – uśmiecha się Golińska.

BIEG Z PRZESZKODAMI

Gdy Arciszewska-Mielewczyk weszła do Sejmu, miała 29 lat. Jak wspomina, mocno jej odradzano kandydowanie. Wciąż słyszała: „Niech pani sobie najpierw życie ułoży, dzieci urodzi, a potem do Sejmu się pcha". Gdy już na świecie pojawiła się Zosia, wiele osób radziło posłance, by odpuściła sobie politykę i zajęła się wychowaniem dziecka.

– A ja chciałam pogodzić pracę posła i macierzyństwo. I jakoś mi się to udało. Chociaż to wcale nie było łatwe – wspomina Arciszewska-Mielewczyk.

Z podobnymi komentarzami spotkała się najświeższa sejmowa mama, czyli Kornelia Wróblewska. – Internet jest bezlitosny. Wylało się na mnie z powodu decyzji o przychodzeniu do Sejmu z dzieckiem oraz z powodu publicznego karmienia piersią morze

eprasa.pl 7313dec8fb

hejtu. Wiele osób pisało, że z dzieckiem trzeba siedzieć w domu, bo potrzebuje spokoju, że przychodzenie z córką do pracy naraża jej zdrowie. Ludzie pisali też, że karmienie piersią jest sytuacją tak intymną, że powinno się odbywać wyłącznie w zaciszu czterech ścian. Ja się z tym nie zgadzam. Nie wyobrażam sobie inaczej – mówiła mi posłanka Nowoczesnej.

Z córką w Sejmie pojawiały się nie tylko Dorota Arciszewska-Mielewczyk czy Kornelia Wróblewska. Na posiedzeniach Sejmu z Zosią w chuście widziana była także Agnieszka Pomaska. Na przywożenie dziecka do pracy zdecydowała się też Małgorzata Golińska. Gdy została posłanką, jej młodszy syn miał rok. Pani poseł nie wyobrażała sobie rozłąki z tak małym dzieckiem, dlatego przez pierwszy rok woziła ze sobą Mikołaja do pracy. Zawsze towarzyszyła jej mama, teściowa lub siostra.

– Gdy byłam na sali plenarnej lub na posiedzeniu komisji, one zajmowały się Mikołajem w hotelu sejmowym. Ja biegłam do synka w każdej wolnej chwili, by nakarmić go piersią, a karmiłam go ponad dwa lata – wspomina Golińska. – Czasem pokonywałam sejmowy korytarz w rekordowym tempie, by po karmieniu zdążyć na głosowania – śmieje się posłanka PiS.

Wszystko po to, by utrzymać więź z dzieckiem. Pierwszy syn posłanki Golińskiej, Tomek, który dziś ma już siedem lat, także chodził z mamą do pracy. – Byłam wtedy świeżo upieczonym leśniczym. Brałam nosidełko i wędrowaliśmy razem po lesie. Więź była w ten sposób zachowana. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zerwać tę więź z Mikołajem po skończeniu przez niego roku – opowiada Golińska.

Na ekstremalne biegi, o których opowiada posłanka PiS, nie zdecydowała się Kornelia Wróblewska. Tosię woli mieć przy sobie. Posłanka w rozmowie ze mną zwróciła też uwagę na to, że w Sejmie nie ma wygodnego miejsca dla karmiących posłanek. – Miejsce do tego przeznaczone projektowała chyba osoba, która musiała nie mieć dzieci. Można tam dojść wyłącznie schodami, nie ma żadnej windy ani podjazdu. Jak więc tam dotrzeć z wózkiem? Inna droga prowadzi na zewnątrz budynku, więc zimą musiałabym Tosię ubrać i rozebrać kilka razy, żeby ją nakarmić. Nie mówiąc już o tym, że to jest po prostu mały człowiek, który może zechcieć być przystawiony do piersi w każdej chwili. Karmienia nie da się zaplanować co do minuty. W związku z tym bieg z przeszkodami do odległego pokoju to sport ekstremalny. Podejrzewam, że nikt nigdy z niego nie korzystał. Na szczęście inne drogi w Sejmie są przystosowane dla wózków. Dzięki ułatwieniom dla niepełnosprawnych łatwiej mają też mamy z małymi dziećmi – mówiła Wróblewska.

> Wiele razy, gdy potrzebowałam, nie mogłam skorzystać z sejmowego transportu z dzieckiem, bo ubezpieczenie jest na posła
> *Dorota Arciszewska-Mielewczyk, posłanka PiS*

WÓZEK DO KONTROLI

To nie koniec utrudnień dla sejmowych mam. – Każde wyjście na spacer kończyło się tym, że trzeba było przejechać z wózkiem przez sejmową bramkę. I nie było zmiłuj się, zero litości, że i dziecko, i wózek to stali bywalcy. Mama czy siostra musiały grzecznie przechodzić z wózkiem przez bramkę – śmieje się Golińska.

Posłanki są zgodne, że nigdy nie mogły też liczyć na udogodnienia typu sejmowy samochód na wizytę u lekarza.

– Wiele razy, gdy potrzebowałam, nie mogłam skorzystać z sejmowego transportu z dzieckiem, ponieważ ubezpieczenie jest na posła, nie na dziecko, nie można więc wozić dziecka sejmowym samochodem – relacjonuje Arciszewska-Mielewczyk.

A prawdziwe schody się zaczynają, gdy na świecie pojawiają się kolejne „sejmowe" dzieci. Arciszewska-Mielewczyk, która drugi raz została mamą sześć lat po pierwszym dziecku, wspomina: – Często brałam ze sobą do pracy dwójkę dzieci. Gdy zostawały w domu, na jednym telefonie miałam męża, na drugim babcię. Jakoś trzeba było sobie poradzić, żeby łączyć macierzyństwo i posłowanie.

Pod tym względem łatwiej mają ojcowie. Najświeższym sejmowym tatą jest wicemarszałek Sejmu Stanisław Tyszka z Kukiz'15, który 4 grudnia 2017 r. pochwalił się na Twitterze: „Kochani! Urodził mi się SYN! Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie! Ściskam Was wszystkich mocno". Wicemarszałek na karmienia biegać nie musi i o miejsce do kąpania czy spania z dzieckiem też się raczej nie martwi. Co najwyżej może sobie ponarzekać na Twitterze na brak snu: „Od paru dni nie śpię, dziś na dobranoc przewijałem 3 razy w ciągu 15 min, potem akrobatyka kąpielowa + zostałem 2 razy obsikany. Jest OK" lub „Uff, zasnął. Dziecko pierwszej generacji wystarczyło potrzymać przy brzęczącej lodówce. Dziecko drugiej generacji właśnie usnęło po paru kilometrach noszenia po mieszkaniu. Chłopak, najwyraźniej podróżnik. Pozdrawiam wszystkich rodziców" – to niektóre z ojcowskich tweetów wicemarszałka Tyszki.

Po Dorocie Arciszewskiej-Mielewczyk mamami zostały jeszcze m.in. Elżbieta Adamska-Wedler, Katarzyna Piekarska, Sylwia Pusz oraz wspomniane Agnieszka Pomaska czy Kornelia Wróblewska. Warunki dla sejmowych mam wciąż pozostawiają jednak wiele do życzenia.

– Przez 20 lat nasłuchałam się, co by tu można zrobić dla tych sejmowych matek, a także dla pań zatrudnionych w Sejmie. Była mowa i o przedszkolach, i o żłobkach. Posłowie głównie gadali, a ja zdążyłam odchować swoje dzieci. Dobrze, że jest chociaż ten jeden pokój w hotelu sejmowym, bo gdy moja mama ze mną przyjeżdżała 20 lat temu na posiedzenia Sejmu, to mówiła, że ma w bloku wózkarnię lepszą niż nasz ówczesny pokoik – śmieje się Arciszewska-Mielewczyk.

Może świeżo upieczony tata marszałek będzie bardziej otwarty na potrzeby przyszłych mam posłanek.

eprasa.pl 7313dec8fb

Wstęp do kosmosu

Stworzyli dla siebie i dla widzów wyjątkowe wyznanie uczuć. To spektakl „Rio", którego premiera w Teatrze TV do obejrzenia 12 lutego

Fot. Marlena Twardowska

eprasa.pl 7313dec8fb

Jolanta Gajda-Zadworna rozmawia z Emilią Komarnicką-Klynstra i Redbadem Klynstra-Komarnickim

Piękną walentynkę przygotował pan dla żony, a pani pięknie ją zagrała. Taki był plan?

Redbad Klynstra-Komarnicki: Raczej proces. Jak wielu artystów scenicznych, od kiedy zaczęliśmy być razem, stanęliśmy przed wyzwaniem, co zrobić, by nie spotykać się tylko wieczorami lub rano, gdy potem każde z nas musi iść do swojej pracy. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że jedynym rozwiązaniem, by móc zachować swoją drogę artystyczną i być razem, jest pracować razem.

Wbrew opinii, że wspólna praca, siłą rzeczy przenoszona na domowy grunt, nie służy związkom?

Emilia Komarnicka-Klynstra: Nasza praca rządzi się swoimi prawami i nie do końca jest tylko pracą. Bazuje na naszej pasji, więc tak czy inaczej przenika nasze życie. Teraz jesteśmy tylko jeszcze mocniej połączeni przez wspólne projekty.

Niedługo po tym, jak w sierpniu pojawiły się piękne zdjęcia ze ślubu, plotkarskie portale zaczęły donosić, że nie była pani zadowolona z podróży „tylko" do Azji. Kochający mąż wyznaczył więc trasę do „Rio"?

E.K.-K.: On mnie codziennie do „Rio" zabiera... Wspólnie jesteśmy nienasyceni podróżowaniem, a Azja to tylko przedsmak tego, co planujemy.

„Rio", o którym wspominamy, oferuje znacznie więcej, niż można by się spodziewać po sztuce wystawianej przed walentynkami.

E.K.-K.: Tak: zarówno w formie, jak i treści. Taką mieliśmy intencję. Bardzo lubię i szanuję połączenie muzyki z graniem dramatycznym. W Polsce ten gatunek jeszcze raczkuje. Cieszę się, że udało się go nam pokazać. A jeśli chodzi o treść, to niejako korzystając z walentynek, zwracamy szczególną uwagę na męsko-damską dynamikę pierwszego zauroczenia. Natomiast nas, nie tylko jako aktorów, interesował aspekt zakładania masek – jednego przed drugim; oraz moment ich zdejmowania, czyli zaprzestania gry, bo wszyscy, jak się okazuje, jesteśmy aktorami, tyle że bez napisanych tekstów.

W spektaklu zaskakujecie nie tylko fabularnymi woltami, a wraz z nimi zmianą relacji, jaka zachodzi między bohaterami. Mieszacie również konwencje i gatunki. Otrzymujemy m.in. teatr w teatrze i musicalowe aranżacje; gorącą sambę i zmysłowe tango. Dużo się dzieje.

E.K.-K.: Tekst Marka Kochana, który przeczytaliśmy na początku, opowiadał zamkniętą historię Pani i Pana. Nasza praca, głównie Redbada jako reżysera, i wspólna, zespołowa, doprowadziła do tego, że – próbując sobie odpowiedzieć na pytanie, czym jest Teatr TV – rozszerzyliśmy formę naszego przedstawienia.

R.K.-K.: Kiedy zaczęliśmy się wgryzać w ten tekst, sami byliśmy zaskoczeni, ile się otwiera energii w tym naszym współdziałaniu, jak ta forma zbiera nasze wcześniejsze doświadczenia, jak się rozwija i wypełnia. Ta praca to taki nasz ślub artystyczny.

Zwieńczony wspólnym tańcem? Kto kogo do niego porwał?

R.K.-K.: Nawzajem się porwaliśmy. Z różnych względów byłem zawsze tuż obok tej sfery aktorstwa, a Emilia w pełni się w niej odnalazła. Widziałem ją nie tylko w spektaklu „Niech no tylko zakwitną jabłonie" jej macierzystego Teatru Ateneum. Zawsze gdy tańczy i śpiewa, widzę człowieka spełnionego i szczęśliwego.

Eksplozja urody i seksapilu, np. w dynamicznej sambie, oczywiście dopełniała to spełnienie?

R.K.-K.: Kiedy Emilia tańczy i śpiewa, widzę przede wszystkim wolną duszę, ale chciałem też światu pokazać jej „oprawę". Dziwię się, że jeszcze nie błyszczy w Hollywoodzie.

Spojrzenie zakochanego mężczyzny – a w każdej minucie tego spektaklu je widać – bezcenne... Skoro jednak o Hollywood mowa, czy ktoś was filmowo inspirował?

R.K.-K.: Jest dwóch reżyserów, którzy temat relacji męsko-damskich w kółko i na różne sposoby przetwarzają: Woody Allen i Pedro Almodóvar. Natomiast Emilia jest zafascynowana tym, jak swoje bohaterki pokazuje Quentin Tarantino. Są zarazem niezwykle zmysłowe, kobiece, z drugiej strony zaś bardzo silne i stanowcze.

E.K.-K.: Tarantino... To rzeczywiście reżyser, u którego chciałabym zagrać, ale po doświadczeniu „Rio" mogę powiedzieć, że znalazłam swojego Tarantino. Chociaż początkowo się obawiałam: „Jak to? Mąż będzie mnie reżyserował!"; ta relacja okazała się fantastyczna.

A kto prowadził w tangu?

R.K.-K.: To był nasz wspólny taniec, także w sensie metaforycznym. Wiele się dzięki niemu o sobie dowiedzieliśmy.

Na przykład?

R.K.-K.: Według reguł to mężczyzna nadaje w tangu kierunek, a kobieta go wypełnia, ale my w XXI w. mamy wyzwanie polegające na tym, jak nie tracąc atrybutów, które określają naszą płeć, być partnerskim w życiu. Być partnerem znaczy, że te jakości, które nas ewidentnie różnią, mogą być wzajemnym dopełnieniem; że nikt nie jest nad nikim.

Dlatego zdecydował się pan przyjąć nazwisko żony?

Niektórzy się dziwili, że po ślubie dołączyłem nazwisko Emilii do swojego. Zrobiłem to z kilku powodów. Po tylu latach spędzonych w Polsce czuję się już Polakiem i chciałem dać temu wyraz, poza tym jestem dumny z nazwiska Komarnicki. W całości podpisuję się pod wartościami, które reprezentuje ta rodzina. Mam bardzo dobre kontakty z teściami, siostrą żony, szwagrem. To dla mnie ważne, że zyskałem tyle bliskich osób.

eprasa.pl 7313dec8fb

Emilia Komarnicka-Klynstra i Redbad Klynstra-Komarnicki w spektaklu Teatru TV „Rio"

Fot. Jan Bogacz/TVP

Bycie razem zaczęliście dość przewrotnie, można powiedzieć od końca, czyli „Małych zbrodni małżeńskich" Érica-Emmanuela Schmitta. Jak do nich doszło?

E.K.-K.: Już w 2008 r. mieliśmy wspólne sceny w serialu „Na dobre i na złe", ale mijaliśmy się w nich, czasem nawet się nie widząc, aż pewnego dnia pojawił się Kairos, o którym mówi jedna z piosenek naszego najnowszego spektaklu: grecki bożek szczęśliwego zbiegu okoliczności, i nagle, po sześciu latach pracy w jednej produkcji... zobaczyliśmy się!

I od razu przeszliście do „zbrodni"?

R.K.-K.: Potrzebne było nagłe zastępstwo i Emilia, w heroicznym czynie po dwóch próbach je zrealizowała, wchodząc do spektaklu, w którym jej udział stanowił 50 proc. Tempo realizacji zmusiło nas, by jak najszybciej się poznać i zacząć na sobie polegać.

E.K.-K.: Na scenie, zwłaszcza w sztuce dwójkowej, najważniejsze jest zaufanie.

R.K.-K.: Nasuwa się metafora, może nie najlepsza, gdy wciąż jeszcze gorący jest temat tragedii alpinistów, ale to trochę jak wspinaczka wysokogórska: mamy tylko siebie i pustą scenę. Dopiero po czasie uświadomiliśmy sobie, że to był moment, kiedy naprawdę dobrze się poznaliśmy i zobaczyliśmy, co możemy dla siebie wzajemnie oznaczać.

Na początek mocna konfrontacja, potem wędrówka po Polsce z projektem „Nienasyceni"...

R.K.-K.: Wciąż jesteśmy w tej drodze. Do ludzi, którzy w różnych zakątkach kraju z pasją zmieniają świat wokół siebie. I dzielą się tą pasją z innymi.

E.K.-K.: To niezwykłe i bardzo rozwijające doświadczenie. Trzeci sezon „Nienasyconych" pojawi się w TVP Kultura już w marcu.

Wspólna droga, otwarcie na innych ludzi i ich pasje, doprowadziło was też do siebie. Czy zmieniło wasze postrzeganie miłości?

E.K.-K.: Jak tu niebanalnie mówić o miłości...

Może poprzez skojarzenia?

E.K.-K.: To siła tak wielka jak rzeka, która porywa każdego, kto odważy się do niej wejść. W tym nurcie trzeba się nauczyć pływać, każdego dnia i w każdej chwili doceniając, że zostało się zabranym.

Szeroka wizja. Z odległą perspektywą i zostawionymi w tyle „gromami z jasnego nieba", „strzałami w serce", „gorączką" i „tsunami"?

R.K.-K.: Gromy najsilniej odbiera się na początku. Mnie również się zdarzały, ale dopiero w tym spotkaniu – i dzięki temu, jak Emilia jest mocno osadzona w najgłębiej rozumianej i najbardziej pojemnej miłości – mogłem poczuć, czym jest ta miłość. Bo też jest tak, że bardzo wiele emocji podpinamy pod to słowo. Zakochanie, zauroczenie, fascynacja... Tymczasem takie emocje to dopiero wstęp do pewnego kosmosu. Tego nieskończenie

eprasa.pl 7313dec8fb

wielkiego i tego w środku. Dla mnie miłość to coś, co pozwala być obecnym we wspólnym działaniu; gdy znika podwójne „ja", rozpuszcza się w coś większego. Coś, co jest zarazem wieczne i obecne tu i teraz.

Jak nowe życie? Internauci komentują zdjęcie z sesji zapowiadającej kolejny sezon „Nienasyconych". Pytają. Dacie teraz odpowiedź?

R.K.-K.: Raczej ogólną refleksję: piękne jest określenie „miłość ciałem się stała".

E.K.-K.: Ale też miłość to jedyna wartość, która, gdy się ją dzieli, mnoży się.

Macie świadomość, że z takim nastawieniem wobec siebie i świata staliście się przeciwwagą m.in. do celebryckiego duetu Rozenek-Majdan?

R.K.-K.: Nie. Znam te nazwiska, ale nie bardzo wiem, o kogo chodzi. Nie śledzimy specjalnie mediów, chociaż dowiadujemy się, że nasze zdjęcia, wrzucane prywatnie, zaczęły funkcjonować w sieci.

E.K.-K.: Stało się to stosunkowo niedawno. Każde z nas zawsze zajmowało się tylko swoim zawodem i tylko w tym zakresie byliśmy zainteresowani promocją konkretnych przedsięwzięć. Tak miało być i teraz, gdy jesteśmy razem. Jeśli coś się wymknęło, to nie z naszej decyzji. Ale jeżeli już tak się stało, to musimy to zaakceptować. Możemy jedynie mieć nadzieję, że ponieważ aktywnie nie współtworzymy tej naszej „bajki", to zainteresowanie niedługo minie, bo dla postronnych będzie za mało ekscytująco.

W internetowych komentarzach widać, że ludzie patrzą na was jak na kogoś, kto już wie, bo coś przeżył, zna wartość. Weszliście w ten związek mądrzejsi o wcześniejsze doświadczenia, gotowi na zbudowanie czegoś trwałego?

R.K.-K.: Gotowi na przysięgę.

E.K.-K.: I gotowi jej dotrzymać.

To dziś nie takie powszechne.

R.K.-K.: Myślę, że już wychodzimy z ery jednorazówek. Stajemy się bardziej ekologiczni. Także na poziomie związków. I zataczamy koło jako społeczeństwo. Ludzie w wieku mojego brata, który ma lat 21, w uczuciowych relacjach bliżsi są pokoleniu naszych rodziców. Są długodystansowi.

E.K.-K.: Nie nastawiają się na nieustający kasting, lecz na codzienną budowę. Bardziej są świadomi tego, że bogatsze od ulotnych zmysłowych doznań jest doświadczenie bliskości i więzi.

Fot. Gałązka/AKPA

Czy pomocne okazują się dawne, być może odrzucone w czasie młodzieńczego buntu, wzorce? Jest w waszych rodzicach coś takiego, co teraz szczególnie mocno wraca?

R.K.-K.: Od mojego ojca na pewno wezmę to, że podążał za mną, dopóki nie byłem w stanie podążyć za nim, zainteresować się tym, co on ma do powiedzenia, jaki jest jego świat. Był bardzo skupiony na wyłapaniu tego, co mnie interesuje. Bez narzucania własnych opcji. Kiedy zafascynowała mnie sztuka iluzji, on zabierał mnie na takie warsztaty.

Otwierał przed panem różne drzwi?

I inspirował. Jako późny student był dyrektorem kina studyjnego, więc moje dzieciństwo spędziłem w kinie. Tam zobaczyłem, jak różnorodny jest świat. To dzięki niemu odważyłem się wyjechać sam na studia aktorskie do Polski. On zawsze uparcie odkrywał świat po swojemu. I ja to od niego przejąłem.

R.K.-K.: Wydaje mi się, że najważniejszą potrzebą dziecka jest miłość. Rodzice, ale też dziadkowie, odlali mnie z miłości, wypełnili mnie nią. Ta miłość pozwala mi iść przez życie w pełni, tak jak chcę, ze świadomością siebie, z potrzebą realizowania siebie. To jest we mnie dzięki nim i w naturalny sposób, tak myślę, zostanie przekazane dalej.

Co dziś znaczy dla was tytuł serialu, na którego planie się spotkaliście: „Na dobre i na złe"?

R.K.-K.: To, czego uczę się w naszym wspólnym byciu, to złoty środek. Nie mylić z kompromisem. I złe, i dobre jest po coś.

E.K.-K.: Jeśli się tego jednoznacznie nie ocenia, wszystko jest doświadczeniem. I zgodnie z przysięgą wchodzi się w nie wspólnie.

R.K.-K.: „Na dobre" i „na złe" są jak wahnięcia, ale pośrodku wciąż jest wyraźna droga. I to ta droga jest najważniejsza.

eprasa.pl 7313dec8fb

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Przypominajcie Sprawiedliwych

To może jedyna korzyść z polsko-izraelskiej awantury. Chcąc dać odpór międzynarodowej kampanii, TVP w najlepszym czasie antenowym przypomniała serial „Sprawiedliwi". Decyzję o jego produkcji podjął prezes Bronisław Wildstein. Pojawił się na ekranach w roku 2009. Nie było jeszcze „Pokłosia" ani „Idy", za to temat relacji polsko-żydowskich podczas wojny leżał odłogiem.

Scenarzysta, znakomity dramaturg Wojciech Tomczyk, i reżyser Waldemar Krzystek dostali zamówienie na upamiętnienie tych Polaków, którzy Żydom pomagali. Krzystek jako jeden z niewielu polskich reżyserów nie boi się patosu (obecnego często w kinie amerykańskim, także w ambitnych produkcjach), ale potrafi nierozerwalnie spleść go z prawdą o zwykłych ludziach. W serialu pojawiają się donosiciele, szantażyści, ludzie małego ducha, lecz są tłem dla dobra. Czy można było złożyć inną historię? Zapewne, i przecież w innych filmach korzystano z takiej możliwości. Czasem blisko karykatury, ale czasem poprzez historie niebanalne, że przypomnę „Joannę" Feliksa Falka.

Może przyjmując, że ten serial to trochę panorama, należało dodać coś jeszcze. Pokazać antysemitów ideologicznych i zróżnicowanie ich postaw podczas wojny. Może jeszcze mocniej uwypuklić dylematy związane z niebezpieczeństwem, jakie wisiało nad tymi, co pomagali (choć one są obecne, choćby w rozterkach głównego bohatera, Stefana). A zarazem: chcecie bolesnej prawdy, to ją macie. Kiedy ojciec Stefana grany przez Cezarego Morawskiego zostaje pod groźbą śmierci zmuszony do udziału w zbrodni, przypomina się nam o pytaniu: czy można łatwo rozliczać ludzi działających pod presją ostatecznych zagrożeń? A to też część prawdy o polskiej „bierności" czy nawet przypadkach współdziałania z machiną zbrodni.

Prostota serialu miejscami bywa jego słabością, ale generalnie jest jego siłą. Jest to dobrze zagrane, a para głównych bohaterów kreowana przez wspaniałą Martę Chodorowską (zabawna córka Wójta z „Rancza", tu promienna Basia) i prawdziwego do bólu, wcale nie spiżowego Wojciecha Solarza (Stefan), spełnia swoją rolę: pozwala nam się identyfikować. Przyzwoitych ludzi grać najtrudniej.

Najbardziej wstrząsający jest odcinek ostatni, kiedy nie ma już Solarza i Chodorowskiej, bo rzecz się dzieje po wielu latach (wątek współczesny przewija się cały czas). Konfrontacja starych już bohaterów zdarzeń w dzisiejszym Izraelu rozdrapuje stare rany. Nikt nie jest winien poza Niemcami, a jednak dawna tragedia buduje między ludźmi bariery. Bo bezkompromisowość, ryzyko również miały swoją cenę. Choćby cenę pytania, co ważniejsze: pomoc obcym ludziom czy troska o własną rodzinę? Pięknie to jest grane przez Wojciecha Pszoniaka, Zofię Charewicz i Krzysztofa Stroińskiego.

Nieprawda, że filmy o podobnym wydźwięku nie powstają, że przypomnę także skromny film „Sprawiedliwy" Michała Szczerbica, pomawiany o naiwność, która była bajkową konwencją opowiadania o rzeczach podstawowych. Dla zachodniego widza to pewnie obrazy za mało przygodowe, pozbawione widowiskowego rozmachu. Ale my sami co jakiś czas powinniśmy powtarzać sobie te historie.

Nadzieja, że światową narrację zmienimy filmami, wydaje mi się nieco naiwna. Świat woli bajki, których już słuchał dziesiątki razy. Niemniej „Sprawiedliwi" ze swą wiarą w dobro się nie starzeją. Mam nadzieję, że nauczą czegoś i antysemitów, i ludzi uważających, że polskość to koszmar.

Piotr Zaremba

prasa.pl/dec8fb

Pełnia człowieczeństwa

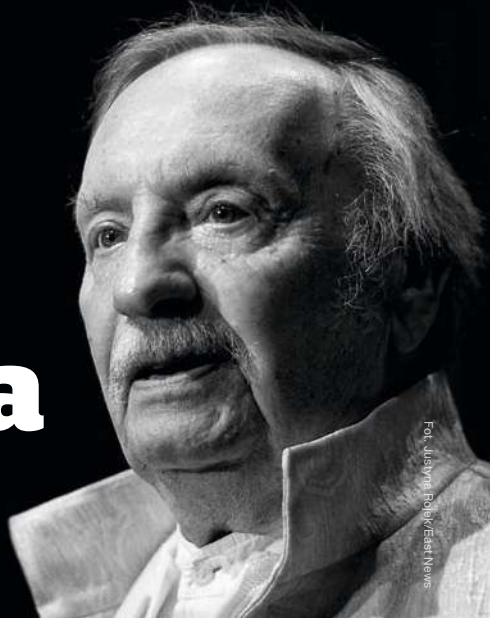

Fot. Justyna Rojek/East News

Panie Wojciechu, Pana specjalnością był śmiech zmieszany z zadumą, czasem ze łzami

PIOTR ZAREMBA

Oglądałem przypadkiem pierwszy odcinek serialu „Alternatywy 4" Stanisława Barei, z marcowym docentem Furmanem, wścibskim i zakompleksionym, w tyrolskim kapelusiku, jako jedną z ważnych postaci. Dzień później wieść: zmarł grający go Wojciech Pokora. Miał 83 lata.

To jeden z wybitnych polskich aktorów, gigantów. Jak zwykle bywa z ludźmi przypisanymi do komedii i kabaretów, wymieniany po sławnych tragikach i amantach. I jak to w Polsce: wykorzystany może w połowie. W III RP film nie zaoferował mu godnej roli. On sam opowiadał, że woli spędzać czas z rodziną niż na planie.

Tajemnica jego talentu kryła się w czymś, co nazywamy vis comica. Aktorzy dawniejsi mieli tego więcej niż współcześni. Dlaczego? Też tajemnica. Pokora w młodości wyglądał na odrobinę przerysowanego amanta, z wielkimi oczami, z zabójczym wąsikiem. A jednak miał coś w głosie, w mimice, co nadawało jego postaciom komiczny wymiar.

Mnie towarzyszył od dzieciństwa. Kto nie pamięta „Przygód psa Cywila", telewizyjnego serialu z początku lat 70., w którym aktor straszył jako biurokratyczny porucznik milicji Zubek? Potem gościł w naszych domach jako inżynier Gajny z „Czterdziestolatka" Jerzego Gruzy. Często grywał antypatycznych facetów organizujących życie innym.

W znakomitej komedii Barei „Poszukiwany poszukiwana" (1972) był z kolei zagubionym facetem zmuszonym do przebieranek za kobietę. Nie mógł nie stać się aktorem Barei, który gromadził u siebie kwiat polskich komików. Czasem grywał u niego role główne („Brunet wieczorową porą", „Alternatywy 4"), czasem epizody („Nie ma róży bez ognia", „Miś"). W „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz" zjawiał się na sekundę, w ostatniej scenie. Zawsze się go pamiętało.

Trudno też, aby nie stał się główną postacią kabaretów Olgi Lipińskiej. Kto nie pamięta sławnego gestu dyrektora teatru z cyklu „Kurtyna w górę" i jego westchnienia: „potąd"? Śpiewał, pajacował, a przecież jego smutne oczy pokazywały raz za razem zdystansowany stosunek do świata, refleksję, autoironię.

Był znakomitym aktorem teatralnym, debiutował w roku 1958 w Teatrze Dramatycznym, w „Wizycie starszej pani" Dürrenmatta rolą reportera. Ja pamiętam go jako filar może najświetniejszego zespołu, jaki zgromadził w Teatrze Dramatycznym w latach 70. Gustaw Holoubek. Jako Władzia w „Ślubie" Gombrowicza, znakomitej inscenizacji Jerzego Jarockiego. Ale też jako jednego z bohaterów może najlepszej komedii, jaką widziałem w teatrze: „Wesołych świąt" Alana Ayckbourna w inscenizacji Ludwika Renégo. Tercet z Józefem Nowakiem i Piotrem Fronczewskim był niezrównany.

Kiedy władze PRL po stanie wojennym rozbiły ekipę Holoubka, występował w Teatrze Nowym, potem w Kwadracie, gdzie grał wiele znakomitych ról komediowych. Jeszcze większą gwiazdą był w Teatrze Telewizji. Papkin w „Zemście" Fredry w reżyserii Jana Świderskiego, Janusz w „Panu Jowialskim" (reżyseria Lipińskiej), a przede wszystkim porucznik Żewakin w „Ożenku" Gogola (reżyseria: Ewa Bonacka). To jedna z najsławniejszych komediowych produkcji telewizyjnych, istny gwiazdozbiór.

Tylko że Żewakin ze swoimi grymasami i z opowieściami o „pączuszkach" był postacią zabawną, lecz i tragiczną w niemożności oraz głupocie. Dopiero co opłakiwaliśmy inną gwiazdę tego spektaklu, Wiesława Michnikowskiego. Pod względem wydobywania z ośmieszanych postaci człowieczeństwa byli sobie równi.

Kreacje filmowe: Żorża Ponimirskiego z serialu „Kariera Nikodema Dyzmy" czy von Nogaja z „CK Dezerterów" Janusza Majewskiego uczyniły go, mam wrażenie, nieśmiertelnym. Miał wielkie wyczucie groteski. Szkoda, że w kinie nie dano mu szansy na zagranie naprawdę ważnej roli serio. Najbliżej tego był w filmie „Palace Hotel" Ewy Kruk według prozy Stanisława Dygata. Ale obraz wyprodukowany w 1977 r. przetrzymano na półce przez sześć lat. Potem nie zyskał większej popularności.

Pozostał człowiekiem starej daty, ponad 60 lat żonatym z jedną kobietą. Nie komentował polityki, pilnował swojej prywatności. Panie Wojciechu, Pana specjalnością był śmiech zmieszany z zadumą, czasem ze łzami. Ośmieszał Pan ludzi, ale po to, aby ich podnieść, ułaskawić. Zaczyna brakować takich mistrzów.

eprasa.pl 7313dec8fb

Twórca bliżej znajomy

Rok Feliksa Nowowiejskiego ustanowiony przez Sejm na 2016 r., faktycznie trwał pełne dwa lata. Liczne koncerty, prace naukowe i nowe nagrania przybliżyły wszystkim imponujący dorobek twórcy zazwyczaj kojarzonego wyłącznie z Rotą

ADAM CIESIELSKI

Oczywiście patriotyczny ładunek Roty napisanej do płomiennego wiersza Marii Konopnickiej był olbrzymi. Ujawnił się już przy pierwszym wykonaniu: w pięćsetlecie zwycięstwa nad Krzyżakami 15 lipca 1910 r. pod Pomnikiem Grunwaldzkim w Krakowie, ufundowanym przez Ignacego Jana Paderewskiego. Chórem złożonym z 600 śpiewaków ze wszystkich zaborów dyrygował sam kompozytor.

To najsłynniejsza, ale niejedyna pieśń Feliksa Nowowiejskiego (1877–1946) dotykająca ważnych spraw narodowych. Wszakże jego twórczość charakteryzuje wyjątkowe bogactwo tematów i form także w muzyce symfonicznej, chóralnej, instrumentalnej, operowej. W zeszłym roku na tych łamach przywołałem zapomniany fenomen „Quo Vadis" – oratorium opartego na powieści Sienkiewicza. Napisane przez Nowowiejskiego w 1903 r., po premierach w 1907 w Usti nad Łabą i w 1909 r. w Amsterdamie, do roku 1939 było prezentowane ponad 200 razy na 150 scenach światowych z nowojorską Carnegie Hall i londyńską Royal Albert Hall na czele. W Polsce, o dziwo, jego powodzenie było znacznie mniejsze. Zawistni konkurenci i związani z nimi wpływowi krytycy umniejszali rozmiary sukcesu. Po ostatniej wojnie dzieło popadło w zapomnienie, ambitnymi próbami wyrwania go z tego stanu były niedawne realizacje w Krakowie, Poznaniu, Białymstoku i Olsztynie.

Obchody Roku Nowowiejskiego przyniosły wiele wydarzeń dających wyobrażenie o skali talentu artysty. Ci, którzy byli 24 listopada 2017 r. na jego oratorium „Znalezienie Świętego Krzyża" w wykonaniu Sinfonii Varsovii, solistów i chóru Filharmonii Narodowej w bazylice św. Krzyża w Warszawie, długo nie zapomną tych wrażeń. Zapewne z ciekawością sięgną teraz po album „Feliks Nowowiejski – dzieła symfoniczne", na którym mamy m.in. uwerturę do innego oratorium, „Powrotu syna marnotrawnego", w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Opolskiej pod dyrekcją młodego kapelmistrza Przemysława Neumanna. Zabrzmiała tu także uwertura do jednego z najbardziej znanych dzieł Nowowiejskiego – „Legendy Bałtyku; sama ta opera miała zaś w grudniu udaną inscenizację (Robert Bondara) w Teatrze Wielkim w Poznaniu.

Stolica Wielkopolski to miasto szczególnie bliskie sercu Nowowiejskiego, który w nim osiadł w 1919 r., wiele lat tworzył, wykładał, także tam umarł. Orkiestra miejscowej filharmonii pod Łukaszem Borowiczem z pietyzmem nagrała II i III Symfonię wybitnego twórcy – dzieła dowodzące wyjątkowej maestrii kompozytora.

Rarytasem jest kolejna płyta firmowana przez wytwórnię DUX: „Tym, którzy mnie kochają". Przypomina ona, że Nowowiejski, artysta bardzo wszechstronny, był wykształconym organistą i w grze na tym instrumencie reprezentował wirtuozerię. Te walory oddaje interpretacja trzech fantazji kolędowych oraz III Symfonii Organowej dokonana przez prof. Elżbietę Karolak. Nagranie zrealizowano na zabytkowym instrumencie w kościele Serca Jezusowego w Berlinie, w którym Nowowiejski był organistą w latach swych studiów.

Feliks Nowowiejski, „Dzieła symfoniczne", wyk. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii, dyr. Przemysław Neumann, wyd. DUX

Feliks Nowowiejski, „Tym, którzy mnie kochają. Muzyka organowa", wyk. Elżbieta Karolak, wyd. DUX

Feliks Nowowiejski, „II Symfonia op. 52, III Symfonia op. 53", wyk. Orkiestra Filharmonii Poznańskiej, dyr. Łukasz Borowicz, wyd. DUX

eprasa.pl 7313dec8fb

Peleryna i leninowska kurtka

Wojciech Stanisławski

Biografia Sawinkowa ukazuje dylematy rosyjskiej inteligencji w przededniu rewolucji, ale i cień szansy na „inną Rosję", inne ułożenie relacji między Moskwą a Warszawą

Można by sądzić, że opublikowany po raz pierwszy przed piętnastu laty szkic biograficzny Andrzeja Stanisława Kowalczyka zdążył trafić do spisów lektur, a opisana w nim historia rosyjskiego rewolucjonisty nie jest całkiem nieznana. Kłam temu ufnemu przekonaniu zadał jednak nie kto inny jak „Gazeta Stołeczna", która w ramach kampanii przeciw zmianom nazw ulic w Warszawie zdążyła zaatakować Borysa Sawinkowa (zastąpił on na Pradze ul. Dąbrowszczaków), opatrując w dodatku artykuł zdjęciem samozwańczego jenerała Bułak-Bałachowicza, postaci z zupełnie innej bajki. Najwyraźniej więc bodaj z okazji nowego patrona ulicy warto było wydać esej o rosyjskim rewolucjoniście po raz wtóry.

Przecież nie tylko dlatego. Polski historyk literatury, którego „Sawinkow" był jedną z pierwszych publikacji książkowych, wykazał się nie lada intuicją: zawodowy rewolucjonista, współzałożyciel Partii Socjalistów-Rewolucjonistów (eserów) i przywódca jej Organizacji Bojowej, jest świetną figurą rosyjskiego radykalizmu przełomu wieków XIX i XX. Warto pamiętać, że to eserzy, a nie bolszewicy będący wówczas jedną z mniejszych frakcji partii socjaldemokratycznej, stanowili siłę napędową rewolucji 1905 r., ich też udziałem były najgłośniejsze zamachy poprzedzające tamten zryw, a później nadające mu rytm. Józef Conrad pisząc na początku XX w. powieści o rosyjskich rewolucjonistach, równie profetyczne (i zapomniane) co dwa pokolenia później książki Vladimira Volkoffa, miał na myśli dokonania Borysa Wiktorowicza Sawinkowa i jego współtowarzyszy.

Opowieść o pierwszych trzech ćwiartkach życia rewolucjonisty jest więc opowieścią o radykalizacji rosyjskiej opinii publicznej. Nerwowo tasujemy wciąż i wciąż te same karty, rozważając, czy i jak można było uniknąć koszmaru rewolucji bolszewickiej. A gdyby Duma... Gdyby konstytucja... – pytamy, i Andrzej Stanisław Kowalczyk wraca do tych kwestii z szerokością gestu eseisty, który nie musi mnożyć przypisów i faszerować wywodu nużącymi danymi z zakresu historii gospodarczej: po prostu zestawia wspomnienia, relacje i impresje, ukazując zarazem rozdroże, na jakim stanął ruch rewolucyjny w Rosji, w której eserów – honorowych i patetycznych zwolenników „terroru indywidualnego" – wyparli ze sceny cisi, chłodni, odwołujący się do heglowskich praw historii bolszewicy.

Rzadko kiedy ten kontrast widoczny jest tak wyraźnie jak w przypadku Sawinkowa, który po zmierzchu buntu 1905 r. i ucieczce z celi śmierci w Odessie zamienił „machinę piekielną" na pióro, publikując w Paryżu powieści o posępnym życiu rewolucjonistów, któremu najbardziej pasowałaby młodopolska peleryna. Nawet gdy po rewolucji lutowej wrócił do Rosji, de facto stając na czele ministerstwa wojny, peleryna ta szeleściła u jego nóg, kiedy pisał kolejne odezwy i zachęcał Kiereńskiego do stanowczości działania: nie miała szans w konfrontacji z leninowską kurtką.

Z grozy sytuacji zdał sobie sprawę jeden z pierwszych: już na przełomie 1917 i 1018 r. organizuje pierwsze konspiracje, desperacko i amatorsko snując nitki spisów od Moskwy po Powołże, bezradny wobec rozpadu struktur społecznych w Rosji, bezwzględności Czeki i obojętności niedawnych aliantów Rosji przekazu-

jących mu groszowe subwencje. Ta ostatnia ćwiartka życia Borysa Wiktorowicza jest najbardziej fascynująca: od chwili, gdy szukając sojuszników, trafił do Warszawy wiosną 1920 r., mamy do czynienia nie tylko z szekspirowskim „wielkim kołem historii" (jak smacznie pisze Kowalczyk, w Belwederze spotkali się uczestnicy Wielkiej Wojny, z których niedawno jeden był internowanym brygadierem, drugi – komisarzem Rządu Tymczasowego i ministrem; później ten drugi był ministrem, ten pierwszy – Naczelnikiem Państwa), lecz przede wszystkim – z pojawieniem się, bodaj przez chwilę, konturu Trzeciej Rosji.

Ta „Trzecia Rosja", obecna bodaj tylko w odezwach Sawinkowa i jego współtowarzyszy z „Rosyjskiego Komitetu Politycznego", obca wataźkom w rodzaju Bułak-Bałachowicza i wysadzonym z siodła oficerom, którzy tworzyli kadry rosyjskich oddziałów ochotniczych walczących po polskiej stronie przeciw bolszewikom, odżegnywała się od granic 1772 r., czekała na przyszłą Konstytuantę, życzliwie przyjmowała powstanie nie tylko niepodległej Polski, lecz również Ukrainy i Białorusi. Czy była czymś więcej niż efemerydą wyrosłą za sprawą desperacji garstki Polaków i Rosjan? Politycznie przegrała: kilka miesięcy po traktacie ryskim struktury polityczne Sawinkowa rozwiązano, jego samego z większością współtowarzyszy wysiedlono z Polski, w której granicach zostało ponad sto tysięcy emigrantów i stworzony przez nich na czas jednego pokolenia ubogi, gwarny, chaotyczny kosmos szybko upadających z braku funduszy teatrów, klubów i kwartalników, najbardziej bodaj autentyczny obszar dialogu polsko-rosyjskiego w wieku XX.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Andrzej Stanisław Kowalczyk, „Sawinkow", Towarzystwo Więź, Warszawa 2017

Borys Sawinkow miotał się jeszcze przez trzy lata. Jego powrót do Rosji Sowieckiej latem 1924 r. okazał się elementem gigantycznej, zmontowanej przez sowieckie służby prowokacji, jego samobójcza śmierć na Łubiance stoi pod znakiem zapytania. To, że jego najpełniejsza i najwybitniejsza biografia wyszła spod ręki polskiego autora, jest może dziedzictwem starań o „Trzecią Rosję" sprzed blisko wieku, może próbą spłaty zaciągniętego wówczas długu.

Wykłady Witkacego

Warto, by ktoś prócz wąskiego grona specjalistów zdał sobie sprawę z formatu intelektualnego filozofa, który zadebiutował pracą „Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia", który w zdawkowym liście donosił żonie: „Czytam »Syntax« Carnapa, [...], »Erkenntnis« Bussego oraz nie mogę się uwolnić od polemiki z Wittgensteinem, co rozdęła się już do 137 stron", a kiedy rozłożył na łopatki Wittgensteina – brał się za bary z Whiteheadem i Kołem Wiedeńskim. Dlaczego odczyt w Towarzystwie Filozoficznym „O zjawiskowości tzw. przedmiotu rzeczywistego i fizykalnego" miałby być mniej pamiętany niż wykład pt. „Spróbuj raz, koteczku" wygłoszony w tym samym 1934 r. w klubie brydżowym w Zakopanem?

Wielką krzywdę zrobiono Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi, redukując go w pamięci publicznej do roli ekscentryka i facecjonisty, kolekcjonując jego bon moty i skandale, zapoznając to, że traktował on nad wyraz serio nie tylko historię i politykę, lecz i swoją w nich rolę – a to, rok przed wojną, przekazując prace malarskie na fundusz pomocy dla prześladowanych w Niemczech Żydów, a to pod koniec sierpnia 1939 r. zgłaszając się jako blisko 44-latek do rejonowej komendy uzupełnień z prośbą o natychmiastowe przyjęcie do służby czynnej.

Czy to nie niepoważne – wynotowywać kolejne zwischenrufy, od wyznania „brak mi wiary we wszystko. Chciałbym być starą panną, nauczycielką szkoły ludowej w Choćkowie w pow. białobrzeskim" po ambitny, programowy okrzyk „Kurważ musi być zwiększony jak woltaż, litraż i kilometraż (i metrampaż!)"? Jak długo można się cieszyć z listu do ministerium kultury i sztuki, rozpoczynającego się od słów „Panie Ministrze, dziękuję za wszystko, gruczoły wdzięcznościowe tak mi spuchły...", z seansu spirytystycznego, na jaki zdecydował się wspólnie z Mariuszem Zaruskim, z zaklinania burzy (skutecznego!) podczas wycieczki do Pięciu Stawów, z wyznania „Zaczepiam nieznajome psy na ulicy i przelotnie głaszczę, zaznajamiając się ze służącymi też psy w celach wypróżnień takowych wyprowadzającymi"? Z definicji nieznanej do tamtego momentu postawy wobec sztuki, „gnypalstwa", będącego niczym innym jak „gnuśnym gmeraniem palcami w czymś, czego traktowanie wymaga precyzyjnych instrumentów"?

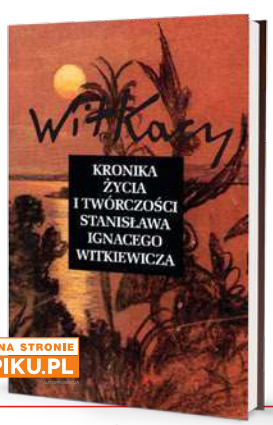

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Janusz Degler, Anna Micińska, Stefan Okołowicz, Tomasz Pawlak, „Kronika życia i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza", Państwowy Instytut Wydawniczy 2017

Wstyd przyznać – wyszukiwałem podobne smaczki przez cały wieczór. Od dwuczęściowej kroniki życia i twórczości autora i filozofa, w zasadzie zamykającej edycję jego „dzieł zebranych", nie sposób po prostu się oderwać. Jakiegoż to Witkacego mieliśmy!

eprasa.pl 7313dec8fb

Adamski

Kino

Współczucie i strach

Martin McDonagh („In Bruges" i „7 psychopatów") od lat mówi własnym językiem. Jego scenariusze zdumiewają bezczelnością, bawią, ale też wzruszają. „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri" jest dla niego tym, czym było „Fargo" dla Coenów i „Pulp Fiction" dla Tarantino. Zasługuje na wszystkie siedem Oscarów, do których został nominowany.

Mildred Haynes (wybitna Frances McDormand) straciła córkę. Zgwałcił ją i zamordował zwyrodnialec, którego przez kilkanaście miesięcy nie złapano. Porzucona przez męża, żyjąca z nastoletnim synem kobieta wini za to rozleniwionych policjantów sennej mieściny Ebbing, zatopionej wśród lasów pięknego stanu Missouri. Wykupuje więc trzy billboardy, na których zadaje pytanie o bezczynność szeryfa. Ich pojawienie się momentalnie zmienia życie całego miasteczka, które spłynie krwią i zapłonie. Ogniem oczyszczającym, choć nie wypalającym całego zła świata.

Zdeterminowana Haynes budzi współczucie i strach. Skrzywdzona kobieta domagająca się sprawiedliwości będzie musiała stanąć przed granicą, za którą prawy mściciel zamienia się w oprawcę. Naprzeciw niej wystąpią dwaj policjanci. Szeryf Bill Willoughby (Woody Harrelson) to współczesny John Wayne. Wielbiony przez mieszkańców twardy stróż prawa i kochający ojciec rodziny. Oficer Dickson (Sam Rockwell) to zaś rasista, prostaczek i przygłup bawiący się w gliniarza. Banał narracyjny? Nie w rękach McDonagha, który wymyślił, że nieskuteczny twardziel jest śmiertelnie chory, brutalny prostak staje się zaś wyznacznikiem granicy między złem a dobrem. Obie postacie są wspaniale napisane. Przepełnione sprzecznościami, ludzkimi słabościami, ale też heroizmem pojawiającym się w najmniej spodziewanym momencie.

Taki jest cały film McDonagha. Pełen wyrazistych i bliskich nam bohaterów wrzuconych do pełnej rozczarowań, niesprawiedliwości i egzystencjalnego bólu groteskowej rzeczywistości. Relacje między bohaterami zmieniają się jak w kalejdoskopie. Przyziemność miesza się z iście grecką tragedią, dialogi tną ucho ostrością, a wyciszony, kontemplacyjny finał nokautuje, dowodząc, że Irlandczyk nakręcił po prostu ponadczasowy, wybitny film.

„TRZY BILLBOARDY ZA EBBING, MISSOURI", REŻ. MARTIN MCDONAGH, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Dobry kryminał

Adam i Grace dorastali na sąsiednich farmach. Bawili się z sobą od dziecka, chodzili razem do szkoły. Przyjaźń przerodziła się w miłość i ślub. Małżeńska sielanka nie trwała długo. Oboje zostali zamordowani dwa tygodnie po weselu. Grace była w zaawansowanej ciąży. O zabójstwo jest podejrzany bezdomny narkoman. Przerażony wybiega z domu małżeństwa z nożem w ręku, kradnie samochód i jedzie do rodziny zamordowanych. Przez gigantyczną ulewę rozbija się tuż przed farmą. Pogrążona w smutku rodzina dowiaduje się z telewizji, że ranny przybysz jest podejrzany o morderstwo ich dzieci. Dlaczego do nich przyjeżdża? Nie zdążą się dowiedzieć. W nocy ktoś go morduje. Kto? Każdy ma motyw. Tak zaczyna się Netflixowy „Retribution". Czteroodcinkowa produkcja to intrygujące połączenie „Broadchurch" z „Bloodline". Historia śledztwa mordu na młodym małżeństwie miesza się z lustracją rodzinnych sekretów. Trzyma w napięciu do samego końca i bazuje na najlepszych standardach brytyjskich kryminałów.

„RETRIBUTION" JEST DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Internet

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 7313dec8fb

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

A jednak to ma ręce i nogi!

Internet

Naprawdę się nie spodziewałem, że Patryk Vega mnie jeszcze pozytywnie zaskoczy. Pierwszy odcinek serialu „Botoks" to najlepsza rzecz, jaką Vega nakręcił od czasu telewizyjnego „Pitbulla".

Zrozumiałem, w czym leży problem z kinem Vegi, które choć kochane przez lud, jest masakrowane przez filmowych krytyków. On po prostu nie potrafi w ciągu dwóch godzin sprzedać swojej wizji. Dopiero mając do dyspozycji kilka ekranowych godzin, jest w stanie wiarygodnie opowiedzieć swoją historię. Przecież pierwszy „Pitbull" z 2005 r. jako film również nie przekonywał. O kolejnych kuriozalnych filmach nie chcę mi się nawet wspominać. Serial (2005–2008) był natomiast znakomity. Dopiero wtedy w pełnej okazałości zobaczyliśmy wszystkie wątki wymyślone przez Vegę.

Bardzo mocno skrytykowałem film „Botoks". Właśnie za porwany, chaotyczny scenariusz, brak reżyserii, przytłoczenie liczbą wątków, papierowością postaci. W serialu te postacie nabierają odpowiednich kształtów. Myślę, iż ma na to wpływ to, że Vega tym razem nie sygnuje scenariusza wyłącznie własnym nazwiskiem, ale ma pomocnika: Olafa Olszewskiego.

Pierwszy z sześciu odcinków serialu jest uporządkowany, przyzwoicie wyreżyserowany i nie składa się tylko z serii wulgarnych dialogów oraz tak uwielbianych przez publikę Vegi gagów. Vega to feminista, czego dowodzi w kolejnych filmach, w których na piedestał wynoszone są kobiety. Już w pierwszym odcinku serialu pokazuje gwałt na zamroczonej narkotykami ofierze. #metoo na sterydach! Reżyser wciąż nie zgubił swojego wyjątkowego anarchokonserwatyzmu podlanego sprotestantyzowanym katolicyzmem z neokatechumenatu. U Vegi Bóg jest wszędzie, więc pogrzeb można sprawować bez księdza, a zmagający się z własną tożsamością płciową facet porządek i sens widzi tylko w Stwórcy. Feministki znienawidziły skrajnie feministyczny film (w sprawie molestowania czy powszechnego seksizmu) za silny antyaborcyjny przekaz. Wizja początku życia jest już zasygnalizowana w czołówce serialu.

Już mam przed oczami dym, jaki zacznie się po odcinkach uwypuklających pro-liferstwo reżysera. Uważam więc, że kinowy „Botoks" jest żenująco słaby. Serial zaś... mnie wciągnął. Niebywałe!

„BOTOKS" JEST DOSTĘPNY NA SHOWMAX.COM

Takich filmów już się nie robi!

W dzieciństwie oglądałem te filmy nie tylko w polskiej telewizji, lecz także na satelicie, w ząb nie znając włoskiego. Mimo to przebojowa seria o księdzu Don Camillo (Fernandel) mnie bawiła. Na poziomie wizualnego slapsticku. Teraz w końcu mogę doświadczyć całego geniuszu ekranizacji prozy Giovanniego Guareschiego. Pięć filmów o perypetiach prostodusznego, rozmawiającego codziennie z Bogiem proboszcza Don Camillo i jego wroga, komunistycznego wójta Peppone (Bruno Cervi) pojawia się w Polsce pierwszy raz na DVD. Ależ to jest przepyszna rozrywka! To nie tylko klasyczna włoska komedia lat 50., przepojona typowym włoskim katolicyzmem. Ta seria to doskonała wiwisekcja włoskiej duszy, w której zderza się silna wiara, lewicowe namiętności i mafijna groza. W tym świecie nawet komunista boi się Maryi, a mafioso nosi na szyi krzyżyk. A Don Camillo pokazuje, że także kapłan ma wątpliwości. Odpowiedzią na nie zawsze jest jednak krzyż. Urocze kino religijne. Dziś się takiego już nie robi.

„DON CAMILLO", DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 7313dec8fb

Słońce w sercu

Nieustannie zadaję sobie jedno pytanie: dlaczego szlachetni ludzie muszą odejść?

Fot. Shutterstock

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Nie wiem, ile miała dokładnie lat ani jak wyglądała. Czy była piękna, powabna, czy brzydka? Nie miało to wtedy znaczenia, tym bardziej nie ma dziś. Są ludzie i nagle ich nie ma. Znikają jak bujna, zielona trawa z nastaniem pierwszego przymrozku.

Wiem jedno: była nieprzeciętnie wrażliwa. Znała się na każdym rodzaju muzyki, od tej najpiękniejszej – prawdziwej: Pergolesiego i Mozarta czy Chopina i Schumanna. Kochała jak ja piosenki Okudżawy, Wysockiego, Cohena. Czytała mądre książki. Czuła i doceniała potęgę słowa. Lecz nawet to wszystko nie mogło się równać z jej duchowością. Joanna, bo tak miała na imię, była najzwyczajniej w świecie dobrym człowiekiem – z sercem na dłoni. Jednak najistotniejsze i najgorsze było to, że chorowała na raka. Odeszła tak szybko, że nawet nie zdołała mnie o tym powiadomić. Dziś nieustannie zadaję sobie jedno pytanie: dlaczego szlachetni ludzie muszą odejść?

Pisała do mnie regularnie, po każdym moim programie w Radiu dla Ciebie, który prowadzę od dwóch lat. Audycję nazwałem „Pastelowe piosenki". Ten program, widać, wyjątkowo polubiła, bo w naszej korespondencji znajdywałem wiele bezcennych rad. Przeważały w nich: radość ze słuchania ambitnych ballad, niekiedy zdarzały się pochwały. Te ostatnie dotykały mnie swą życzliwością.

„Dobry wieczór, drogi K. – pisała 24 lipca 2017 r. – Brawo! O to właśnie chodziło, żeby lud Boży usłyszał wartościową, polską, romantyczną i melodyjną piosenkę, zapowiedzianą przez jej autora, na żywo! Na tym polega niepowtarzalność i oryginalność takich audycji. Już za kilka godzin zacznie się Twoje imieninowe święto, zatem ślę Ci dużo serdecznych życzeń: przede wszystkim, żebyś pogodził się z sobą i nieuchronnie upływającym czasem, który zmusza nas do zmiany filozofii życia: żebyś nie dopuszczał do siebie tych wrednych harpii SSS [starość, samotność, śmierć – przyp. K.L.T.], abyś znalazł radość w uważności w codziennym życiu, miał jak najwięcej słońca w sercu. Dbaj o siebie i o twojego oddanego psa Solomona – wiernego przyjaciela. Prawda ! Tak, pisz prawdę, wiernie, ale pisząc, wiedz, że ta przedmiotowa prawda nie jest najważniejsza. Nie dochowuj wierności przedmiotowi – raczej nieubłaganie samemu sobie. Wszystkiego spokojnego. Joanna z domku pod lasem".

Jeden list, drugi, piąty, siódmy. Kilka dni później nadszedł jeszcze jeden mail, równie piękny i trafny w osądach: „Nie oczekuj ode mnie pokory. Nie jestem człowiekiem pokornym. Jestem niezależna, taktowna, niewierna i ciekawa świata. Bywam bezlitosna. Jak Ty. Na miłość godzę się tylko pod pewnym warunkiem, że nie wiąże mnie żadną umową. Nawet sympatii oczekuję pod pewnymi warunkami. Natomiast sielanki, kochanie, szukaj z kimś innym. Ja nie mam na to czasu. Życie moje się kończy. Odbywam kolejną chemioterapię. Moje zadanie polega na tym, aby na swój sposób przeżywać i po prostu opisywać to, co czuję. Tak jak Ty czytasz i opisujesz świat w swoim programie".

Pisała co tydzień, czasami częściej. Wiem, że walczyła, lecz to – że wiedziałem o tym – nigdy nie dociera do nas do końca, ludzi całkowicie zdrowych. Nie potrafimy współczuć. Nie dopuszczamy do siebie myśli, jak okrutny bywa los, co potrafi uczynić rak. Rak to sfera okryta tajemnicą. Chory miota się pomiędzy

eprasa.pl 7313dec8fb

życiem a śmiercią. Jest jak tonący, który próbuje ze wszystkich sił i za wszelką cenę dopłynąć do oddalającego się brzegu.

Joanna pięknie czuła i przez długi czas prawie wcale nie zdradzała się, że doskonale wie, iż zostało jej niewiele czasu. Ja w swoim zagonieniu, w mojej egoistycznej egzystencji, czasami nie doceniałem tych myśli, którymi usiłowała podzielić się ze mną. Myśli osoby, której – raz jeszcze przypomnę – nigdy nie widziałem na oczy. Jej słowa, bywało, przypominały krzyk.

Tak, przez półtora roku przesyłała mi wiele miłych myśli. Było w niej o wiele więcej czułości niż w ludziach mi najbliższych. Intrygowała mnie tylko do pewnego momentu. Później, gdy już troszeczkę ją poznałem, nagle zdałem sobie sprawę, że znów czekam na jej następny mail, a gdy nie nadchodził, odczuwałem niepokój. Jej listy z wolna przybierały kształt opowieści. Stawały się intymną balladą kobiety, która mocno tuli swoją samotność i pragnie się jej pozbyć.

Nasze drogi krzyżowały się jeszcze przez kilkanaście tygodni. Pisała mi o swojej wiosce o romantycznej nazwie Puste Łąki, o białym domku pod lasem i swoich dwóch inteligentnych, kudłatych psach: Toli i Felku. Opowiadała, jak je karmi, jak bardzo są jej oddane i mądre. A gdy jeden z nich odszedł, znajomy sąsiad pan Marek adoptował ze schroniska następnego – Nelę.

Oto jeszcze jeden list od Joanny. Cytuję go we fragmentach. Jest dla mnie jedyną pamiątką po człowieku, który nawet nie wiem, jak wyglądał. O czym Joanna marzyła? Jaki miała zawód? Ile miała lat? I czy jak niektórzy chwilę przed śmiercią wolą „żeby zamieciono ich pod podłogę, żeby znikły wszystkie ślady, aby nic po nich nie pozostało". Tak opisał swego bohatera Roberta Kincaida, pisarz Robert James Waller w II części i kontynuacji powieści „Co się wydarzyło w Madison County?" pt. „Tysiąc polnych dróg".

„Dzień dobry, drogi K. Przepraszam, że nie napisałam wczoraj, ale byłam nieludzko zmęczona po całym dniu radiologiczno-analitycznym, spowodowanym prześladującym mnie od długiego czasu przenikliwym bólem lewej nogi, co w mojej sytuacji nazwę katastrofą! Cały czas myślałam o Twojej sytuacji i oto wynik: Nie walcz z wiatrakami! Trzymaj się kurczowo »Pastelowych piosenek«. To jest Twój żywioł i radość tworzenia, które Ci dają satysfakcję i poczucie własnej wartości. Teraz jest czas dla miałkich gości i ich wazeliniarskich akolitów. Mawia się, że to wina świata, lecz winni są tylko ludzie. Walcz o swoje! Lecz nie trać godności. Ideologia źle współgra ze sztuką. Trzeba od tego stronić! Szkoda, że stara gwardia kulturalna wymarła. Nie zmienimy rzeczywistości, zatem trzeba brać z niej, co się jeszcze da. W jednej ze swych sztuk Strindberg mówi: »Widzisz tylko Zło, i Zło do Ciebie wraca! Spróbuj dostrzegać Dobro«. Czy walczę? Nie, od czterech miesięcy trwa zawieszenie broni. Z pomocą endorfinowej korespondencji z Tobą, medytacji i silnej woli, ten gad, chwilowo się poddał ! Może nabiera sił i gdzieś znowu wypełznie? Dom, psy, ogród mają swe wymagania i niewiele ich obchodzi niesprawność właścicielki. [...] Uważnego słuchania i miłości do muzyki, nauczyła mnie, bo pytasz – moja babcia – pianistka. A ja, widzę, że masz nowego guru – Doroteusza z Gazy i jego »Pisma ascetyczne«. Ile prawdy mieści się w cytowanym przez Ciebie w ostatniej audycji przekazie: »Z wzajemnej pogardy to płynie, jeśli jesteście wobec drugich aroganccy, wypowiadacie przykre słowa i ranicie jedni drugich. A kiedy któryś z was widzi coś, co nie przynosi pożytku, roznosi to i wsiewa w cudze serca: tak nie tylko sam doznaje szkody, ale szkodzi i bratu, wbijając mu w serce groźną strzałę...«. Zarówno on, jak i cytowana przez Ciebie Deziderata, wzywają do szanowania cudzych poglądów i nienarzucania własnych. To trudne, ale próbujmy. Warto być uprzejmym, warto być dobrym, warto spojrzeć na ludzi przyjaźniej, gdyż nawet z wroga można uczynić przyjaciela [...]".

> Gogol pisał: „Gdyby nie było śmierci, życie nie wydawałoby się nam tak piękne"

Wyłączyłem laptop, zamyśliłem się. Minęły kolejne dwa miesiące od ostatniej wiadomości Joanny. Kilkakrotnie pisałem do niej, mając cień nadziei, że po drugiej stronie odnajdę kogokolwiek, kto odpowie choćby jednym zdaniem, co się stało? Miałem i nadal mam ściśnięte gardło. W moim umyśle wciąż kotłowały się spłoszone myśli. Powracałem późnymi popołudniami do domu. Rozpalałem w kominku, zaglądałem do telefonu, lecz wciąż przeszywała mnie cisza. Jak od lat, nastawiałem igłę gramofonu nad winylową płytą, a potem w kolejne samotne wieczory. To, co pozostało – myślałem – jest na dnie mego serca. W zakamarkach pamięci. Zapamiętałem prawie każde jej słowo. W zimowej ciszy, bezkresnego i nieczułego świata.

Wreszcie coś mnie tknęło, usiadłem do pisania i niespiesznie skreśliłem trzy listy: pierwszy do urzędu pocztowego w Pustych Łąkach, drugi – na komendę, trzeci do parafii. Już następnego dnia zaterkotał telefon, a gdy odebrałem go, usłyszałem głos kobiety. „Czy to pan Krzysztof? Dzwonię z poczty z Pustych Łąk. Jestem listonoszką. Pragnę panu donieść, że pana przyjaciółka, Joanna, umarła 4 grudnia 2017 r. Pochowana została w Kamieńczyku". Podziękowałem pani listonosz. Następnego dnia otrzymałem kolejną wiadomość, tym razem w formie maila od pana Adama Włodkowskiego, potwierdzającego wszystko. „W ostatnim miesiącu życia Joanna była bardzo słaba, nie chodziła, wymagała stałej opieki. Mimo to do ostatnich chwil była w pełni władz umysłowych. Nie była już w stanie pisać do pana. Pogrzeb odbył się 12 grudnia. Jestem przyszywanym wnuczkiem Joasi. Zająłem się z moją żoną i dziećmi jej dwoma psami i wszystkim. Jeżeli zechce pan nas odwiedzić i porozmawiać, serdecznie zapraszam".

Długo nie potrafiłem się opanować. Kiedy po kilku dniach dotarło do mnie to, co się wydarzyło, przypomniałem sobie zdanie Gogola: „Gdyby nie było śmierci, życie nie wydawałoby się nam tak piękne".

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. Julita Szewczyk

Indywidualizm nas zabija

Najgorszym nieszczęściem naszych czasów jest wiara w prawa człowieka

eprasa.pl 7313dec8fb

Z prof. Johnem Milbankiem, teologiem anglikańskim, wykładowcą na Uniwersytecie Nottingham i założycielem ruchu Radical Orthodoxy podejmującego na skalę międzynarodową zagadnienia związane z religią i polityką, rozmawia Aleksandra Rybińska

Rumuński filozof i eseista Emil M. Cioran już pół wieku temu pisał, że „Europa to uperfumowany trup". Teraz ten trup wydaje się ulegać przyśpieszonym procesom rozkładowym. Viktor Orbán wieszczy koniec liberalnej demokracji, a Wielka Brytania opuszcza Unię Europejską pod hasłem „odzyskania kontroli". To koniec pewnej ery?

John Milbank: Dzisiejsze czasy przypominają lata 20. i 30. XX w., gdy panowała ogromna niepewność co do przyszłości. A może być gorzej niż wówczas, bo mamy dziś do czynienia nie z niebezpiecznymi ideologiami, tylko z wieloma bardzo złożonymi problemami, dla których nie ma rozwiązania. Rośnięcie w siłę Azji, agresywna Rosja u granic Europy, która nie jest z nią w żaden sposób zintegrowana, masowa imigracja. W Wielkiej Brytanii nawet lewicowi intelektualiści zaczynają dostrzegać problem imigracji. Przyjęliśmy zbyt wielu ludzi, którzy nie chcą się integrować. Dotyczy to szczególnie muzułmanów. Założenie, że każdy, kto przybędzie do Europy, automatycznie przyjmie liberalną demokrację, okazało się błędne. Mamy w Europie coraz więcej ludzi z odmiennymi wartościami. I to powoli zaczyna wyglądać na kolonizację. Wraca antysemityzm, tyle że w wydaniu islamskim. Część brytyjskiej lewicy jest tak łasa na głosy muzułmanów, że jej to nie przeszkadza. Wobec inwazji islamu niejeden się zorientował, że nasze europejskie wartości nie wywodzą się wcale z oświecenia, ale z o wiele starszego dziedzictwa. Rzymskiego, greckiego, chrześcijańskiego. Grecki ideał życia teoretycznego, rzymski porządek prawny przepojony Ewangelią. Chrześcijaństwo i do pewnego stopnia judaizm są elementami integrującymi kontynent. Nagle się okazuje, że wszystkie cywilizacje są religijne. Naszym problemem jest to, że wychodziliśmy z założenia, iż nasze świeckie społeczeństwa stanowią koniec historii, szczyt postępu i że ludzie z innych cywilizacji, którzy do nas przybędą, po prostu to zaakceptują. A tak nie jest.

To kryzys europejskiej cywilizacji jako wspólnoty wartości czy globalizacji? Bo poglądy na ten temat są sprzeczne.

Problem polega na tym, że neoliberalizm nie działa. Nie spowodował tzw. efektu skapywania, gdy dobra osób zamożnych są redystrybuowane w kierunku reszty społeczeństwa. Wszyscy mieli się stać zamożni. A stało się coś zupełnie odwrotnego. Nierówności się pogłębiły. Kraje, w których kapitalizm jest najbardziej rozbudowany, jak USA czy Wielka Brytania, zaczęły delokalizować produkcję w celu wytwarzania tanich dóbr, co doprowadziło do powstania regionów gospodarczej depresji w tych państwach. Wielka Brytania ma więcej regionów dotkniętych depresją niż Polska. To, co więc widzimy dziś w Europie, a szczególnie na Wyspach – i jest to jedna z przyczyn Brexitu – to rewolta klasy robotniczej. Przeciwko klasie tzw. ekspertów, ludzi wyszkolonych w naukach społecznych, ale nieposiadających żadnych zdolności interpersonalnych. W Wielkiej Brytanii właśnie ci ludzie, którzy w ogóle nie chodzą do kościoła, czują, że czegoś brakuje, że coś jest nie tak. Ci ludzie, którzy posiadają rodzaj instynktownej religijności oscylującej wokół rodziny, tradycji i lokalnej społeczności, czują się zagrożeni. Dlatego głosowali za Brexitem, a w USA na Trumpa. Macron może i omamił Francuzów, i wygrał wybory, ale to nie oznacza, że na tym koniec i Front Narodowy nie dojdzie już do władzy. Prawicowy populizm wraca obecnie do łask także w Niemczech. Jestem przeciwny wyjściu Wielkiej Brytanii z UE, ale rozumiem, dlaczego wielu Brytyjczyków tego chce. Unia wymaga głębokich reform. Europejska Wspólnota rozpoczęła swój żywot jako szlachetny, katolicki projekt, wokół idei pokoju i wspólnych wartości. Nie tylko wolny rynek, lecz także godności człowieka. Popierali go zresztą nie tylko katolicy, również socjaldemokraci.

Ale potem europejski projekt nieco zboczył z toru?

Owszem. Zamieniał się w projekt coraz bardziej neoliberalny, i to po części z winy Londynu. Stał się także projektem coraz bardziej biurokratycznym i niedemokratycznym. O problemach europejskiego projektu mówi Deklaracja paryska, którą podpisali tak znakomici intelektualiści europejscy jak Roger Scruton czy Remi Brague. Ja mam jednak pewien problem z tym, co oni piszą w tej deklaracji, choć w 90 proc. się z nią zgadzam. Nie jestem bowiem pewien, czy odpowiedzią na wszystkie obecne bolączki w Europie jest suwerenne państwo narodowe. Wobec globalnych struktur gospodarczych potrzebny jest jakiś rodzaj międzynarodowej, politycznej reprezentacji. Dla katolików powrót do nacjonalizmu nie jest dobrym wyborem. Suwerenne państwo narodowe jest częścią liberalnego, kapitalistycznego i w większości protestanckiego, a raczej reformacyjnego, porządku. Na ogół uważamy, że państwo narodowe jest czymś dobrym, a imperium czymś złym, i traktujemy UE jako imperium zła. Ale to przecież państwa narodowe, nawet jeśli ubrane w szaty imperiów, były – historycznie rzecz biorąc – instygatorami konfliktów. Unia to próba przezwyciężenia konfliktów, a nie projekt dominacji w pruskim lub napoleońskim stylu.

Naród to ważny element tożsamości. Usiłowano w toku konstrukcji europejskiej przeskoczyć tożsamość narodową i stworzyć tożsamość europejską. Nie udało się. Ludzie czują się wciąż w pierwszej linii Włochami, Polakami, Brytyjczykami, a potem, ewentualnie, Europejczykami. Tworzenie na siłę Europejczyka to dość nieudana inżynieria społeczna.

eprasa.pl 7313dec8fb

Zgadzam się. To była całkowita porażka i europejskiej tożsamości nie ma. Moje pytanie do autorów Deklaracji paryskiej jednak brzmi: piszecie, że Europa stanowi jedność kulturową, duchową, religijną, ale nie polityczną, bo polityka powinna być oparta na suwerennych państwach narodowych. Czy to nie oddziela niesłusznie aspektu duchowego od organizacyjnego? Kościół katolicki to potężna ponadnarodowa i – nie bójmy się tego powiedzieć – polityczna instytucja. Z prawem kanonicznym. Dlatego moim zdaniem nie można dokonać rozwodu między duchową a polityczną formą. Musimy Unię na powrót uduchowić. Moim zdaniem to Francuzi są najbardziej przywiązani do państwa narodowego jako spełnienie europejskiej historii, ponieważ mają łatwy do zdefiniowania naród, który zbiega się z ich wspólnotą polityczną. Polska straciła terytoria, na których panowało prawosławie, i stała się przypadkiem jednolicie katolicka. A Wielka Brytania nie jest tak naprawdę państwem narodowym, bo zawiera cztery różne narody. Anglia, która wydaje się prototypem państwa narodowego, nigdy tak naprawdę nie istniała sama. Była związana z Francją, ze Szkocją, z Walią czy Irlandią, w różnych konstelacjach. Nacjonalizm jako siła polityczna potrafi być bardzo sztuczny, jak pokazuje przykład Katalonii. Katalończycy są jak Szkoci. Podniecili się tak bardzo perspektywą niepodległości, że im więcej się im daje, tym więcej żądają. Kolejnym przykładem jest Walia. Walijczycy zachowali silną, odrębną tożsamość i język, ale nie idzie to koniecznie w parze z jednością polityczną. Dlatego moim zdaniem nie powinniśmy zohydzać idei imperium w najszerszym jego sensie. Święte Imperium Rzymskie pozwalało na pluralizm. Posiadało to, co katolicy nazywają zasadą subsydiarności. Imperium może zawierać różne narodowe kultury oraz jedną, nadrzędną kulturę. Problem Unii polega na tym, że nie ma takiej kultury. I tak długo jak my, Europejczycy, nie będziemy się z powrotem uważali za chrześcijan, nie będziemy w stanie zbudować prawdziwej europejskiej tożsamości.

Na razie nie widać, by europejskie elity miały przywrócić chrześcijańskie ideały. Ruch'68 doszczętnie zdekonstruował europejską kulturę i zastąpił tradycyjne wartości takimi pojęciami jak tolerancja czy gender. A działacze tego ruchu rządzą dziś Europą.

Problem rzeczywiście polega na tym, że Ruch '68 niczego nie budował, tylko niszczył. Tak zwana emancypacja polegała wyłącznie na destrukcji, podczas gdy wcześniejsze radykalne ruchy, jak socjalizm, usiłowały jednak coś budować. Brytyjski socjalizm, który realizował się w ramach Partii Pracy, został zmieciony przez ten nowy indywidualizm. Szybko ludzie, którzy mieli hipisowską młodość, stali się maklerami na giełdzie.

> Nie jestem pewien, czy odpowiedzią na obecne bolączki Europy jest suwerenne państwo narodowe

Człowiek pozbawiony wartości i tożsamości to idealny konsument...

Oczywiście. Istniały elementy szczerego radykalizmu w latach 60. XX w., ale to, co z nich przetrwało, to nagi, pusty indywidualizm. Samorealizacja i relatywizm. Jeden wybór jest tak samo dobry jak drugi. Wszystko się równoważy. Nie ma już hierarchii wartości. Głównym powodem tego, że rewolta roku 1968 okazała się dogłębnie zła, jest to, iż była skierowana przeciwko nauczycielom. Inaczej mówiąc – studenci wtedy stwierdzili, że to oni ustanawiają agendę, że nie muszą być edukowani. Było to odrzucenie ostatecznej hierarchii, hierarchii nauki. Moim zdaniem nie można mieć demokracji, równości, dopóki się nie zrozumie, że ponieważ żyjemy w wymiarze czasu, istnieje także hierarchia zwana przestrzenią. Musimy słuchać naszych rodziców, naszych nauczycieli. Możemy ich później zastąpić, ale jeśli ich najpierw nie posłuchamy, nie będziemy mieli ani standardów, ani kultury. Musimy też uznać, że niektórzy poradzili sobie lepiej niż inni, że istnieje hierarchia doskonałości. Dziś widzimy skutki odrzucenia wszystkich tych hierarchii. Upadek liberalnej demokracji, brak zaufania do informacji. Nic nas już nie łączy, nie mamy wspólnego projektu. Jedyne, czego bronią tzw. demokratyczne partie, to konsumpcjonizm i coraz większe prawa. A najgorszym nieszczęściem naszych czasów jest wiara w prawa człowieka. Wiara w prawo, które można odseparować od sprawiedliwości dystrybucyjnej. Wszystkie prawa są związane z obowiązkami, wszystkie prawa muszą być zbalansowane wobec innych praw. Tymczasem mamy dziś prawników, którzy tego nie wiedzą. Przekonanych, że istnieją tysiące praw, które są absolutne. Zwykli ludzie czują, że coś jest nie tak, bo widzą, iż jesteśmy dominowani przez coraz bardziej ekscentryczne mniejszości. Pojawiły się naprawdę niebezpieczne, chore idee – jak ta, że wszystkie dzieci tak naprawdę są transseksualne, a płeć to kwestia wychowania i kultury albo tego, jak się akurat czujemy. Dziś mam ochotę być czarny, a jutro wilkiem. Jestem podejrzliwy nawet wobec paraolimpiady. To wspaniałe, że niepełnosprawni uprawiają sport, ale zamienianie tego w spektakl? To dość niesmaczne moim zdaniem. Zbyt mało ludzi ma odwagę to powiedzieć. To zniekształcenie doskonałości. Panuje przekonanie, że możemy być, kim chcemy, kimś polepszonym. Jest to ściśle związane z technologią. Ludzie zaczynają dostrzegać, że to, co normalne, jest tłumione. Ludzie pragną silnych, wiernych relacji heteroseksualnych. Bezpiecznych rodzin. A w dzisiejszych czasach wygodniej żyć samemu. Indywidualizm nas zabija, niszczy nasze społeczeństwa.

Prof. John Milbank gościł w Polsce na zaproszenie „Teologii Politycznej"

eprasa.pl 7313dec8fb

ZGODY I KOSY

Prawda i kłamstwo

Dziś nawet „pragmatycy" twierdzą, że za mało mówimy światu o naszej martyrologii. A więc jednak miałem rację?

Ginie prawda o Polsce z dymami rozwiewana nad Polską. Na miejsce prawdy idzie kłamstwo. Nadciąga z zewnątrz, ze wschodu i z zachodu, z rotami wojsk, co nawet walcząc ze sobą, nie przestają przecież z Polską walczyć. Skrada się z wewnątrz jak złodziej, by chyłkiem berło Jagiełłowe z rąk wielkości wyrwać – małości polskiej je oddać. Kłamstwem usiłują dzisiaj bohaterów zamienić na tchórzy, przekonać naród polski, że bohaterstwo jest próżnym szaleństwem. Kłamstwem usiłują przeszłość naszą skalać. I kłamstwem mogą przyszłość naszą zabić".

Tak 13 grudnia 1944 r. w siedzibie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku mówił płk Ignacy Matuszewski. Jego profetyczna wizja sprawdziła się nie tylko w epoce komunizmu. Przez cały okres III RP odbywało się w polskiej kulturze zebranie poświęcone wzajemnemu pomniejszaniu się i oddawaniu ducha. „Polski antysemityzm", „polska ksenofobia", „polski obskurantyzm religijny", „polska zaściankowość"... Precyzyjne diagnozy samozwańczych autorytetów odbierały nam godność, ale za to uwalniały nas od grzechu „narodowej megalomanii". Na malowanym przez zagraniczne media portrecie zbiorowym Polaków z okresu okupacji zaroiło się od morderców, szmalcowników, donosicieli i rabusi grobów. Nic dziwnego, że niektórzy publicyści z rozpędu zaczęli pisać o „polskich obozach koncentracyjnych".

Wielokrotnie przekonywałem, że trzeba podjąć przerwaną misję wojennej emigracji niepodległościowej i nieustannie przypominać światu o Polsce, która ocaliła europejską cywilizację, biorąc na siebie furię niemieckich barbarzyńców. O „kraju bez Quislinga", który nigdy nie splamił się kolaboracją z III Rzeszą. O państwie, które w wyniku potrójnego ludobójstwa – ze strony Niemców, Sowietów i Ukraińców – straciło 6 mln obywateli, w tym 3 mln Żydów. Wreszcie o heroicznym narodzie, który w Teheranie i Jałcie został zdradzony przez aliantów i oddany w sowiecką niewolę.

Cztery lata temu pisałem: „Nasze rany wstydliwe, nasze klęski skrywane są źle widziane nawet w poezji, cóż dopiero na językach dyplomatów. Gdy Władimir Putin świętuje kolejne rocznice zakończenia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i zwycięstwa zjednoczonych sił pokoju nad faszyzmem, tylko pojedynczy zachodni historycy przypominają, że wojna zaczęła się jednak od wspólnej niemiecko-sowieckiej agresji na Polskę. Gdy Amerykanie i Anglicy traktują nas jak ubogich krewnych, nikt nie ma odwagi uświadomić im, że aby odzyskać honor, musieliby przelewać za nas krew w 10 wojnach. [...] Polskie doświadczenia historyczne to [...] olbrzymi kapitał polityczny, który po 1989 r. nie został w najmniejszym stopniu wykorzystany. Że co? Że polityki nie robi się z górnolotnych idei i poczucia krzywdy? Serio? Popatrzcie na Żydów, którzy z Holokaustu uczynili potężną polityczną tarczę. [...] Kto nam wmówił, że nasza tragiczna historia nie jest szczególna? I że nieustanne nawiązywanie do niej kłóci się z pragmatyzmem? [...] Dopóki nie postawimy polskich dziejów w centrum światowej polityki, traumatyczne sytuacje z przeszłości będą się powtarzać".

Kiedy rozdrapywałem narodowe rany, z reguły odpowiadano mi, że „powinniśmy czcić zwycięstwa, a nie klęski". Dziś nawet dogmatyczni „pragmatycy" w rodzaju Pawła Lisickiego publicznie twierdzą, że za mało mówimy światu o naszej martyrologii. A więc jednak miałem rację?

Tuż po wybuchu polsko-żydowskiego kryzysu Beniamin Netanjahu odwiedził Moskwę. „Jesteśmy wdzięczni przywódcom i narodowi Izraela za ich szacunek dla historii. Jest to szczególnie ważne po zbezczeszczeniu pomników żołnierzy sowieckich, którzy oddali życie, aby wyzwolić więźniów z nazistowskich obozów koncentracyjnych i ocalić Europę oraz cały świat przed nazizmem" – powiedział Władimir Putin. „Nigdy nie zapomnimy decydującej roli, jaką sowiecka armia odegrała w tym zwycięstwie" – odparł Netanjahu. Reporterskie zdjęcia dowodzą, że spotkanie przebiegło w wyjątkowo przyjaznej atmosferze. Podobnie czułe gesty można zaobserwować na historycznych fotografiach z Jałty.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl 7313dec8fb

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Veritatem dies aperit*

Nie miejmy złudzeń. Po podpisaniu przez prezydenta RP noweli ustawy o IPN krytyka Polski ze strony Izraela nie ulegnie osłabieniu. Najważniejsze jednak, że mamy prawne narzędzie do powstrzymania fałszywych oskarżeń o udziale polskiego narodu i państwa polskiego w Holokauście. Przy okazji otwiera się przed nami wciąż zupełnie nieznany, bo przez lata tłumiony i fałszowany, nowy etap badania stosunków polsko-żydowskich, obejmujący zagadnienia nie tylko historyczne, lecz i cywilizacyjne. Jeśli ten temat dobrze odrobimy, nie będziemy popełniać naiwnych błędów, bić się nieustannie we własne piersi, przepraszając za szmalcownictwo i za to, że Polacy nie mogli uratować wszystkich Żydów. Bo kiedy my jesteśmy gotowi stanąć w prawdzie, pokazać blaski i cienie naszej historii, druga strona tego nie robi. Ustawia się wyłącznie w roli ofiary, dlatego nie znamy ani przypadków ratowania Polaków przez Żydów, ani dowodów udziału Żydów w Holokauście.

Lista sprawiedliwych żydowskich autorów, świadków Holokaustu, musi być wreszcie znana nie tylko polskiemu społeczeństwu

Różnice wynikają z odmienności cywilizacyjnych. Żydzi dla ratowania swojej narodowo-religijnej wspólnoty, zarówno zbiorowo, jak i indywidualnie, mają prawo poświęcić życie części swoich współbraci, nie ponosząc z tego tytułu żadnych konsekwencji. Tak właśnie zachowali się Żydzi amerykańscy, nie robiąc nic dla ratowania swoich braci Europejczyków skazanych na śmierć. Żaden też Żyd wydający Niemcom innego Żyda na śmierć, jeżeli działał w przekonaniu, że ratował swoje życie, nie mógł być ukarany. Wyjątek zrobiono dla Adolfa Eichmanna odpowiedzialnego za tzw. ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej, czyli ludobójstwo na Żydach. Pisze się ogólnie, że urodził się w rodzinie kalwińskiej, ale jednak jego matka była pochodzenia żydowskiego. Parlament izraelski na jeden dzień zmienił prawo umożliwiające powieszenie zbrodniarza, a jego prochy rozrzucono nad Morzem Śródziemnym. Najwięcej o Eichmannie w książce „Eichmann w Jerozolimie" pisała Żydówka Hannah Arendt, oskarżana przez Żydów w Izraelu i w świecie za ujawnianie prawdy o roli Żydów w „unicestwieniu własnego narodu". Prawda o roli Judenratów w zagładzie Żydów dowodzi, że w cywilizacji żydowskiej ludzie, których życie jest bezpośrednio zagrożone, mogą je ratować kosztem innego żydowskiego życia. Nie ma też w takiej sytuacji moralnego ani prawnego obowiązku ratowania jednostek słabszych, chorych i dzieci, co jest cechą naszej cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej. Jeszcze więcej krytyki „od swoich" zebrał amerykański historyk żydowskiego pochodzenia Bryan Mark Rigg za książkę „Żydowscy żołnierze Hitlera". Wykazał w niej, że w Wehrmachcie mogło służyć aż 150 tys. oficerów i żołnierzy pochodzenia żydowskiego. Niektórzy doszli nawet do stopni generalskich.

Przez długie lata szukałem po antykwariatach książki prof. Ludwika Hirszfelda „Historia jednego życia". Wydana w 1957 r. nigdy nie została wznowiona, gdyż ze wspomnień światowej sławy lekarza serologa można się dowiedzieć prawdy o getcie warszawskim, a ta nie była dla Żydów heroiczna. Chwalebna zaś dla Polaków. Profesora ukrywali inż. Abramowski, magister Potocki, żonę profesora Maria Wierzbowska, a córkę rodzina Voitów. Także prawda zawarta we wspomnieniach Emanuela Ringelbluma „Kronika getta warszawskiego" to wielki akt oskarżenia Niemców, ale i swoich. Na przykład historia „ojca praojców nieczystości, szefa żydowskich gestapowców" Abrahama Gancwajcha nie mogłaby się zdarzyć w polskim społeczeństwie pod niemiecką okupacją.

Polskim autorom wspomnień, choćby Tadeuszowi Bednarczykowi ps. Bednarz, pełnomocnikowi Komendy Głównej AK ds. Pomocy Żydom, jedynemu, który znał warszawskie getto od dnia jego założenia do wybuchu powstania, przylepiono po wojnie epitet antysemity, być może i dlatego, że to on miał osobisty udział w powstaniu Żydowskiego Związku Wojskowego, organizacji wojskowej zapomnianej przez Żydów. Bo miał się oczywiście rozwijać mit socjalistycznego związku Bund, Żydowskiej Organizacji Bojowej i osobiście Marka Edelmana. W jego wspomnieniach w książce „Strażnik" nie brak oskarżeń wobec AK, ale także krwawych opisów mordowania przez niego osobiście i innych bundowców, bogatych Żydów, czy kidnapingu w celu zdobycia okupu. Inny sprawiedliwy żydowski autor John Sack też został wyklęty za prawdę o Żydach mszczących się po wojnie na Niemcach i Polakach.

Lista sprawiedliwych żydowskich autorów, świadków Holokaustu oraz uczciwych badaczy musi być wreszcie znana nie tylko polskiemu społeczeństwu, i to co najmniej w takim stopniu jak „twórczość" Jerzego Kosińskiego czy Jana Grossa.

* *Prawdę czas odsłania*

eprasa.pl 7313dec8fb

Warszawskie Combo Taneczne

Przyznaj się" i „Dancing, salon, ulica" – dwie świetne płyty Warszawskiego Combo Tanecznego z przebojami przedwojennej stolicy. Ale uwaga! Warszawskie Combo Taneczne to nie jest żaden Szwagierkolaska, żaden muzyczny żarcik ani postmodernistyczny cudzysłów, żadna inspirowana oryginałem rockowa czy jazzowa przeróbka, ale głos z wnętrza warszawskiej tradycji – w tajemniczy sposób ciągle żywa muzyka z warszawskiego kabaretu i podwórka.

W XXI w.? Po tylu latach? Jak to możliwe?

Jako się rzekło – inaczej niż na ogół w podobnych przypadkach – nie ma tu protekcjonalnego poklepywania po ramieniu, puszczania oka ani wytartych folkowych igraszek. Są zażyłość, pietyzm i pokora wobec Warszawskiego Ducha, wobec tradycji, która zrodziła niepodrabialny warszawski styl. Są znakomite, bardzo czyste gatunkowo wykonania wielkich szlagierów. Mamy „Były święta u Sztachetów", „Rum Helkę", „Warszawo ma" oraz „Syna ulicy", „Bal na Gnojnej" i „Dziś panna Andzia ma wychodne". Każdy, kto kocha Warszawę, będzie zachwycony.

Nic więc dziwnego, że chwyciło. W radiu ciągle nieśmiało, ale w internecie mocno (rządzi kapitalnie wykonany „Syn ulicy"). Zresztą do płyt WCT dodać trzeba jeszcze jedną, której powstanie zawdzięczamy twórcy WCT Janowi Młynarskiemu, a mianowicie „Noc w wielkim mieście" Jazz Bandu Młynarski–Masecki, z przedwojennymi przebojami polskiego jazzu (np. Henryka Warsa). Jest przy czym potańczyć.

Ale wracając do wyjściowego pytania. Czy to jednak nie skansen, jakieś dziwne muzyczne muzeum, rodzaj zespołu folklorystycznego? Inteligent udający warszawskiego cwaniaka – czy to nie jest przebieranka? Syn najbardziej inteligenckiego piosenkarza naszych czasów udający apasza? Muzyk z Warszawy XXI w. śpiewający piosenki z akompaniamentem mandoliny i bandżoli, i to piosenki sprzed wojny? I to ma być naturalne? Owszem, ładne, czasem wzruszające, zabawne, ba!, nawet piękne, ale czy to nie jest po prostu muzyczny odpowiednik modnego dziś rekonstrukcjonizmu? Tej dziwnej skłonności, żeby się przebrać w historyczny kostium i udawać, że wysiadło się z kapsuły czasu?

Coś pewnie jest na rzeczy. Jest tu trochę takiej sentymentalnej podróży w czasie, ale przecież w tej pełnej pokory wierności jest zarazem coś ujmującego. Proszę posłuchać tych płyt. Oni nie udają, ale się zachwycają i – czego się nie da oszukać – naprawdę należą do Warszawy.

Zresztą tu niezbędne są dwie uwagi.

Znaczna część popularnego przedwojennego repertuaru dotarła do nas za pośrednictwem Stanisława Grzesiuka i kapeli z Chmielnej. Za sprawą ich wykonań myślimy o tej muzyce w całości jako o muzyce ulicznej, muzyce warszawskiego ludu. A to przecież nie jest takie proste.

Zacznijmy od wykonawców. Zarówno Grzesiuk, jak i Janusz Mulewicz, lider Orkiestry z Chmielnej, to nie byli jacyś prości ludowi twórcy, ale świadomi swojej misji popularyzatorzy warszawskiego folkloru. Grzesiuk, owszem, bez wykształcenia, ale przecież pisarz pełną gębą, a Janusz Mulewicz to przecież absolwent Wyższej Szkoły Teatralnej, a nie jakiś warszawski Janko Muzykant. I to jest uwaga pierwsza.

Druga dotyczy repertuaru. Wystarczy spojrzeć na utwory, które wyżej wymieniłem, aby zrozumieć, że sprawa rzekomej ludowości nie jest tak oczywista, jak się czasem wydaje.

Bo, owszem, „Były święta u Sztachetów", „Rum Helka" to są dzieła anonimowych twórców, ale już „Syn ulicy" to tekst wielkiego Andrzeja Własta, jednego z najsławniejszych przedwojennych tekściarzy i satyryków, założyciela rewiowego teatru Morskie Oko. Włast, który napisał ponad 2 tys. tekstów, to autor słów do takich szlagierów jak „Tango Milonga", „Czy pani mieszka sama?", napisanego już w warszawskim getcie przeszywającego „Warszawo ma".

Nie lepiej jest z ludowością „Balu na Gnojnej". Muzykę skomponowała sławna Fanny Gordon, polsko-rosyjska autorka pierwszej polskiej komedii muzycznej „Yacht miłości". Słowa napisali Leopold Brodziński – aktor, tekściarz i dziennikarz; oraz Julian Krzewiński – aktor, śpiewak, powieściopisarz.

Z kolei tekst piosenki „Panna Andzia ma wychodne" napisał Władysław Szlengel – poeta pełną gębą, autor tekstów kabaretowych i wielu znanych piosenek, choćby „Jadziem, panie Zielonka".

Jak widać, inteligent Jan Młynarski i jego muzykalni przyjaciele nie są na tej liście ewenementem. Fenomen warszawskiej kultury – jak każdej kultury żywej i żywiołowej – polega na bardzo silnym stopie jej rozmaitych składników. Stopie, który tworzy pewien styl wspólny dla poety, dziennikarza i apasza.

Z warszawskim folklorem jest trochę tak jak z góralszczyzną. Współtworzyli je twórcy wcale nie ludowi. Nie chcę powiedzieć, że zostały wymyślone przez inteligentów – bo to nieprawda – ale nazwanie ich bez zastrzeżeń ludowymi byłoby wielkim uproszczeniem.

Dariusz Karłowicz

eprasa.pl 7313dec8fb

Dwa skoki życia

27 stycznia 2018 r. na najwyższym stopniu podium podczas konkursu na Wielkiej Krokwi w Zakopanem stanęła drużyna polskich skoczków w składzie: Maciej Kot, Stefan Hula, Dawid Kubacki, Kamil Stoch. 23 stycznia 2011 r. na tym samym obiekcie Kamil Stoch wygrał swój pierwszy indywidualny konkurs Pucharu Świata. 20 stycznia 2002 r. Adam Małysz zaliczył oczko, czyli 21. triumf w konkursie Pucharu Świata, pierwszy raz wygrywając w Zakopanem. Rok 1979 – Stanisław Marusarz, jako prawdopodobnie najstarszy skoczek w historii narciarstwa, w wieku 66 lat oddał swój ostatni skok w życiu. Gdzie? W Zakopanem

Nestor polskiego narciarstwa, wielki patriota i nieustraszony sportowiec, a dla większości popularny „Dziadek", jest dziś prawie zapomniany. Szkoda, bo jego losami można by obdzielić kilka osób, a niektóre historie z jego życia wydają się nieprawdopodobne. Ale wszystko to prawda. Bo Marusarz był nie tylko „moralnym królem świata" narciarskiej międzynarodowej drużyny.

Młody Staszek, urodzony w 1913 r. w Zakopanem i, jakżeby inaczej, miłośnik sportów zimowych we wszelkich jego odmianach, pierwsze oficjalne zawody w skokach narciarskich zaliczył w wieku... 13 lat! Co więcej, zajął w nich trzecie miejsce, ustępując jedynie starszym kolegom, którzy później również zapisali się na kartach historii polskiego narciarstwa: Bronisławowi Czechowi i Stanisławowi Gąsienicy-Sieczce. Później, gdy trafił pod skrzydła długoletniego naczelnika TOPR Józefa Oppenheima, jego kariera nabrała jeszcze większego rozpędu i w lata 30. wchodził już jako lider polskich skoczków.

Uczestniczył w igrzyskach w Lake Placid, startując też w biegach i w kombinacji norweskiej, a do historii przeszła jego rywalizacja w Planicy z Reidarem Andersonem z 1935 r. – w konkursie obaj skoczkowie na zmianę pobijali rekord świata w długości skoku, aż w końcu Norweg ustalił obowiązujący tylko przez rok rekord: 99 m. Na igrzyskach rozgrywanych pod flagą hitlerowskich Niemiec w Garmisch-Partenkirchen w 1936 r. Marusarz wywalczył pierwsze punkty olimpijskie dla Polski w historii igrzysk, zajmując piąte miejsce w konkursie skoków.

NORWESKA ŚCIEMA

W historii światowego sportu zapisał się dzięki mistrzostwom świata w fińskim Lahti w 1938 r. Konkurs miał być starciem Marusarza z Norwegami – i tym właśnie się okazał, ale Polak nie walczył z norweskimi skoczkami, tylko z sędziami. Ci ostatni faworyzowali Asbjørna Ruuda, najmłodszego z trzech braci święcących triumfy w tamtych latach, który wyprzedził naszego zawodnika o 0,3 pkt, mimo że Marusarz skoczył łącznie 5,5 m dalej od rywala! Wyników nie ogłoszono od razu, zrobiono to dopiero w sali konferencyjnej. Wśród zgromadzonych nastała pełna skrępowania cisza, a przy wyczytywaniu nazwiska Polaka rozległa się salwa braw dla „moralnego mistrza świata", jak potem ochrzcili Marusarza skandynawscy zawodnicy i dziennikarze. Ruud chciał nawet oddać medal w ręce prawowitego zwycięzcy, ale ten uniósł się honorem (nie ostatni raz!), nie przyjmując pucharu.

Kibice docenili wyczyn Marusarza, który triumfował w plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na sportowca roku – jako pierwszy przedstawiciel sportów zimowych w historii. Następny, biegacz narciarski Józef Łuszczak, wygrał ten plebiscyt 40 lat później.

NIEZŁOMNY KURIER TATRZAŃSKI

Prawdziwy sprawdzian charakteru dla sportowca zaczął się wraz z wkroczeniem Niemców do Polski w 1939 r. Marusarz wstąpił do Związku Walki Zbrojnej (późniejsza Armia Krajowa), chcąc wykorzystać swoje talenty w służbie ojczyźnie. Od samego początku był kurierem tatrzańskim, przez górskie tereny przeprowadzając ludzi i dostarczając pieniądze na trasie Polska–Słowacja–Węgry, codziennie ryzykując własną głową. Na początku 1940 r. został złapany przez słowackich żandarmów, którzy przetrzymywali go do czasu oddania w ręce gestapo. Miał przy sobie 100 tys. zł, więc nie potrzeba było detektywa, by odkryć, czym się zajmuje. Wykorzystując moment nieuwagi strażników, Marusarz wyskoczył z okna na pierwszym piętrze budynku i uciekł do Polski, po drodze korzystając jeszcze z medycznej pomocy znajomego Słowaka.

Zakopane nie było wtedy bezpieczne ani dla „króla nart", ani dla jego świeżo poślubionej Ireny. Postanowili skorzystać z kurierskiego doświadczenia

eprasa.pl 7313dec8fb

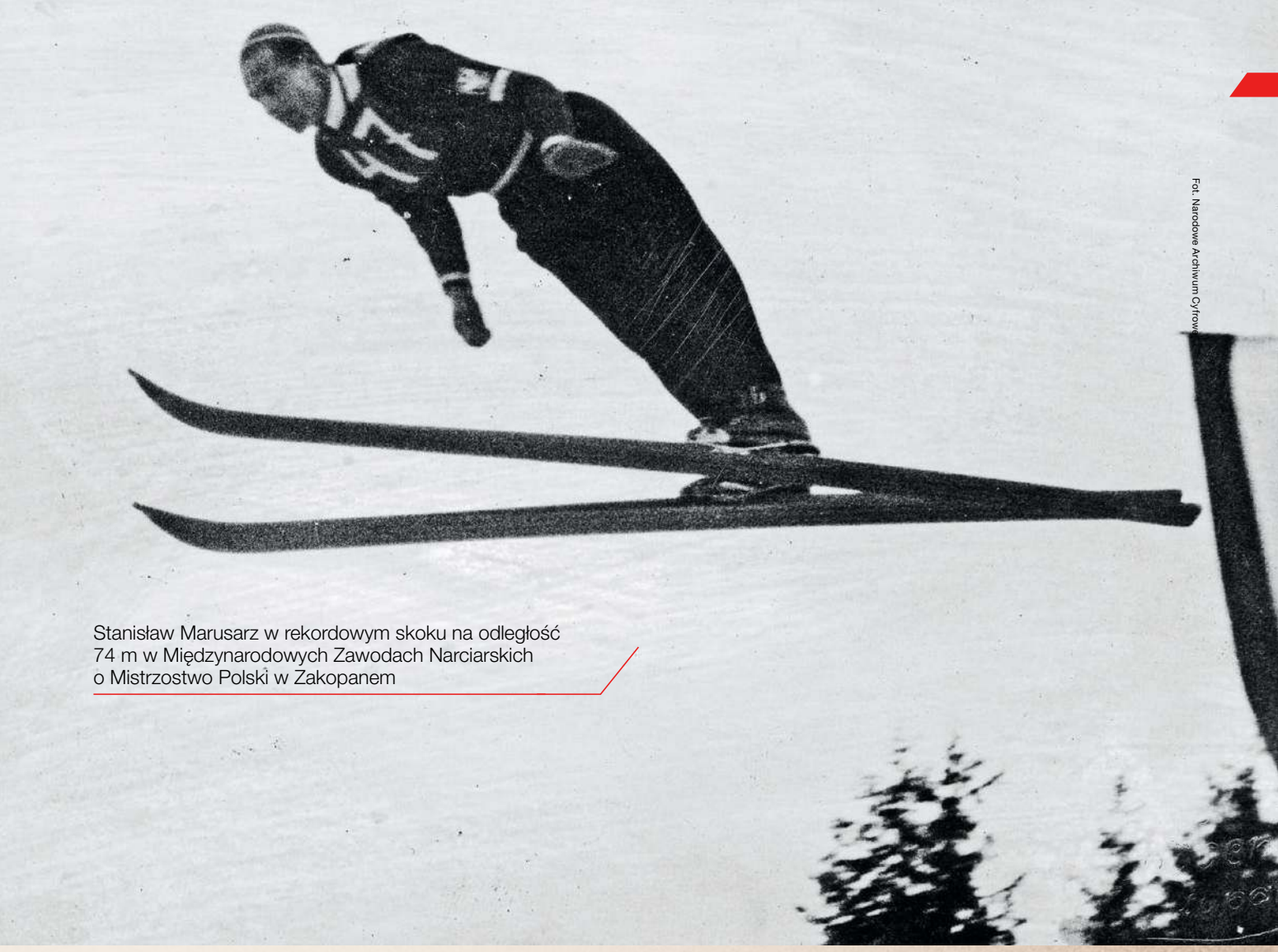

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Stanisław Marusarz w rekordowym skoku na odległość 74 m w Międzynarodowych Zawodach Narciarskich o Mistrzostwo Polski w Zakopanem

Marusarza i przedostać się na Węgry, co prawie im się udało: słowaccy kolaboranci złapali polskie małżeństwo na moście na granicznej rzece Hornad i oddali Niemcom. Jeszcze na Słowacji Irena i Stanisław zostali rozdzieleni – spotkają się znacznie później, a pani Marusarzowa uniknie śmierci tylko dzięki symulowaniu bycia w błogosławionym stanie. Mniej szczęścia miała siostra Stanisława, Helena, również kurierka i przedwojenna mistrzyni narciarska, która wkrótce została rozstrzelana pod Tarnowem.

Polski narciarz przeszedł przez zakopiańską katownię gestapo o niefortunnej nazwie „Palace", ale podczas okrutnego przesłuchania nie puścił pary z ust i nie poszedł na współpracę z oprawcami. Ta postawa mogła zaprowadzić go tylko w jedno miejsce: do więzienia przy Montelupich w Krakowie.

Tam Marusarz także się nie złamał, choć obiecywano mu spokój i dostatek w zamian za pełnienie funkcji... trenera niemieckich skoczków z Bawarii. Odmówił, więc konsekwencje były oczywiste. Hitlerowcy skazali sportowca wraz z ponad setką innych Polaków na karę śmierci. Już wtedy planował ucieczkę, w czym pomagał mu znajomy spod celi, oficer AK Aleksander Bugajski.

Terror stosowany przez gestapowców poza wymiarem fizycznym przybierał też formy znęcania się psychicznego: pewnego dnia wszystkich lokatorów celi śmierci, w tym Marusarza, przewieziono do pobliskiego fortu, gdzie pod okiem Niemców uzbrojonych w odbezpieczone karabiny maszynowe skazańcy kopali grób. Jak się okazało, nie był to grób dla nich, ale dla ich kolegów z celi obok...

Po tym mrożącym krew w żyłach wydarzeniu Marusarz i Bugajski postanowili przyspieszyć ucieczkę. Wraz z innymi więźniami za pomocą prowizorycznych narzędzi odgięli kraty w oknach i wyczekiwali odpowiedniego momentu. Gdy nadszedł, Marusarz i Bugajski z czterema innymi skazańcami kolejno przecisnęli się przez dziurę i zeskoczyli na bruk, aby za chwilę wspiąć się po kilkumetrowym murze, przeczołgać przez zamontowany na górze drut kolczasty i kontynuować ucieczkę. Udało się tylko dwóm pomysłodawcom akcji, pozostałych schwytali zaalarmowani strażnicy. Niedoszli uciekinierzy zostali zamordowani.

Marusarz trafił nad Wisłę, gdzie pomógł mu miejscowy rybak, a po paru dniach udało mu się dotrzeć do Zakopanego – nie bez perypetii, bo przez chwilę ukrywał się przed esesmanami w psiej budzie. Jak się okazało, przez cały czas w jego udzie tkwił pocisk z niemieckiego karabinu. Oczywiście w swoim rodzinnym mieście narciarz nie miał czego szukać, więc przedostał się na Węgry, gdzie dzięki pomocy Gyuli Belloniego, węgierskiego

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Stanisław Marusarz w trakcie zawodów o mistrzostwo Podhala. Zakopane, styczeń 1939 r.

biegacza narciarskiego, pod pseudonimem Stanisław Przystalski został zatrudniony przy budowie skoczni w Koszycach jako trener miejscowych skoczków i zjazdowców. Moment grozy nadszedł podczas inauguracji największej europejskiej skoczni w Borsafured – Marusarz był konsultantem przy jej budowie i oddał pierwszy skok. Rozpoznał go niemiecki rywal z przedwojennych zawodów, Sepp Weiler, ale nie wydał kolegi swoim ziomkom. Pod koniec wojny Polak przebywał w Budapeszcie, gdzie został w końcu pojmany przez Niemców. Prowadzony na rozstrzelanie, w ostatniej chwili umknął dzięki pobliskiemu wybuchowi radzieckiego pocisku, który wywołał popłoch w szeregach egzekutorów.

DLA SPORTU I WYKLĘTYCH

Niezłomność była wrodzoną cechą Marusarza, czego dowiódł kolejny raz już po powrocie do powojennej Polski. Znowu został mistrzem kraju w skokach i kombinacji norweskiej, ale nowa władza dawała mu się we znaki, więc przeniósł się do dolnośląskiego Karpacza. Tam wykorzystywał swoje sportowe umiejętności i wojenne doświadczenie, pomagając prześladowanym przez UB, którzy przez zieloną granicę uciekali na upragniony Zachód.

Jeszcze trzykrotnie pojechał na zimowe igrzyska (wystartował tylko dwukrotnie, za trzecim razem nie został zgłoszony do konkursu), a w 1957 r. oficjalnie zakończył karierę i poświęcił się trenowaniu oraz rozwojowi sportów zimowych w kraju. W wieku 49 lat otworzył swoim skokiem konkurs Mistrzostw Świata na zakopiańskiej Wielkiej Krokwi, a do legendy przeszedł w 1966 r., kiedy w garniturze i krawacie zainaugurował konkurs Turnieju Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen, wywołując tym samym niemal ekstazę u niemieckiej publiczności, jakże inaczej nastawionej niż na igrzyskach rozgrywanych pod proporcami ze swastyką, w tym samym miejscu 30 lat wcześniej.

Zmarł w 1993 r. po zasłabnięciu na pogrzebie swojego przyjaciela i dowódcy, Wacława Felczaka. Spoczął na cmentarzu na Pęksowym Brzyzku w swoim najukochańszym Zakopanem.

TWARDY GÓRAL

„Dziadek" był bohaterem – zarówno w wymiarze sportowym, jak i najbardziej ludzkim. W tym pierwszym wystarczy przytoczyć jego wyniki i okres, w którym startował. Zdarzało mu się uciekać po stoku przed lawiną i skakać ze złamanymi kośćmi. Chyba największą radością było dla niego nadanie ukochanej Wielkiej Krokwi jego imienia w 1989 r. – Stanisława Marusarza. Była z nim przez całe życie: od pierwszych do ostatnich konkursów, a potem jako obiekt, którym się opiekował, i kiedy przebudowywano ją zgodnie z jego planami. To nie przypadek, że ostatni skok w życiu wykonał właśnie na niej, poproszony o to w wieku 66 lat przez reżysera filmu dokumentalnego opowiadającego o jego życiu. To też dzięki jego legendzie kibice cieszą się dziś z sukcesów polskich skoczków.

W wymiarze ludzkim nie pozwolił nikomu się złamać – ani niemieckim zbrodniarzom chcącym odebrać mu życie w trakcie wojny, ani polskim poplecznikom radzieckiego molocha starającym się uprzykrzyć mu życie po wojnie. Przeżył dzięki sportowi: zarówno skok z okna słowackiego komisariatu, jak i ten z celi krakowskiej katowni mogłyby się zakończyć zupełnie inaczej, gdyby nie pasja, która kształtowała całe jego życie. Marusarz – po prostu zakopiańczyk: twardy góral, wspaniały sportowiec, polski patriota.

Michał Muzyczuk

73/0118/F

eprasa.pl 7313dec8fb

Nie odchudzimy Twojego kota...

Możemy odchudzić Twoje raty,

by były proste do spłaty!

Przyjdź i sprawdź!

Pożyczka Fit

RRSO 6,23%

kasastefczyka.pl

801 600 100 (koszt połączenia wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA

Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 2.02.2018 r.

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. LongJon/Shutterstock.com

Zrobić małpę

Niemieccy producenci aut zagazowywali małpy, aby zbadać wpływ spalin samochodowych na żywe organizmy

PIOTR CYWIŃSKI

Do eksperymentów wybrano specjalny rodzaj wysoce inteligentnych małp z jednej z indonezyjskich wysp, a dokładnie z Jawy. Każda kosztowała 3,5 tys. dol. Po dostarczeniu do laboratorium małpy umieszczano na cztery godziny w szklanych komorach gazowych, do których były doprowadzone przewody z samochodowych rur wydechowych. Aby się nie niepokoiły, wyświetlano im filmy rysunkowe. Następnie pobierano małpom krew oraz wprowadzano przez nos i usta specjalnie skonstruowany endoskop, żeby sprawdzić stan ich dróg oddechowych z oskrzelami włącznie...

Zleceniodawcy mieli tylko jedną, a po prawdzie dwie troski: jak uzyskać najkorzystniejsze wyniki oraz aby wiedza o tych doświadczeniach nie przedostała się do opinii publicznej. Na pomysł tych koszmarnych i całkowicie zbędnych badań wpadł koncern Volkswagena. Zlecenie formalnie złożyło Europejskie Zjednoczenie Badawcze na rzecz Środowiska i Zdrowia w Sektorze Transportu (EUGT), utworzone de facto dziesięć lat temu przez... VW, BMW i Daimlera. Zwróciło się ono do tych wytwórców samochodów o dokonanie badań porównawczych, „jak postęp techniczny wpływa na redukuję emisji spalin samochodowych".

Eksperymentów z użyciem małp nie udało się jednak utrzymać w tajemnicy przed opinią publiczną. Wyszły na jaw na marginesie innego śledztwa prowadzonego w USA w sprawie fałszowania pomiarów substancji toksycznych przez koncern Volkswagena. Po ujawnieniu tych szokujących testów szef VW Matthias Müller wyraził ubolewanie: „To jest nie do zaakceptowania". Tyle że musiał o nich wiedzieć od lat, tak jak wielu innych menedżerów i polityków, doświadczenia z małpami bowiem przeprowadzano od 2013 r., a wyniki były omawiane na posiedzeniach zarządów. Poza tym mówił o nich w 2016 r. toksykolog prof. Helmut Greim przed komisją Bundestagu, która wyjaśniała machinacje i fałszerstwa producentów aut z silnikami wysokoprężnymi, aby mogły dochować obowiązujących norm emisji szkodliwych substancji.

Co stało się z małpami poddanymi gazowaniu? W jakim są stanie? Czy w ogóle żyją? – dociekał tygodnik „Focus". Na ten temat reprezentanci VW milczą jak grób. „Prawdopodobnie są martwe – albo padły podczas testów, albo – jeśli później nie było dla nich zastosowania – zostały uśmiercone, taka jest praktyka", skwitowała szefowa działu badań laboratoryjnych w Związku Ochrony Zwierząt (PETA) Alka Chandna.

Eksperymenty z komorami gazowymi kosztowały 700 tys. dol., jednakże zleceniodawcy z EUGT nie zapłacili całej kwoty i otrzymali tylko część opracowania. Ale nawet te uzyskane wyniki nie podobały się producentom samochodów i je upiększono. Okazało się bowiem, że spaliny z obecnie produko-

eprasa.pl 7313dec8fb

wanych modeli były bardziej szkodliwe dla małp od wydechu starego Forda z 1997 r. Co należy dodać, porównania dokonano, opierając się na i tak już sfałszowanych danych – z powodu wyposażania volkswagenów beetle w oprogramowanie zaniżające wartości ich spalin.

Nie pierwsza to afera dotycząca Volkswagena. Przed laty koncern ten znalazł się na czołówkach gazet z powodu skandalu, który mogłyby symbolizować trzy litery PPP, jak przekupstwo, polityka i panie lekkich obyczajów. Jedną z wielu uwikłanych w to prominentnych postaci był Peter Hartz, eksdyrektor ds. kadrowych w zarządzie VW w Wolfsburgu, przyjaciel i doradca kanclerza Gerharda Schrödera, autor pakietów reform rządu SPD-Zielonych, nazwanych „Hartz I-IV". Ów menedżer chwalił się wzorcową współpracą ze związkami zawodowymi. Jak wyglądała ona w praktyce? Kilku członków zarządu koncernu i działaczy związkowych wpadło na pomysł zwielokrotnienia własnych zysków: zakładali za granicą firmy pośredniczące w zawieraniu lukratywnych kontraktów na sprzedaż aut z grupy Volkswagena, za co kasowały wielomilionowe prowizje.

Ich sieć była rozbudowana na kilku kontynentach; np. firma Ancars utworzona w amerykańskim Delaware „pomagała" w sprzedaży czeskich škód poprzez Portugalię do krajów afrykańskich. Po drodze zarabiali na tym kolejni pośrednicy, np. Motor-Gestao Comercio E Manutencao, wskazywani przez prominentnych wspólników z VW. Lewa kasa, którą się dzielili, liczona była w grubych milionach. Śledztwo ujawniło skorumpowany system tego niemieckiego giganta przemysłu automobilowego, do którego należy pół setki fabryk na terenie RFN, kilku krajów Europy, Ameryki, Afryki i Azji.

W ciemnych interesach VW partycypował jeden z najbardziej znanych związkowców w Niemczech, Klaus Volkert. Ten ślusarz z wykształcenia zrobił błyskawiczną karierę jako reprezentant i obrońca interesów wielotysięcznej załogi. Był szefem rady zakładowej w fabryce w Wolfsburgu i z tego tytułu wchodził w skład rady nadzorczej koncernu. Bez zgody IG-Metall, do którego należy 97 proc. robotników VW, nie mogła zapaść w firmie żadna ważna decyzja dotycząca pracy i płacy. Volkert umiał przy tym zadbać o własną kieszeń, miał udziały w „kooperujących" spółkach poza granicami, ale nie tylko... Niemieccy dziennikarze dotarli m.in. do brazylijskiej piękności z São Paulo, Adriany B., kochanki związkowca, który na koszt koncernu zabierał ją na wyjazdy poznawcze po całym świecie, bawił z nią w ekskluzywnych hotelach, za pieniądze z kasy VW kupił jej willę oraz wypłacał co kwartał 23 tys. euro, rzekomo za realizację... filmów reklamowych, których nikt nigdy nie widział.

> Adwokaci VW mają ręce pełne roboty nie tylko w tej sprawie: 26 lutego za oceanem rozpocznie się proces w tzw. Dieselgate, wytoczony za fałszowanie wyników emisji spalin

Nie dość na tym. Z usług ekskluzywnych prostytutek korzystał sam przyjaciel i doradca kanclerza Peter Hartz, który wręcz rozbudował nieobyczajny system zarządzania w fabrykach grupy VW i pozyskiwania przychylności związkowców z rad zakładowych. Zafundowano im m.in. rodzinny wypad do Irlandii firmowym samolotem, z zakwaterowaniem w pięciogwiazdkowym Killarney Park Hotel. Na miejscu żony działaczy IG-Metall dostały po 2 tys. euro na „drobne" wydatki. Nie była to jedyna wycieczka integracyjna, ale jedna z nielicznych z małżonkami. Związkowcom organizowano też wypady na terenie Niemiec i poza granicami, gdzie czekały ich uciechy cielesne ze specjalnie zamówionymi prostytutkami, wedle osobistych preferencji uczestników tych delegacji. W zamian przedstawiciele załóg mieli się w spornych kwestiach przekonywać do życzeń pracodawców.

W zarządzie Volkswagena potoczyły się wówczas głowy z najwyższych pięter. Po wybuchu obecnego skandalu z fałszowaniem danych emisji spalin oraz z gazowaniem małp koncerny VW i Daimlera zwolniły i urlopowały kilku odpowiedzialnych decydentów, zrezygnowały również ponoć z usług paru lobbystów, m.in. w USA i Korei. O eksperymentach z komorami gazowymi wiedzieli także menedżerowie i współpracownicy BMW i Boscha, zasiadający też w zarządzie rozwiązanego w międzyczasie zjednoczenia badawczego EUGT.

Adwokaci zatrudniani przez VW mają teraz ręce pełne roboty... 26 lutego za oceanem rozpocznie się proces w tzw. Dieselgate, wytoczony z powództwa zbiorowego za fałszowanie przez niemiecki koncern wyników emisji spalin. W grę wchodzą odszkodowania liczone nawet w miliardach. W sprawie zagazowywanych małp zbierane są materiały dowodowe. Wśród nich są m.in. filmy z przeprowadzanych eksperymentów. Tym ostatnim tematem zajął się Bundestag, oburzenie wyraziła Komisja Europejska, w ubiegły poniedziałek poruszony został także na forum europarlamentu.

„Brak skrupułów w przemyśle samochodowym nie ma granic!" – zagrzmiał w Strasburgu poseł z Luksemburga Claude Turmes. Przy okazji poddano krytyce powiązania VW z politykami, udziałowcem bowiem tego koncernu jest państwo. Przez wiele lat członkiem jego rady nadzorczej był premier Dolnej Saksonii i kanclerz Niemiec Gerhard Schröder. Dziś niemieccy politycy nie szczędzą krytyki wobec producentów aut. W imieniu kanclerz Angeli Merkel głos zabrał rzecznik rządu Steffen Seibert: „Testy na małpach, a nawet ludziach są pod względem etycznym nie do przyjęcia" – skomentował z rozczarowaniem, że zawiodły wszystkie organy kontrolne. Przedstawiciele zapewniają, iż sprawa będzie dogłębnie wyjaśniona i zostaną wyciągnięte konsekwencje. Jasne, wiadomo, porządek musi być...

eprasa.pl 7313dec8fb

Złote myśli z patelni

Jest wolność w naszym kraju, dowodów na nią, a zwłaszcza na wolność w wyrażaniu opinii, mamy codziennie na kopy, do posłuchania wraz z obejrzeniem, do przeczytania i do przeżywania. Ostatnio mieliśmy wylew oświadczeń i opinii w związku z nowelizacją ustawy o IPN. Wolność pełna kwitnie za granicą, od Nowego Jorku, po Władywostok, uwidaczniająca się gwałtownie w Izraelu, gdzie głos zabierają nie tyko politycy, lecz również sześciolatki, które zapytane na ulicy o to, kto odpowiada z Holokaust, stwierdzają autorytarnie: Polacy. I media światowe oraz podwórkowe cytują tego żydowskiego dzieciaka jako dowód na istnienie „polskich obozów koncentracyjnych" albo jeszcze dosadniej: na istnienie „polskich obozów zagłady". Wolność jest w epoce relatywizmu, zarówno moralnego, jak i poznawczego, inaczej naukowego, pojęciem względnym. Jako że nie ma prawdy absolutnej, a wiele dziedzin jest niezbadanych, nawet niedających się zbadać. Modny jest więc agnostycyzm, wątpienie w prawdę, która nie daje się zbadać empirycznie. Według agnostyków Bóg nie istnieje, bo Go nikt nie widział i pewnie nie zobaczy. Dla ludzi średniowiecza Ziemia była płaska, jako że człowiek chodzi po płaskim. I – żeby było śmieszniej – współczesny człowiek ulega często złudzeniu, że życie jest płaskim odbiciem płaskich ideologii, głoszonych przez płaskich ekspertów.

Balony nadmuchane pychą i głupotą mają to do siebie, że pękają pod działaniem siły zewnętrznej, a tą siłą jest dążenie do zwycięstwa prawdy nad zatruwającym ludzkie dusze relatywizmem

No bo jak nazwać opinię kucharza Roberta Makłowicza o sytuacji politycznej po roku 1989? Oto jego myśli z płaskiej patelni (pisownia oryginalna): „Miałem wiele zastrzeżeń do tego, co się tu działo po 1989 r., ale atmosfera teraz wydaje mi się wyjątkowo duszna. Nobilitowanie kiboli i narodowców na prawdziwych patriotów jest rzeczą nie do zniesienia dla człowieka myślącego, dla człowieka który wie, że kuchnia jest systemem naczyń połączonych. I ta epatacja wszystkim co narodowe...". Makłowicz jest nie tylko krasnoludkiem pod względem wzrostu, lecz także rozumu. To znaczy on ma swój rozum, każący mu się odgrywać na władzy, która w jego mniemaniu odebrała mu gotowanie w telewizji publicznej. Istotnie, kuchnia jest systemem naczyń połączonych – garnek łączy się z Makłowiczem, a płyta gazowa z garnkiem, na końcu chochla się łączy z talerzem, talerz z zupą, a zupa z gębą. Na podstawie tych połączeń Makłowicz próbuje epatować czytelników Onetu swoją wiedzą o pozakuchennym świecie, który zna z tegoż Onetu, czyli gdyby Onet i TVN24 ogłosiły, że Ziemia jest płaska, Makłowicz serwowałby wyłącznie omlety, bite kotlety i naleśniki.

Jak musi być kiepsko z głowami żurnalistów „głównego ścieku", że posuwają się do powoływania się na Makłowicza jako „człowieka myślącego". Być może jest to rezultat spłaszczenia mózgów tych pań i panów, wynikającego z agnostycznego podejścia do wolności. Zwłaszcza wolności od myślenia. Problem w tym, że próbując zrozumieć system naczyń połączonych w kuchni Makłowicza, tracą panowanie nad systemem połączeń swoich szarych komórek mózgowych, co prowadzi do ich anarchii, z zatraceniem włącznie.

Jedno jednak wiedzą – że należy wątpić w prawdę, powtarzać za kucharzem albo babcią klozetową, że wartości narodowe są niesłuszne, a patrioci to zwyczajni kibole. Nie tylko oni uważają, że Ziemia jest płaska, tak myślą liczni „luminarze" kultury, sztuki i rozrywki. Podobnie rzecz się ma z politykami, zwłaszcza z establishmentem europejskim oraz światowym. On tym się różni od normalnej większości ludzkości, że widzi wszystko oddzielnie, a potem próbuje to wszystko zebrać do kupy. I wychodzi z tego kupa.

Oto w końcu lutego Komisja Europejska ma się ponownie zająć łamaniem praworządności w Polsce. To znaczy połączyć znienawidzony rząd prawicowo-konserwatywny z Różą Thun, śmiertelnie obrażoną przez europosła Czarneckiego. Z pominięciem nieprawdziwej opinii europosła Verhofstadta na temat Marszu Niepodległości, jako zgodnej z „europejskimi wartościami", tak samo płaskimi jak Ziemia, po której stąpa to cyniczne towarzystwo wzajemnej adoracji. Czarneckiego zapewne pozbawią funkcji wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego, co będzie miało taki sam wpływ na świadomość Polaków jak złote myśli kucharza Makłowicza. Tyle będzie z tej gonitwy myśli, że po naszej płaskiej planecie jeszcze przez jakiś czas będą się turlać duże i małe balony pozbawione kontaktu z rzeczywistością. Nadmuchane pychą i głupotą, czyli powietrzem. Balony mają to do siebie, że pękają pod działaniem siły zewnętrznej, a tą siłą jest dążenie do zwycięstwa prawdy nad zatruwającym ludzkie dusze relatywizmem, ideologią pozbawioną zasad i tradycyjnych, więc sprawdzonych, wartości, bez których nie uchowa się nasza cywilizacja.

eprasa.pl 7313dec8fb

Kto ich wybierał?

Takie pytanie zadają obywatele, napotykając coraz częstsze łajdactwa swoich idoli, na których głosowali w wyborach samorządowych i parlamentarnych. Wystarczy prześledzić wpisy w internecie, aby się przekonać, że zwolennicy PO załamują ręce nad indolencją posłów opozycji w niemal każdej dziedzinie. Poza jedną – walką o powrót do władzy. Tyle tylko, że nie mają pojęcia, jak to osiągnąć. Oburzenie internautów budzi antypaństwowa, antynarodowa i antygospodarcza postawa opozycji, niemająca sobie równych w krajach Europy Zachodniej, do których ma czelność się zaliczać. A w rzeczywistości nie jest w stanie wyjść poza mentalność małomiasteczkową, która polega na zawiści wobec sąsiada szanowanego za rozumne rozporządzanie swoim majątkiem, służącego radą i pomocą współmieszkańcom, uczciwą pracą pnącego się po szczeblach kariery. Nasza opozycja wyrosła z takich małomiasteczkowych środowisk, które nazywa wiochą, z najgorszych kręgów społecznych, co to leczą swoje prowincjonalne kompleksy, obsmarowując ludzi od nich mądrzejszych i kulturalniejszych, jak się da i gdzie się da. Dla kariery są w stanie opluć swój kraj, także za granicą, której się podlizują, w nadziei, że ich wstyd zostanie doceniony i nagrodzony poklepaniem po plecach.

Kto tych ludzi wybierał do Sejmu czy na prezydentów miast? Czym oczarowała warszawiaków Hanna Gronkiewicz- Waltz, a gdańszczan Paweł Adamowicz? Swoją „światowością"? A kto głosował na posła Marcina Święcickiego, który stwierdził m.in.: „Mordowaliśmy, tylko nie zakładaliśmy obozów śmierci", komentując w ten sposób nowelizację ustawy o IPN. Kto go wybierał? I to przez kilka kadencji (zięcia peerelowskiego ministra gospodarki Eugeniusza Szyra, sprawcy upadku polskiej spółdzielczości), członka PZPR od 1974 r.? Kto tolerował przez dziesięciolecia komunistycznych sędziów i urzędników państwowych? Tolerowaliśmy ich my, Polacy, wychowankowie pedagogiki wstydu wobec zachodniego, bogatego świata. Różni Święciccy mamili nas swoją „europejskością". Tak zuchwałą, że nie wahają się plunąć Polsce i Polakom w twarz.

Krystyna Grzybowska

polecamy
WSKLEPIKU.PL

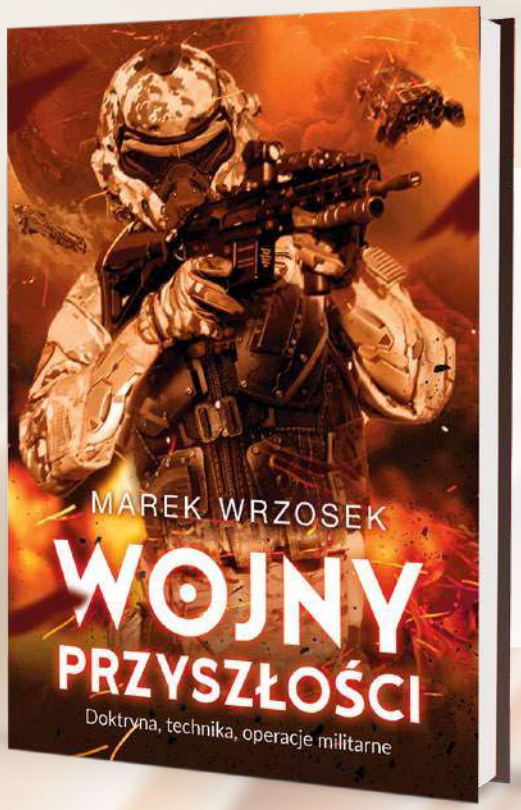

WOJNY PRZYSZŁOŚCI. DOKTRYNA, TECHNIKA, OPERACJE MILITARNE
Marek Wrzosek

Rosjanie potrafili rozpraszać chmury nad Moskwą w czasie pochodów pierwszomajowych, Chińczycy skupiali chmury, by zapewnić wilgotność Pekinowi w czasie igrzysk. A kto jest w stanie stosować skutecznie broń klimatyczną na dużą skalę?

Roboty nie muszą przypominać transformersów, by stać się morderczą bronią. Małe roboty, przypominające granat, umiejące się toczyć po bezdrożach, zostały z sukcesem przetestowane w Afganistanie w krętych jaskiniach, wszędzie tam, gdzie trudno byłoby wysłać żywego żołnierza.

Płk Marek Wrzosek, wykładowca Akademii Sztuki Wojennej, przedstawia nowy wymiar wojny – walkę informacyjną, operacje psychologiczne i wykorzystanie mediów w światowych zmaganiach. Medialne fikcje o wojnie hybrydowej na Ukrainie przeciwstawia militarnym faktom, oceniając poczynania Rosjan i strategię wojsk ukraińskich w walce z separatystami.

Autor zestawia klasyczne teorie: wojny morskiej, pancernej czy totalnej, z najnowszymi: koncepcją rozszerzonego pola bitwy, bitwy powietrzno-lądowej i morsko-powietrznej. W książce znajdziemy porównanie współczesnych strategii amerykańskich, operacji natowskich i rosyjskich.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem:
22 836 54 45

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 7313dec8fb

To, co dobre dla polskiej gospodarki, jest dobre dla PKO Banku Polskiego

Sprawnie realizujemy strategię rozwoju międzynarodowego banku, w miarę jak rozwijają się na zagranicznych rynkach przedsięwzięcia naszych klientów. Jesteśmy gotowi być ich profesjonalnym partnerem, kiedy więc oczekują wsparcia ich ekspansji zagranicznej, otrzymują je od banku – mówi Maks Kraczkowski, wiceprezes PKO BP nadzorujący Obszar Bankowości Międzynarodowej i Transakcyjnej

Z Maksem Kraczkowskim, wiceprezesem zarządu Banku PKO BP nadzorującym Obszar Bankowości Międzynarodowej i Transakcyjnej oraz Współpracy z Samorządami i Agencjami Rządowymi, rozmawia Marek Siudaj

Jakiś czas temu byłem na konferencji, podczas której PKO BP prezentował swój raport poświęcony branży meblarskiej. I wtedy zastanawiałem się, kogo bank chce przyciągnąć takimi raportami. Bo – jak sądzę – raporty powstają po to, aby przyciągnąć nowych klientów do banku i na tym zarobić.

Maks Kraczkowski: Tak, zdecydowanie. Tworzymy raporty przede wszystkim dlatego, że jest to uzasadnione biznesowo. Model działania PKO Banku Polskiego zakłada również dbałość o solidne wsparcie analityczne pozycji biznesowej naszych klientów na rynkach międzynarodowych, oferujemy więc narzędzia pomocne w rozpoznaniu rynków i prowadzeniu biznesu. Temu służy Platforma Wsparcia Eksportu, na której dostępne są m.in. tego rodzaju raporty.

Oczekują tego nasi klienci, głównie z grona małych i średnich firm. Polscy przedsiębiorcy coraz częściej chcą pracować ze swoim bankiem nie tylko w kraju, lecz również na rynkach międzynarodowych. Oczywiście z narzędzi analitycznych, które są dostępne na Platformie Wsparcia Eksportu, może korzystać każdy, mamy jednak świadomość, że kupowanie tego typu wiedzy od wyspecjalizowanych dostawców kosztuje. Zakładam zatem, że nasza oferta powinna szczególnie interesować i realnie wspierać ambicje biznesowe średnich oraz mniejszych firm.

Dlatego oprócz raportów analitycznych w ramach naszej platformy doradzamy także klientom, gdzie i w jakich branżach można upatrywać szans na rozwój ich firm, jak szybko i bezpiecznie realizować płatności zagraniczne, minimalizować ryzyka związane z wykonywaniem kontraktów. W przyjaznej formie opisujemy np. to, jak działają akredytywy, a jak gwarancje.

Krótko mówiąc, jako solidny partner, lider polskiej bankowości, pomagamy firmom rosnąć i się rozwijać. Oferujemy kredyty obrotowe i inwestycyjne, produkty trade finance, leasing i zarządzanie gotówką. To są realne formy wsparcia biznesu. Gdy nasi oczekują od nas więcej, to znaczy partnerstwa w ekspansji zagranicznej, odpowiadamy na te potrzeby, uruchamiając oddziały korporacyjne we Frankfurcie i Pradze, leasing w Szwecji, bank na Ukrainie, a ostatnio również internetową Platformę Wsparcia Eksportu.

Dlaczego tak dużo uwagi poświęcacie mniejszym firmom? Z takimi podmiotami wiąże się często spore ryzyko. Liczycie na to, że te firmy urosną i będziecie mieli kolejnego dużego klienta?

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. Materiały prasowe

Każde nasze działanie jest analizowane pod kątem wpływu na wynik biznesowy banku. Musimy zaspokoić apetyty akcjonariuszy na odpowiednie zarządzanie kapitałem, który jest nam powierzony. Ale nie ukrywamy również – i o tym mówi często prezes Jagiełło – że działamy zgodnie z zasadą: to, co jest dobre dla polskiej gospodarki, jest dobre także dla PKO Banku Polskiego. Dlatego uważnie obserwujemy rynek. Kiedy wzrost eksportu spowodował zwiększoną liczbę sygnałów od naszych klientów odnośnie do wsparcia w rozwoju ich biznesu, zdecydowaliśmy się na taki krok. Otworzyliśmy oddziały zagraniczne i stale rozbudowujemy sieć banków korespondentów za granicą.

Rozumiem, że tego sobie życzyli klienci, ale jakie jeszcze były przyczyny uruchomienia oddziałów PKO BP w Niemczech i w Czechach?

Dzięki otwarciu oddziału we Frankfurcie nasi klienci mają do swojej dyspozycji zespół przygotowany zarówno do obsługi polskich przedsiębiorców działających w Niemczech, jak i niemieckich firm działających w Polsce. Infrastruktura oddziału niemieckiego jest w pełni dostosowana do wymogów SEPA, co daje naszym klientom możliwość łatwych i tanich rozliczeń z kontrahentami na terenie Niemiec oraz w całej strefie euro. Dzięki innowacyjnym rozwiązaniom polskie firmy mogą też szybko oraz tanio wykonać transfer środków z i do Polski – środki z rachunku PKO Banku Polskiego we Frankfurcie czy w Pradze na konto w banku w Polsce przekazywane są w czasie rzeczywistym. Poza tym Niemcy to ten kierunek, którym nasz biznes jest bardzo żywo zainteresowany, mamy narastającą wymianę handlową z tym krajem. Warto także pamiętać, że Frankfurt to druga obok Londynu stolica finansowa Europy, a dzisiaj, w czasie Brexitu, część banków istotnych z punktu widzenia stabilności finansów europejskich decyduje się na przeniesienie swoich oddziałów do tego miasta. Ta migracja to dowód, że trafnie wybraliśmy lokalizację naszego oddziału w 2015 r., kiedy decydowaliśmy o placówce w Niemczech. A dlaczego Czechy? Jeśli weźmiemy pod uwagę głównych partnerów handlowych Polski, to obok Wielkiej Brytanii i Niemiec w czołówce są nasi południowi sąsiedzi. Ten rynek jest bardzo atrakcyjny dla polskich firm, eksporterów m.in. z branży obuwniczej, budowalnej, petrochemicznej i wielu, wielu innych.

Mimo krótkiej historii działania zarówno oddział w Pradze, jak i we Frankfurcie osiągnęły już planowaną dochodowość. A to potwierdza, że decyzje o ich otwarciu w tych lokalizacjach miały silne uzasadnienie biznesowe.

Jak sądzę, planujecie uruchomienie kolejnych oddziałów zagranicznych. Czy może pan zdradzić, które kraje bierzecie pod uwagę?

Do tej pory rozwijaliśmy nasze kompetencje międzynarodowe, uważnie analizując możliwości biznesowe, zarówno z punktu widzenia naszych klientów, jak i banku. Mając już odpowiednią wiedzę, wybieraliśmy miejsca nowych oddziałów korporacyjnych. Teraz pracujemy nad kolejnymi projektami.

Proszę więc zdradzić: czy bierzecie pod uwagę kraje europejskie, czy może rozważacie też obecność na innych kontynentach?

Na obecnym etapie koncentrujemy się na kierunkach, które charakteryzują się dużą aktywnością inwestycyjną lub eksportową naszych klientów.

Czy to znaczy, że obecnie nie trzeba tworzyć sieci oddziałów na całym świecie, aby być bankiem międzynarodowym?

Oczywiście są różne modele działalności, ale generalnie dzisiaj przedsiębiorca sprowadzający lub eksportujący swój towar z odległych krajów, np. z Azji Południowo-Wschodniej, nie

eprasa.pl 7313dec8fb

jest zainteresowany placówką banku w tamtym regionie.

Oczekiwania ludzi biznesu to dziś sprawna obsługa bankowa płatności międzynarodowych, globalne relacje korespondenckie ich krajowego banku, sprawne zarządzanie gotówką czy dostosowana do zmieniającego się rynku oferta trade finance.

Jak często uruchamiacie rozliczenia w kolejnych walutach?

Robimy to wtedy, kiedy widzimy, że wymaga tego biznes realizowany przez naszych klientów. Dziś oferujemy transakcje w 23 walutach, ostatnio uzupełniliśmy naszą ofertę o walutę Singapuru i Nowej Zelandii.

Proszę mi powiedzieć, jak to dokładnie wygląda. Firma, która chce rozpocząć sprzedaż np. do Singapuru, przychodzi do PKO BP i co dalej?

Nie musi przychodzić, może skorzystać z Platformy Wsparcia Eksportu. Tam dowie się wszystkiego o tym, co w danym kraju jest chętnie nabywane przez importerów i co się z niego eksportuje. Znajdzie tam informacje makroekonomiczne w formie wizytówki o państwie i tamtejszym rynku oraz uzyska podstawowe informacje pomocne w rozpoczęciu współpracy z nowym rynkiem. Nasz internetowy serwis poinformuje również o możliwości skorzystania z naszej rozbudowanej sieci banków korespondentów.

Czy firma będąca waszym klientem może za granicą liczyć na coś więcej z waszej strony niż znalezienie banku, który jest waszym korespondentem? Czy np. pomagacie w znalezieniu klientów?

Monitorujemy bazy danych dotyczące eventów gospodarczych, spotkań handlowych, największych imprez targowych, ale też pokazujemy, na których platformach e-commerce można dokonywać sprzedaży na danym rynku.

Które spośród produktów oferowanych przez was w ramach wsparcia eksportu są najbardziej popularne? Co jest hitem eksportowym?

To trudne pytanie, mamy bowiem różnych klientów, którzy mają odmienne oczekiwania. Inne są oczekiwania firmy, która np. czeka na pieniądze z Hongkongu, a inne zgłosi przedsiębiorca, który do Azji wysyła swoje towary i chce użyć instrumentów do zabezpieczania transakcji eksportowej.

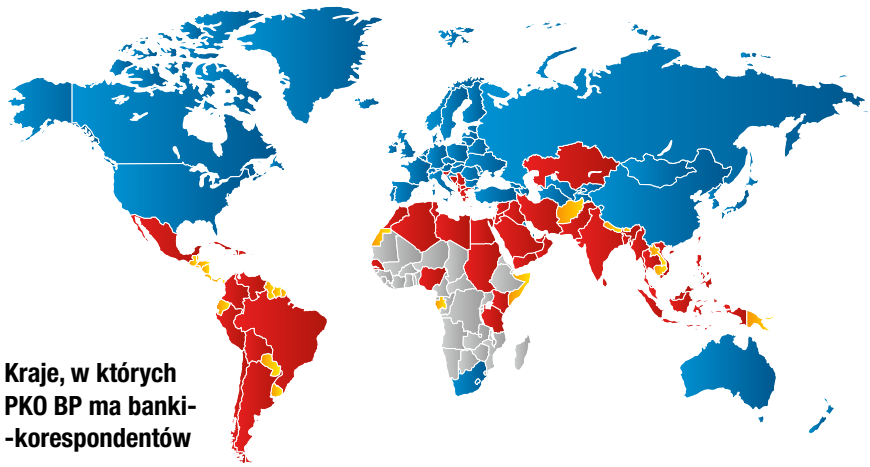

Kraje, w których PKO BP ma banki-korespondentów

● Banki korespondenci NOSTRO/LORO ● Relacje SWIFT ● Pokrycie przez RPA ● Brak relacji

> Mimo krótkiej historii działania zarówno oddział w Pradze, jak i we Frankfurcie osiągnęły już planowaną dochodowość. A to potwierdza, że decyzje o ich otwarciu w tych lokalizacjach miały silne uzasadnienie biznesowe

Czy analizowaliście w PKO BP, które branże polskiej gospodarki mają największe szanse na ekspansję zagraniczną i gdzie jest największy popyt na ich produkty?

Myślę, że niedługo będziemy mogli oceniać, jak swoje szanse wykorzysta branża budowlana. Eksportujemy pracowników, polskich inżynierów i robotników można spotkać na budowach w wielu państwach Europy, ale przyszedł już czas, abyśmy zaczęli eksportować brand określonych firm budowlanych. I wkrótce się dowiemy, czy tę szansę polska branża budowlana wykorzysta np. w Niemczech lub na terenie Francji.

Wkrótce też zobaczymy, czy w pełni wykorzystamy możliwości, jakie pojawią się przed polską żywnością, jeśli uda nam się wykreować markę Made in Poland jako symbol zdrowej europejskiej żywności.

A gdzie pan upatruje przewagę PKO BP nad konkurencją? Bo myślę, że konkurencja między bankami działającymi w Polsce o obsługę polskiego handlu zagranicznego jest bardzo zaciekła.

Uczymy się od naszych klientów, staramy się wyprzedzać tendencje rynkowe. Wprowadzenie rozliczeń w dolarze nowozelandzkim i dolarze singapurskim wynikało z oczekiwań biznesu, który z nami współpracuje. Jesteśmy pokorni wobec ewentualnych uwag i analizujemy ich kontekst. Jesteśmy liderem polskiej bankowości, ale nie spoczywamy na laurach. Nauka ma więc wymiar zewnętrzny i wewnętrzny. Rozwijamy nasze kompetencje i produkty, o czym świadczy liczba korzystających z nich klientów. Doceniają nas nie tylko klienci, lecz również eksperci z magazynu „Global Finance", którzy pod koniec stycznia br. uhonorowali nas prestiżową nagrodą The World's Best Trade Finance Providers.

27/0118/F

eprasa.pl 7313dec8fb

Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

Chcesz się POŁĄCZYĆ?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. Shutterstock

Rok podwyżek płac

Znacząco rośnie polski PKB – ok. 5 proc. Będą więc również rosły płace. Choć wynagrodzenia nie powinny zbytnio wyprzedzać wydajności i tzw. produktywności pracy, wydaje się, że wzrostowy trend jest nieunikniony

JANUSZ SZEWCZAK

Wkrótce Polska stanie się jednym z największych placów budowy w Europie. Czekają nas nie tylko nowe, duże inwestycje infrastrukturalne, lecz również rozbudowa istniejących już firm ze względu na ogromną liczbę zamówień z kraju i zagranicy. Popyt konsumpcyjny utrzyma się na wysokim poziomie również w 2018 r. Nic więc dziwnego, że rośnie aktywność rekrutacyjna i praca szuka dziś pracowników. Wynagrodzenia od 2017 r. rosną w całym kraju i jest to nowa sytuacja w Polsce od niemal 25 lat. Presja płacowa będzie więc coraz większa, bo realizowana jest wizja gospodarki popytowej, a nie całkowicie błędna koncepcja gospodarki podażowej prof. Leszka Balcerowicza. Jej istotą były cięcia i oszczędności, a nawet opodatkowanie wzrostu wynagrodzeń, jak zdarzyło się na początku transformacji w postaci słynnego „popiwku", co było ewidentnym błędem i zaprzeczeniem zasad gospodarki rynkowej.

Pozyskanie i zatrzymanie dobrego pracownika w 2018 r. będzie coraz większym wyzwaniem, tym bardziej że prawie 80 proc. pracodawców planuje zwiększenie zatrudnienia w tym roku, a 70 proc. planuje podwyżki. Ten przymus ekonomiczny wynika również z tego, że od początku tego roku płaca minimalna wynosi 2,1 tys. brutto i dotyczy niemal 1,5 mln osób. Jest więc niewiele niższa od tzw. dominanty płacowej, czyli najczęściej spotykanego wynagrodzenia wynoszącego 2,2–2,5 tys. zł brutto (niewiele poniżej 2 tys. zł na rękę). Tak zwana mediana zarobków w Polsce to ok. 3,5 tys. zł brutto, a przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw zatrudniających powyżej dziewięciu osób – obejmujące swym zasięgiem zaledwie 40 proc. wszystkich pracowników – to dziś ok. 5 tys. zł. Taka kwota to oczywiście marzenie płacowe zwykłego Kowalskiego.

Polskie wynagrodzenia są trzy-, czterokrotnie niższe niż w Niemczech, we Francji czy w Holandii. U nas średnia płaca to ok. 800 euro, i to brutto, w Niemczech zaś 3,5–3,7 tys. euro, choć i za Odrą istnieje znaczna liczba osób zarabiających poniżej 2 tys. euro. Przy obecnym tempie wzrostu wynagrodzeń w Polsce, na nominalnym poziomie rzędu 5–7 proc. – musielibyśmy gonić Niemcy 80 lat, a tyle cierpliwości polscy pracownicy nie mają. Pracodawcy nad Wisłą – zarówno zagraniczni, jak i krajowi – będą się musieli w najbliższych latach pożegnać z biznesem opartym głównie na cięciach i oszczędnościach płacowych oraz tzw. niskich kosztach osobowych. Polska opozycja już się martwi, że 2018 będzie niewątpliwie rokiem podwyżek płac. W grudniu 2017 r. zatrudnienie w sektorze przedsiębiorstw wzrosło o 4,6 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym, a przeciętne wynagrodzenie wzrosło o 7,3 proc.

Co prawda znaczący napływ w ostatnich latach pracowników z Ukrainy (2 mln osób) spowodował stosunkowo wolniejszy wzrost płac w Polsce niż np. na Węgrzech, gdzie wynagrodzenia

47/0118/F

eprasa.pl 7313dec8fb

wzrosły w tym czasie o ok. 14 proc., czy Rumunii – wzrost o ok. 10 proc., jednak rosnącej luki zatrudnieniowej przybysze ze Wschodu nie są w stanie zasypać.

W 2018 r. w sektorach najbardziej poszukujących i potrzebujących pracowników wynagrodzenia mogą rosnąć nawet w tempie dwucyfrowym – 10–12 proc. Dotyczyć to może zwłaszcza takich sektorów jak budownictwo, hotelarstwo, przemysł motoryzacyjny, handel, gastronomia i usługi. Z drugiej strony wydaje się, że żądania płacowe lekarzy rezydentów na poziomie 8–9 tys. zł w ramach pierwszej płacy są mocno przesadzone, nawet w porównaniu z zarobkami pracowników służby zdrowia.

Mimo że planowany minimalny wzrost przeciętnego wynagrodzenia jest na poziomie 4,7 proc. brutto, w sektorze przedsiębiorstw – 5,3 proc. brutto, to ma on mieć miejsce przy założeniu wzrostu PKB na poziomie 3,8 proc., a wygląda na to, że sięgnie on powyżej 4 proc., to zaś będzie oznaczało znów wyższą presję płacową. W tym samym czasie średni wzrost wynagrodzeń w całej UE wynosić będzie zaledwie 0,8 proc., a w niektórych krajach – takich jak Wielka Brytania czy Hiszpania – może nastąpić nawet spadek wynagrodzeń. Tym więc, co może przyciągać nowych pracowników obok wyższych płac, będą różnego rodzaju bonusy i świadczenia, pakiety medyczne, sportowe, służbowe auto, programy emerytalne, stosunek kadry kierowniczej do tzw. szarego pracownika, kultura korporacyjna czy wreszcie elastyczność godzin pracy.

Rynek pracy w Polsce jest w tej chwili rozgrzany, a dobry pracownik na wagę złota. Rąk do pracy brakuje już dzisiaj nie tylko w sieciach handlowych, lecz również pośród pielęgniarek, spawaczy, murarzy, tokarzy, kierowców, inżynierów czy górników. Na dodatek na pracowników czekają budowy dróg, autostrad, linii kolejowych, rządowe projekty infrastrukturalne, choćby Mieszkanie+, CPK, a potencjalnie nawet budowa elektrowni atomowej. Polska w najbliższych latach będzie jednym wielkim placem budowy, do 2030 r. na infrastrukturę nad Wisłą wydamy ok. 140 mld euro – potrzebni więc będą nowi pracownicy, z pewnością lepiej opłacani.

Rosną wynagrodzenia wśród służb mundurowych i nauczycieli, choć w niesatysfakcjonującym te grupy zawodowe tempie. Zdarzają się już tak kuriozalne sytuacje na rynku pracy, że gliwicka fabryka Opla chce eksportować prawie 200 polskich pracowników do swoich fabryk w Niemczech. Ciekawe, czy zaproponuje im niemieckie wynagrodzenia.

W ramach Pracowniczych Programów Emerytalnych (PPE) na razie oszczędza tylko 2,5 proc. pracowników. Rząd pracuje właśnie nad nową wizją oszczędzania w ramach Pracowniczych Programów Kapitałowych (2 proc. wynagrodzenia odkłada pracownik, pracodawca dokłada 1,5 proc. wynagrodzenia netto, budżet dorzuca 250 zł, a rząd corocznie 240 zł). To również będzie miało istotne znaczenie, jeśli chodzi o wysokość płac.

REKLAMA

2 OSCARY®
NOMINACJE
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZA AKTORKA
Meryl Streep
Meryl Streep
Tom Hanks
Film Stevena Spielberga
Czwarta władza
Prawda to niebezpieczna broń
w kinach od 16 lutego
©2017 Twentieth Century Fox Film Corporation and Storyteller Distribution Co., LLC. All Rights Reserved.
Twój STYL 4 muzo.fm FILMWEB Cinemaneplasa Newsweek Planet FOCUS ams co jest grane24 GAZETA.PL

Hit tygodnia

Panasonic Lumix DC-GH5S

Nie minęło zbyt wiele czasu od premiery Lumixa DC-G9 (zaledwie dwa miesiące), flagowiec Lumix DC-GH5 ma rok, a Panasonic pokazuje kolejny model zaawansowanego bezlusterkowca ukierunkowanego na filmowanie. Czy można tu mówić o próbie zdyskontowania sukcesu poprzednich modeli? Oczywiście, że nie, a informuje nas o tym skromna litera S w nazwie. Żeby nie trzymać niepotrzebnie w niepewności, Lumix DC-GH5S to urządzenie jeszcze bardziej nastawione na możliwości filmowania. Co to oznacza w praktyce, przede wszystkim „zaledwie" 10-megapikselowa matryca systemu Micro4/3 (GH5 i G9 mają po 20 Mpix). Czy nie przypomina to trochę sytuacji w stajni Sony, gdzie obok normalnych matryc spotykamy 12-megapikselową w modelu a7S, przeznaczonym właśnie do filmowania (mniejsza liczba pikseli na matrycy pozwala znacznie obniżyć szum, jaki pojawia się przy dużych wartościach ISO – np. podczas filmowania w trudnych warunkach oświetleniowych; minusem jest mniejsza szczegółowość zdjęcia, zwłaszcza dziś, gdy średnia dla matryc pełnoklatkowych to 36 Mpix). Mniejsza liczba megapikseli to niejedyna zmiana w stosunku do GH5, ale pozostałe zrobią wrażenie w zasadzie tylko na specach od filmowania aparatami fotograficznymi (np. VLog-L dostępny out-of-the-box, wizjer w trybie 120 fps, DCI 4K dostępne także 59.94, 50, 29.97 i 25p – GH5 ma tylko 23.98 /24p). Czy warto inwestować w ten model? Szczerze, jeśli nie tylko filmujemy, lecz liczy się dla nas także jakość zdjęć – nie, jeśli chcemy mieć jak najnowszy i najlepszy sprzęt do filmowania zamknięty w obudowie bezlusterkowca... to czemu nie, ale pamiętajmy, że jest też Sony. **premiera**

Plusy i minusy

+ bardzo rozbudowane możliwości filmowania
– możliwości fotografowania pozostawiają nieco do życzenia, zwłaszcza w porównaniu z konkurencją

Google Clips

Kilka lat temu świat miały podbić okulary Google'a, ale tak się nie stało. Jaki los czeka najnowszy produkt koncernu – Google Clips? Czy jest w ogóle miejsce na takie urządzenie, czy ktoś go potrzebuje? Przekonamy się już niedługo. A teraz dowiedzmy się, co to za ustrojstwo. Google Clips to nic innego jak kamerka, która za nas ma robić zdjęcia (a następnie przerobić je na coś podobnego do filmiku, jak GIF-y). Wszystko ma być „inteligentne" – nad urządzeniem pracowali specjaliści z wielu dziedzin, dzięki czemu produkt sam ma się doskonalić. Nie, wcale nie podważam kompetencji specjalistów ani możliwości urządzenia, raczej powątpiewam w jego, że tak powiem, potrzebę pojawienia się na rynku. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może gdy wpadnie mi w ręce, okaże się całkiem użytecznym i niezbędnym gadżetem? **cena: ok. 250 dol.**

Razer Nommo i Nommo Pro

Razer zaprezentował nową linię głośników przeznaczonych do PC – Razer Nommo i Nommo Pro. Nommo Pro to zestaw głośników 2.1 z systemem Dolby Virtual Speaker, a Razer Nommo jest zestawem głośników 2.0. To przystępna cenowa alternatywa dla osób, które cenią sobie dźwięk o pełnym zakresie brzmienia. Zestaw Razer Nommo Pro jest wyposażony w złącze USB, Bluetooth, a także 3,5 mm jack oraz panel kontrolny, sterujący głośnością i źródłem dźwięku. Razer Nommo Pro jest wspierany przez system Razer Chroma pozwalający na podświetlanie urządzenia za pomocą palety 16,8 mln kolorów. **premiera**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

56/0118/F

eprasa.pl 7313dec8fb

Wyznaczamy nowe standardy współpracy

· Profesjonalna wycena portfeli wierzytelności

· Skuteczne odzyskiwanie należności

· Kompetentna obsługa osób zadłużonych

www.getbacksa.pl

getback

Zarządzanie wierzytelnościami

eprasa.pl 7313dec8fb

Alior Bank wspiera polskich eksporterów

Zgodnie ze Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju ekspansja zagraniczna polskich przedsiębiorstw będzie elementem pomnażania rodzimego kapitału poprzez zwiększenie korzyści skali oraz wzmocnienie obecności na dotychczasowych rynkach i wchodzenie na nowe, w szczególności szybko rozwijające się rynki, np. w Azji i Afryce. Takie przedsięwzięcia wymagają jednak wsparcia rodzimych firm przez polskie banki

Eksport stał się w ostatnich latach najważniejszym czynnikiem wpływającym na wzrost polskiego PKB. Co więcej, według prognoz eksport będzie dalej rósł, a do 2020 r. jego wartość ma wynieść 240 mld euro. Chociaż głównym partnerem polskich firm pozostają odbiorcy z krajów Unii Europejskiej, to Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wśród priorytetów wskazuje ekspansję na perspektywicznych rynkach – azjatyckim, amerykańskim i afrykańskim – które rozwijają się coraz szybciej i mają niezagospodarowany potencjał. Państwo wspiera eksporterów poprzez narzędzia skupione w Polskim Funduszu Rozwoju, choćby powołaną w miejsce mało efektywnej PAIiIZ (Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych) Polską Agencję Inwestycji i Handlu, która otwiera nowe, prężnie działające Zagraniczne Biura Handlowe na najbardziej perspektywicznych rynkach.

Maciej Surdyk, dyrektor zarządzający Pionem Rozwoju Bankowości Przedsiębiorstw Alior Banku

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 7313dec8fb

By wsparcie eksportu było jednak kompleksowe, państwo potrzebuje udziału podmiotów komercyjnych, zwłaszcza z sektora finansowego. Rozwój eksportu, również na rynkach o podwyższonym ryzyku, sprawia, że eksporterzy poszukują godnych zaufania banków, które pomogłyby im bezpiecznie realizować współpracę międzynarodową.

Na tym tle wyróżnia się Alior Bank, który oferuje firmom wiele rozwiązań pozwalających na wyeliminowanie lub znaczne ograniczenie ryzyka związanego ze sprzedażą towarów i usług na rynki zagraniczne oraz prawidłowe wywiązanie się ze zobowiązań kontraktowych.

– Wśród instrumentów wsparcia, które oddajemy do dyspozycji polskim firmom, znajdują się gwarancje wadialne, dające możliwość udziału w przetargu bez angażowania środków własnych, oraz gwarancje zwrotu zaliczki. Przedsiębiorstwa mogą również liczyć na gwarancje dobrego wykonania kontraktu oraz rękojmi i usuwania usterek, które bardzo często są wymagane w umowie i służą uwiarygodnieniu eksportera – mówi Maciej Surdyk, dyrektor zarządzający Pionem Rozwoju Bankowości Przedsiębiorstw Alior Banku.

Ważnym uzupełnieniem oferty są akredytywy eksportowe, stanowiące zobowiązanie banku importera i zabezpieczające przed ryzykiem transakcji w razie jego niewypłacalności. Chronią one przedsiębiorcę przed ewentualnością jednostronnego odstąpienia od transakcji przez importera, jak również dają niemal pewność otrzymania zapłaty niezwłocznie po przedstawieniu do banku dokumentów wysyłkowych wskazanych w warunkach akredytywy.

W styczniu br. Alior Bank przystąpił również do Programu Akredytyw Eksportowych, podpisując umowę z Bankiem Gospodarstwa Krajowego. – Dzięki tej współpracy będziemy mogli bezpośrednio potwierdzać akredytywy eksportowe naszym klientom firmowym, a BGK będzie przejmował ryzyko banku zagranicznego. Tego typu współpraca znacząco ułatwi eksporterom realizację zamówień na rynkach o podwyższonym ryzyku – tłumaczy Maciej Surdyk.

Akredytywa jest narzędziem zobowiązującym bank importera do zapłaty określonej kwoty w zamian za dokumenty, które w jej ramach zaprezentuje eksporter za pośrednictwem swojego banku. Jeżeli okażą się one zgodne, bank otwierający akredytywę zobowiązany jest do dokonania zapłaty. Przejęcie ryzyka banku importera przez BGK poprawia bezpieczeństwo transakcji, a Alior Bankowi daje nowe rozwiązania w zakresie wspierania polskich firm poszukujących możliwości rozwoju na rynkach zagranicznych. Współpraca Alior Banku z BGK jest kolejnym elementem wynikającym wprost z założeń Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, która zakłada konsolidację działań na rzecz wsparcia polskich przedsiębiorstw.

240 mld euro

– tyle według prognoz wyniesie wartość eksportu do 2020 r.

„Otwieramy nowe pole współpracy z sektorem bankowym. Dotychczas banki komercyjne podchodziły raczej ostrożnie do transakcji z krajami o podwyższonym ryzyku. Dzięki zawartym umowom dajemy bankom możliwość wspierania przedsiębiorców zarówno na rynkach bliskich, takich jak Rosja czy Białoruś, jak i dalekich, takich jak kraje Afryki. Ta inicjatywa wpisuje się również w Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, która ma za zadanie wspierać różnorodne kierunki eksportowe dla polskich firm" – mówił Wojciech Hann, członek zarządu BGK w dniu podpisania Programu Akredytyw Eksportowych.

Wsparcie BGK to niejedyny sposób zabezpieczenia interesów eksporterów. Alior Bank może również przejąć ryzyko banku importera w oparciu o gwarancje wystawiane przez Korporację Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych (KUKE S.A.). W ramach współpracy z tą instytucją bank przygotowuje się do wprowadzenia do oferty kredytu zwanego „buyer's credit", który w oparciu o regulacje krajów OECD daje możliwość finansowania nabywcy polskich dóbr inwestycyjnych poprzez udzielenie kredytu bankowi importera. Eksporter będzie otrzymywał środki niezwłocznie po zrealizowaniu inwestycji lub jej etapu, a importer, za pośrednictwem swojego banku, będzie spłacał kredyt udzielony przez Alior Bank. Ryzyko spłaty takiego kredytu ubezpieczone jest w całości przez KUKE i gwarantowane przez Skarb Państwa.

Alior Bank wspiera również firmy oferujące swoje usługi i towary z odroczonym terminem płatności. Skorzystanie z dyskonta akredytywy eksportowej przy transakcjach jednorazowych lub faktoringu eksportowego przy transakcjach powtarzalnych umożliwia poprawę płynności, zamieniając należności terminowe na gotówkę.

– Rodzimym firmom udostępniamy też różne rozwiązania pozwalające zabezpieczyć ryzyko kursowe, które jest jednym z głównych czynników wpływających na opłacalność eksportu. Nasi doradcy pomogą eksporterowi dobrać produkt dopasowany do potrzeb i skali przedsięwzięcia oraz ustrukturyzują transakcję tak, aby w największym stopniu ograniczyć ryzyko – dodaje Maciej Surdyk z Alior Banku.

Alior Bank zamierza wspierać obecnych i potencjalnych klientów w poszukiwaniu nowych rynków zbytu, nowych dostawców i lokalizacji do realizacji inwestycji poza granicami Polski. W tym celu pracuje nad zorganizowaniem misji gospodarczych z wybranymi partnerami, które w konsekwencji wesprą klientów w rozwoju biznesu. Kolejnym działaniem na styku granic państw jest projekt współpracy banku z ambasadami i jednostkami odpowiedzialnymi za kontakty biznesowe przy ambasadach krajów o największej dynamice inwestowania w Polsce.

(BZ)

eprasa.pl 7313dec8fb

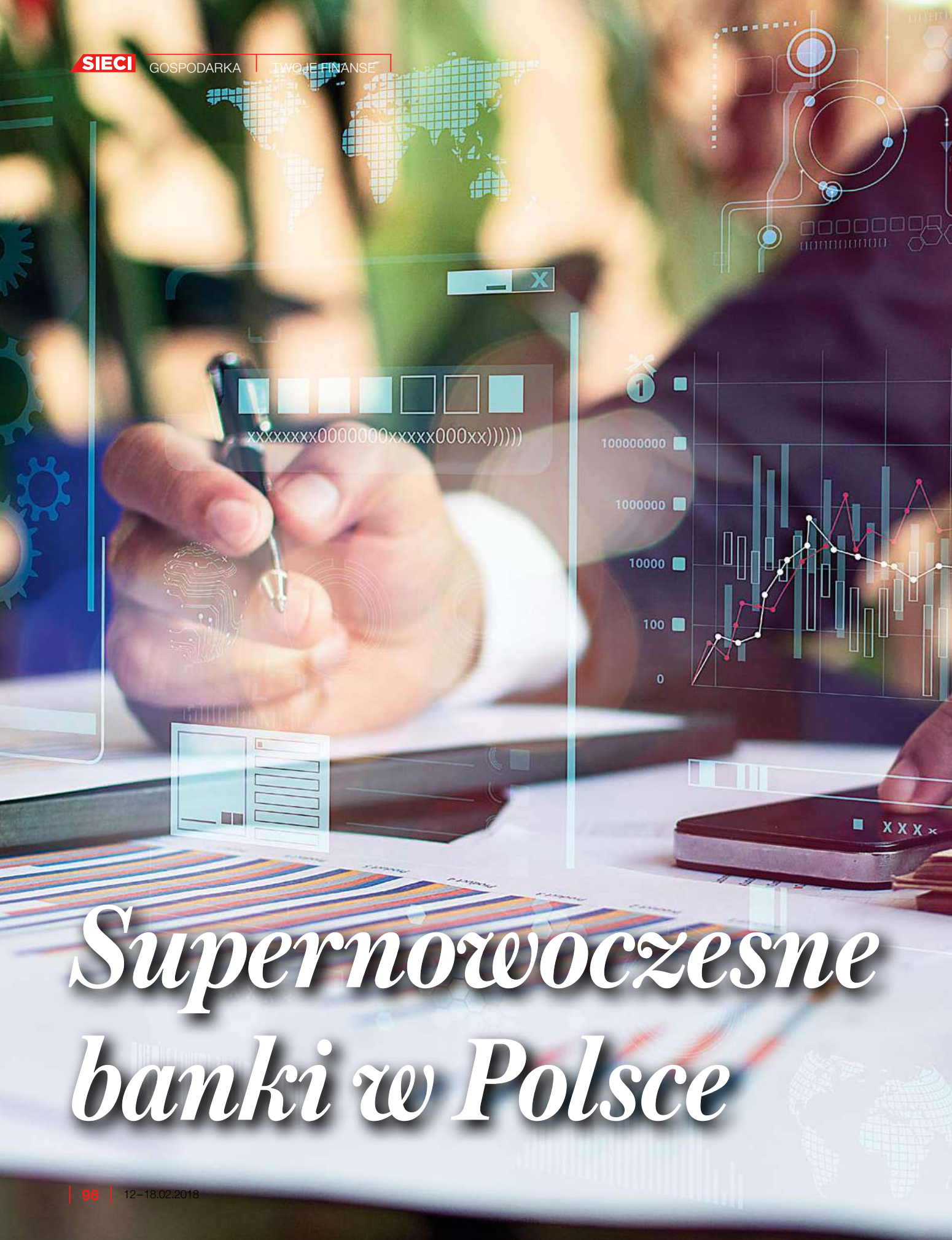

Supernowoczesne banki w Polsce

Fot. Shutterstock | 3/1217/F

Nowoczesność i innowacyjność to mocna strona banków działających w naszym kraju. Pod względem technologicznym należą one do ścisłej światowej czołówki

W pogoń za światowymi liderami polskie banki ruszyły na początku lat 90. Ponieważ zaczynały niemal od zera, mogły od razu inwestować w nowoczesną bankowość, pomijając kilka etapów, które musiały wcześniej pokonać instytucje finansowe działające na rynkach rozwiniętych. Z tego powodu polskie banki gładko przeszły np. przez epizod z czekami, które nigdy u nas się nie upowszechniły, a dla niektórych zachodnich banków okazały się poważnym balastem: ich obsługa dla instytucji finansowych, a także dla sieci handlowych czy koncernów paliwowych była tak droga, że powoli z nich rezygnowały (pierwsi zrobili to Skandynawowie). W Polsce zamiast czeków upowszechniły się bardziej nowoczesne i dużo tańsze w obsłudze przelewy oraz karty płatnicze (debetowe i kredytowe).

KONKURENCJA JUŻ NA STARCIE

Polski sektor bankowy niemal natychmiast po przejściu od gospodarki socjalistycznej do rynkowej stał się mocno konkurencyjny. W naszym kraju na początku lat 90. zostało powołanych kilkadziesiąt banków – w latach 1989–1992, na podstawie Prawa bankowego z 1989 r., powstało ich 70. Okres od 1990 do 1992 r. sprzyjał również zakładaniu banków zagranicznych, dysponujących potężnym zapleczem kapitałowym. Banki musiały walczyć o rynek, a przydatnym narzędziem pozwalającym osiągnąć przewagę konkurencyjną były nowoczesne i atrakcyjne usługi finansowe.

europa.pl 7313dec8fb

Trafiły one na podatny grunt, jakim okazało się polskie społeczeństwo, otwarte na produktowe nowości i technologiczne nowinki. Według badania „Masterindex – ogólnoeuropejskie trendy w handlu elektronicznym i nowych metodach płatności", cytowanego w publikacji Narodowego Banku Polskiego pt. „Ocena funkcjonowania polskiego systemu płatniczego w I półroczu 2017 r.", nasze społeczeństwo należy do europejskiej czołówki pod względem zakupów przez internet, korzystania z płatności zbliżeniowych oraz dystansu do płatności gotówkowych. To kluczowe wskaźniki pozwalające ocenić podejście do innowacyjności. Z usług sklepów internetowych codziennie lub prawie codziennie korzysta 9 proc. badanych Polaków – to najwyższy (na równi z Litwinami) wynik w Europie. Co istotne z punktu widzenia nowoczesnych technologii, coraz bardziej stawiających na intuicyjność i niezawodność, Polacy – wybierając metodę płatności on-line – zwracają uwagę przede wszystkim na jej szybkość (35 proc.) i wygodę (34 proc.), natomiast w przeciwieństwie do kupujących z innych krajów rzadziej wskazują na kwestie bezpieczeństwa (19 proc., w porównaniu z europejską średnią wynoszącą 30 proc.). Polska jest również liderem pod względem popularności płatności zbliżeniowych dokonywanych za zakupy w sklepach stacjonarnych: nasze wyniki są ponad trzykrotnie wyższe niż średnia europejska (niemal co czwarty polski konsument dokonuje ich codziennie lub prawie codziennie). Według „Masterindex" Polacy wydają się mniej „uzależnieni" od tradycyjnej gotówki niż pozostali Europejczycy.

OTWARCI NA ZMIANY

A jak wygląda sytuacja w bankowości mobilnej, czyli na „okręcie flagowym" nowoczesnych finansów? Jak przewidują eksperci, za jakiś czas w obszarze płatności może ona zastąpić transakcje tradycyjnymi kartami płatniczymi (choć karty szybko nie znikną, ponieważ są wygodne, bezpieczne i nie grozi im rozładowanie, jak w przypadku smartfonów wykorzystywanych w płatnościach mobilnych) czy tradycyjnymi przelewami internetowymi. Tutaj także wypadamy dobrze. Według badań „ING International Survey Mobile Banking 2016", cytowanych w raporcie Interaktywnie.com i Business Insider Polska, poświęconemu bankowości elektronicznej, Polska zajmuje w tej dziedzinie wysokie dziewiąte miejsce w Europie. Liderami są Holendrzy (63 proc. osób korzystających z bankowości mobilnej), przed Brytyjczykami (55 proc.). Polska, z wynikiem 43 proc. respondentów, wyprzedza takie kraje jak Belgia, Włochy czy Czechy. Według PRNews na koniec III kwartału 2017 r. liczba użytkowników bankowości mobilnej przekroczyła 9 mln; był to wzrost o 2 mln w stosunku do danych prezentowanych rok wcześniej. Wynik jest bardzo dobry, zważywszy na to, że boom na aplikacje mobilne trwa zaledwie od czterech–pięciu lat.

> Konta w chmurze, w pełni mobilna obsługa transakcji, mobilne wpłatomaty to niektóre z nowoczesnych usług wyróżniających polskie banki

Z jednej strony Polska dysponuje atrakcyjnym, otwartym na zmiany rynkiem, a z drugiej – nowoczesnymi, spełniającymi oczekiwania swoich klientów bankami. Dzięki tej symbiozie polski sektor bankowy wypracował sobie wysoką pozycję w różnego rodzaju rankingach oceniających poziom technologicznego zaawansowania branży finansowej. Nasz sektor bankowy stał się liderem wśród państw Europy Środkowej. Według analizy Deloitte z 2016 r. „CE Banking Outlook Winning in the Digital Arms Race" polski sektor bankowy charakteryzuje się najwyższą dojrzałością cyfrową, zarówno w kanale internetowym, jak i mobilnym. W pierwszej piątce rankingu sporządzonego przez Deloitte znalazły się aż trzy banki z Polski.

Bardzo wysoką pozycję zajmujemy również w płatnościach bezstykowych. Według raportu PwC „Sektor finansowy coraz bardziej #fintech" Polska należy do grupy 10 czołowych państw świata przodujących w tej nowoczesnej technologii. Poza Polską do ścisłej czołówki światowej zaliczane są tylko dwa inne kraje starego kontynentu – Wielka Brytania oraz Szwecja. – Polacy deklasują jednak Brytyjczyków w wykorzystywaniu tego rodzaju płatności, wykonując ponad trzykrotnie więcej transakcji bezstykowych w przeliczeniu na liczbę wydanych kart bezstykowych. To efekt bardzo wysokiej akceptacji dla nowych technologii płatniczych wśród Polaków, zarówno na poziomie konsumentów, dostawców infrastruktury płatniczej, jak i jej operatorów – twierdzą autorzy raportu. Podobne ponadprzeciętne otwarcie na nowe technologie jest widoczne w przypadku bankowości mobilnej, z której korzysta aż 61 proc. posiadaczy telefonów komórkowych, przy średniej europejskiej wynoszącej 40 proc. – Polscy użytkownicy wymieniani są w gronie najszybciej przyswajających mobilne technologie. Potwierdza to też technologiczny poziom usług oferowanych przez polskie banki. Konta w chmurze, w pełni mobilna obsługa transakcji, mobilne wpłatomaty to niektóre z usług wyróżniających polskie banki – twierdzą eksperci PwC.

NOWE POKOLENIE

Wyrazem pozycji polskich banków są liczne nagrody w prestiżowych konkursach i rankingach. Nasza czołówka nie składa się z jednego czy dwóch wybitnie nowoczesnych banków, ale ze znacznie liczniejszego grona. Nowinki wprowadzone przez jednego gracza są powielane i udoskonalane przez innych, a w przypadku gdy jedno nowoczesne rozwiązanie ma służyć większej grupie banków, są one w stanie współpracować ze sobą w imię wspólnych korzyści. Tak stało się z BLIK, czyli z pol-

eprasa.pl 7313dec8fb

Fot. Shutterstock

skim systemem płatności mobilnych dostępnym w aplikacjach 10 banków i instytucji finansowych. Banki same zbudowały infrastrukturę obsługującą ten system.

Innowacje to chleb powszedni banków. Pomagają się wyróżnić na mocno konkurencyjnym rynku, przyciągają nowością, ale posiadają też potencjalnie walor przychodowy, pozwalający poprawić wyniki finansowe. Jak można przeczytać w serwisie Obserwator Finansowy, dzięki nowoczesnym urządzeniom, np. smartfonom i smartwatchom, instytucje finansowe będą mogły lepiej określać profil ryzyka swoich klientów. Dostęp do takich danych pozwoli firmom działającym na rynku finansowym uzyskać dużą przewagę konkurencyjną i umożliwi zaoferowanie bardziej spersonalizowanych produktów oraz usług.

Polski klient nie ma problemów z akceptacją najnowszych osiągnięć technologicznych ułatwiających korzystanie z usług finansowych. Najbardziej otwarci są oczywiście ci, którzy korzystają z bankowości internetowej. Według raportu „Bankowość internetowa i płatności bezgotówkowe. III kwartał 2017 r." NetB@nk przygotowanego przez Związek Banków Polskich, na koniec III kwartału zeszłego roku liczba klientów indywidualnych posiadających umowy umożliwiające dostęp do usług bankowości internetowej wyniosła ponad 35 mln. W porównaniu z III kwartałem 2016 r. oznacza to wzrost o ponad 2 mln (6,15 proc.). W ciągu roku zwiększyła się też liczba tzw. aktywnych klientów indywidualnych bankowości internetowej (czyli takich, którzy logują się przynajmniej raz w miesiącu) – z 15,3 mln w III kw. 2016 r. do 15,7 mln (o 2,71 proc.). Osoby najbardziej aktywne i najbardziej otwarte na nowoczesną bankowość są siłą napędową rynku i to one oczekują od banku prostoty obsługi oraz mobilności. Szczególnie mocno swoje oczekiwania artykułują milenialsi, czyli osoby urodzone między wczesnymi latami 80. a połową lat 90. XX w. Według PwC nie widzą one powodu, dla którego dostęp do usług finansowych miałby być bardziej skomplikowany od użytkowania poczty elektronicznej, oczekują szybkiej i wygodnej obsługi, a przede wszystkim usług dopasowanych do ich indywidualnych potrzeb. Aż 90 proc. ankietowanych klientów poszukuje on-line informacji i opinii na temat produktów oraz usług, a 73 proc. robi to w przypadku produktów bankowych. Według badania przeprowadzonego w czerwcu 2016 r. przez PwC i Maison zdalne kanały dostępu mają fundamentalne znaczenie. 31 proc. respondentów uważa, że nowoczesny system transakcyjny i aplikacja mobilna mogą być jednym z powodów wyboru nowego banku. Otwarcie milenialsów na nowe technologie w bankowości jest o tyle istotne, że pokolenie to będzie nabierało coraz większego znaczenia i już w 2020 r. o 70 proc. kredytów hipotecznych (pod względem wartości) aplikować będą przedstawiciele tej generacji.

NOWOCZESNE PAŃSTWO DZIĘKI BANKOM

Wysokie zaawansowanie technologiczne banków pozwala im oferować usługi dodatkowe, niezwiązane bezpośrednio z ich działalnością podstawową. Usługi te wzbogacają ofertę banków, a zarazem pozwalają realizować zadania istotne z punktu widzenia państwa. Tak jest z e-administracją, do której budowania Ministerstwo Cyfryzacji chce wykorzystać nowoczesny polski system bankowy. Dzięki technologii – korzystając z infrastruktury banków – będzie można załatwić sprawy urzędowe, nie wychodząc z domu. Koncepcja bardzo dobrze sprawdziła się przy składaniu wniosków w ramach programu Rodzina 500+ (95 proc. aplikacji on-line złożono przez serwisy transakcyjne banków). Banki poszły dalej i umożliwiły zakładanie tzw. profilu zaufanego na swoich stronach. Dzięki temu, logując się do swojego konta, można uzyskać dostęp do wielu istotnych funkcji z punktu widzenia obywatela, np. złożyć wniosek o nowy dowód osobisty czy wydanie Europejskiej Karty Ubezpieczenia Zdrowotnego (EKUZ).

Banki posiadają nie tylko technologię na odpowiednim poziomie, zapewniającą szybkość i bezpieczeństwo obsługi, lecz również szerokie kontakty ze społeczeństwem oraz wiedzę i doświadczenie niezbędne przy wprowadzaniu w życie ambitnych projektów informatycznych. Nowe rozwiązania technologiczne wchodzą już nie tylko do banków funkcjonujących w dużych miastach, lecz także do mniejszych miejscowości, w których obsługę finansową zapewniają banki spółdzielcze czy poczta. Dzięki temu technologia wraz z systematycznym rozwojem internetu umożliwia coraz powszechniejszy dostęp nie tylko do nowoczesnej bankowości, lecz również do e-administracji.

eprasa.pl 7313dec8fb

Medale w zasięgu ręki!

W miniony piątek byliśmy świadkami otwarcia XXIII Zimowych Igrzysk Olimpijskich rozgrywanych w południowokoreańskim Pjongczangu, który przez 17 dni będzie odgrywał rolę światowej stolicy sportu. Kibice przed telewizorami ściskają z całych sił kciuki za naszą olimpijską reprezentację sponsorowaną przez PKN ORLEN

Fot. PKOl

Na trasach, torach, lodowiskach i skoczniach będziemy mieli okazję obejrzeć występy 62 Polaków. Przed czterema laty w rosyjskim Soczi naszym reprezentantom udało się zdobyć aż sześć medali, w tym cztery złote – to najlepszy wynik w historii polskich startów na zimowych IO i jego powtórzenie może okazać się trudne. Kciuki będziemy naturalnie trzymać za wszystkich polskich sportowców, licząc na dobre występy biało-czerwonych. Przyjrzyjmy się szansom naszej reprezentacji.

Skoki narciarskie

Jedno jest pewne – mamy piekielnie mocną drużynę. Trener Stefan Horngacher ma do dyspozycji pięciu wyśmienitych zawodników: Kamila Stocha, Dawida Kubackiego, Stefana Hulę, Macieja Kota i Piotra Żyłę. W konkursie drużynowym jesteśmy faworytem, a o triumf powalczymy z bardzo groźnymi Norwegami i Niemcami. W konkursach indywidualnych na dużej i normalnej skoczni wygrać może tak naprawdę każdy z Polaków, choć oczywiście faworytem jest Stoch, obecny lider klasyfikacji Pucharu Świata, mający na koncie dwa złote medale z Soczi. Ale krążki będącego w życiowej formie Huli, groźnego w tym sezonie Kubackiego, wracającego do wielkiej formy Żyły czy mogącego w każdej chwili wygrać Kota nie powinny być dla nas zaskoczeniem. Złoto w drużynie i dwa lub trzy medale indywidualnie są w zasięgu Polaków.

Biegi narciarskie

Tutaj nadzieją na medale dla polskiej reprezentacji na pewno jest Justyna Kowalczyk. Ta pochodząca z Limanowej zawodniczka ma już na koncie złoto z Vancouver na 30 km czy z Soczi na 10 km. Pamiętajmy jednak, że w Południowej Korei czeka ją trudna przeprawa. Polka będzie musiała stawić czoła Norweżkom, ale mocne w tym sezonie są także Finki czy Amerykanki. Skład polskiej kadry w biegach narciarskich uzupełniają Martyna Galewicz, Sylwia Jaśkowiec i Ewelina Marcisz oraz Maciej Staręga i bracia Dominik i Kamil Bury. Jeden medal w biegach będzie sukcesem, ale oczywiście chętnie damy się miło zaskoczyć.

Biatlon

Srebro Tomasza Sikory z Turynu sprzed dwunastu lat pozostaje niestety jedynym polskim medalem w biatlonie na IO. Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest dobry występ Weroniki Nowakowskiej, choć niewyklu-

2/1217/F

eprasa.pl 7313dec8fb

czona jest też niezła postawa naszej małżeńskiej pary biatlonistów Krystyny i Grzegorza Guzików. W reprezentacji znalazły się także weteranka Magdalena Gwizdoń, Monika Hojnisz, stawiająca pierwsze kroki wśród seniorek Kamila Żuk oraz zakopiańczyk Andrzej Nędza-Kubiniec.

Łyżwiarstwo szybkie

Niestety, polskie panczeny po trzech medalach wywalczonych w Soczi nie poszły za ciosem i nie staliśmy się drugą Holandią. Chorąży naszej reprezentacji, złoty medalista sprzed czterech lat Zbigniew Bródka, w tym sezonie walczył z kontuzją – na szczęście doszedł już do siebie i wystartuje na swoim koronnym dystansie 1500 m. Przed czterema laty Bródka wywalczył także brąz w drużynie, a jej pozostali członkowie, Konrad Niedźwiedzki i Jan Szymański, także powalczą o godny wynik w Pjongczangu. Grupę polskich sprinterów tworzą: Sebastian Kłosiński, Piotr Michalski, Artur Nogal i Artur Waś, a na 5 km pojedzie Adrian Wielgat. Wśród pań liderką ekipy jest bardzo doświadczona Katarzyna Bachleda-Curuś, dla której będą to piąte igrzyska. Dotychczas reprezentantka Sanoka zdobyła dwa medale w drużynie (brąz w Vancouver i srebro w Soczi) i tym razem również będzie liczyła na szczęście w rywalizacji wspólnie z koleżankami: Natalią Czerwonką i Luizą Złotkowską. Poza naszą srebrną trójką zobaczymy również panczenistki młodego pokolenia: Karolinę Bosiek, Magdalenę Czyszczoń i Kaję Ziomek. Kto wie, może medal kobiecej drużyny jest w zasięgu Polek?

Short track

Łyżwiarstwo szybkie na krótkim torze (pętla o długości 111,12 m) ma swoją specyfikę, my z kolei mamy w Korei trójkę zawodników, którzy przyjechali na igrzyska bez żadnej presji. Dlatego warto obserwować występy Natalii Maliszewskiej, Magdaleny Warakomskiej i Bartosza Konopki, bo mogą się okazać miłym zaskoczeniem.

Bobsleje

Nie mamy wielkich tradycji w tej konkurencji, ale przecież historia może napisać się na naszych oczach... Sport niezwykle widowiskowy, tak więc oglądanie zmagań Mateusza Lutego i Krzysztofa Tylkowskiego w dwójce i w czwórce, gdzie dołączą do nich Grzegorz Kossakowski, Łukasz Miedzik i Arnold Zdebiak, nie będzie stratą czasu.

Kombinacja norweska

Połączenie biegów i skoków to dyscyplina, w której Polska wywalczyła pierwszy medal na zimowych IO – dokonał tego w 1956 r. Franciszek Gąsienica-Groń. Nasza czwórka dwuboistów – Adam Cieślar, Szczepan Kupczak, Wojciech Marusarz i Paweł Słowiok – powalczy zarówno drużynowo, jak i indywidualnie.

Łyżwiarstwo figurowe

Polskę reprezentuje para wychowanków klubu Axel Toruń, trenowanych przez Sylwię Nowak-Trębacką, która sama dwukrotnie uczestniczyła w igrzyskach w parze z Sebastianem Kolasińskim. Natalia Kaliszek i Maksym Spodyriew mogą się pokusić o wejście do pierwszej dziesiątki par tanecznych.

Narciarstwo alpejskie

Polska nie dorobiła się swojego Kjetila Aamodta czy Alberta Tomby, ale wypełnione zimą po brzegi stoki Beskidów czy Tatr muszą przecież w końcu zaprocentować. Do olimpijskiej walki stanie trójka zawodników: Maryna Gąsienica-Daniel, Michał Jasiczek i Michał Kłusak.

Narciarstwo dowolne

Karolina Riemen-Żerebecka to przykład na to, że prawdziwej pasji nic nie powstrzyma. Przed rokiem zawodniczka doznała kontuzji podczas treningu, po której przez tydzień znajdowała się w stanie śpiączki. W Pjongczangu pojedzie w skicrossie – jedynej dyscyplinie polegającej na bezpośrednim narciarskim wyścigu.

Saneczkarstwo

Niejedno dziecko zjeżdżające z górki w pobliskim parku marzy o tym, by w przyszłości być na miejscu ósemki polskich reprezentantów w saneczkarstwie. Wojciech Chmielewski i Jakub Kowalewski mogą z powodzeniem powalczyć w dwójce, a sztafeta złożona z rzeczonego duetu i solistów Ewy Kuls-Kusyk, Macieja Kurowskiego, Mateusza Sochowicza i Natalii Wojtuściszyn z pewnością zasługuje na uwagę.

Snowboard

Liczny skład z weteranem Mateuszem Ligockim na czele. Młody wilk Oskar Kwiatkowski może wystrzelić jak z armaty i sprawić nam wiele radości w slalomie równoległym. Weronika Biela, Aleksandra Król i Karolina Sztokfisz wystartują w tej samej konkurencji, a Zuzanna Smykała w niezwykle wciągającym dla widza crossie.

Podsumowując, każdy medal będzie powodem do radości dla kibiców, niezależnie od dyscypliny. Nie zapominajmy przy tym o idei samych igrzysk – rywalizacji w duchu fair play promującej zdrowy tryb życia.

Michał Muzyczuk

ORLEN
SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

PKN ORLEN wspiera Polską Reprezentację Olimpijską

eprasa.pl 7313dec8fb

DARIUSZ WARDZIAK
NAJBARDZIEJ ZNANY POLSKI STOLARZ

Zgotować i wygrać

Jestem z tego rocznika, że jem wszystko. Może oprócz owoców morza. Nikt mi jeszcze dobrych nie przygotował. Wszystkie inne potrawy... Naprawdę nie ma dla mnie żadnego problemu. Lubię jeść. O tak. Dopiero dieta zrzuciła ze mnie kilka kilogramów.

Tylko najpierw była długa wojna z Dorotą [Szelągowską, prowadzącą wnętrzarskie programy, m.in. „Dorota was urządzi" i „Domowe rewolucje", emitowane na antenie HGTV, a teraz także w TVN – przyp. red.]. Pytałem, czy na pewno chce, żebym schudł. Wiedziałem, że mi się to uda, bo parę razy już miałem w tej dziedzinie osiągnięcia [śmiech], ale tutaj... w dwa miesiące 20 kg! Sam byłem w szoku, że mój organizm tak zareagował na dietę.

Teraz na pewno znacznie łatwiej kupuje mi się ubranie. To duży plus sytuacji, bo wcześniej nie należałem do najmniejszych facetów, więc trzeba było troszeczkę poszukać. I w tej wersji czuję się całkiem nieźle, chociaż moja żona narzeka i przygaduje, żebym zabrał jej to chude ciało sprzed oczu. Wolała mnie większego. Sporo telewidzek zresztą też, ale naprawdę zrobiłem to również dla zdrowia. Z tuszą 120 kg ciężko by mi się wnosiło wszystko na to czwarte czy piąte piętro.

Odchudzony jem mniej. Żona mi to powiedziała. Gdy dokądś wyjeżdżamy, także jem mniej, ale gdyby ktoś chciał mnie ugościć, tak naprawdę, to – nie będę chyba oryginalny – nie ma nic lepszego niż świeżo zdjęty z patelni schabowy. Tego smaku nic nie zastąpi. Możecie mi serwować frykasy, ale dopiero co usmażony schabowy przebija wszystko.

Mnie też zdarza się coś zgotować. Nie tylko w stolarni. Żona mówi, że robię najlepsze spaghetti. Oczywiście jajecznica na kiełbasce, z cebulką i szczypiorkiem, jest już moją domeną. Na resztę nie mam czasu. O, mogę jeszcze kanapki zrobić. Żartuję, że kiedyś przygotowywałem schab z pieczarkami pieczony w piwie, lecz odeszliśmy od tego, bo... za dużo piwa było do tego potrzeba [śmiech]. To oczywiście żart, bo największą przeszkodą jest brak czasu.

Mam również taką anegdotę à propos moich dawnych ciągot do gotowania. Przeczytałem kiedyś książkę z przepisami kuchni włoskiej i postanowiłem zrobić pizzę. Placek tak mi się udał, że nawet pies nie chciał go ruszyć. Może to nie był ten kierunek. W stolarni czuję się lepiej.

Notowała:
Jolanta Gajda-Zadworna

Spaghetti à la Darek Stolarz

Tajny składnik to odpowiednio przysmażone na patelni mięso (wszystko jedno jakie, oczywiście mielone, choć na dziś wybrałbym to z indyka). Mocno je rumienię. I dodaję bardzo dużo warzyw (nie tylko cebulę i pomidory, lecz i marchewkę, selera, białą część pora, paprykę czy cukinię; czasem też pieczarki). To nie jest samo mięso, tylko raczej sos warzywny z dodatkiem mięsnym (oczywiście wszystko przyprawione). Makaron spełnia tu jedynie funkcję „zapychacza".

Fot. Mat. prasowe, Shutterstock

eprasa.pl 7313dec8fb

SŁODKO-SŁONY

Zapałki z prosiaka

ANNA MONICKA

Ostatni dzwonek na żeberka! Bo kiedy, jeśli nie teraz? Potem już tylko żury, kwaśnice na wodzie bez omasty i chudy śledź.

Żeberka nie są może najzdrowsze, bo – po pierwsze – to świnia, po drugie – tłusta. Ale nie trzeba od razu zjadać porcji wielkości klawiatury fortepianowej. Poza tym dobrze przyrządzone – nasmarowane ziołami, które ułatwiają trawienie, i wypieczone tak, że wytopi się z nich samo zło, a zostanie miękkie mięso – są przepyszne. Pasują do kasz, klusek kładzionych, pieczonych i gotowanych ziemniaków. Można je zresztą podać po prostu z sałatami, mizerią czy pomidorami, choć te ostatnie akurat o tej porze roku są już niestety bez smaku i zapachu.

Po pierwsze – kupujemy żeberka. Staramy się wybrać takie, na których na kościach widać mięso, a nie łój. Po drugie – myjemy, suszymy, dzielimy na porcje (zapałki), które łatwo obgryzać z mięsa, wzdłuż żeber. Suszymy i nacieramy przyprawami, w których muszą sobie poleżeć przez noc w lodówce. Mój zestaw podstawowy to sól czosnkowa zmieszana z mielonym kminkiem i białym pieprzem. Staram się zawsze mieć taką mieszankę pod ręką.

Inny wariant – świeżo zgnieciony czosnek z majerankiem albo z wędzoną solą i papryką (ostrą i słodką). Układamy je w brytfannie mięsem do dołu (ja lubię na spód położyć plastry cebuli, bo daje wilgoć i zapach), przykrywamy podwójną folią aluminiową matową powierzchnią do góry i wstawiamy do nagrzanego do 160 °C piekarnika na dwie godziny. Wyjmujemy, smarujemy miodem (takie lubię najbardziej) i pieczemy kolejne pół godziny, do 40 minut. Miód jest ważny – on da pierwszą falę smaku i zapachu. Mój ulubiony spadziowy jest ciemny i pachnący, ale daleko mu do gryczanego, najbardziej wyrazistego i rozpoznawalnego, w ciekawy sposób podkręcającego smak żeberek. Można oczywiście (a nawet trzeba) pieczyste podlewać piwem – korzennym lub jakimś ciemnym i słodkim. Jeśli zamierzacie upiec żeberka z suszonymi owocami (oczywiście są dodatkiem, bo mięso trzeba i tak nasmarować solą oraz przyprawami), można je podlewać sokiem pomarańczowym zmieszanym z czerwonym winem. Będą delikatne i aksamitne.

Gdy już wyjmiemy nasz smakołyk z piekarnika, dajmy mięsu trochę odpocząć, góra 10 minut, żeby soki się ustały. Po uczcie sami też odpocznijmy.

Fot. Shutterstock

WINNICA MAZURKA

Student wypije

ROBERT MAZUREK

Gdzie te czasy, gdy oferty Biedronki budziły ekscytację? A przecież pojawiały się znane etykiety, była wojenka z Lidlem, ale to za nami. Biedronka po hiszpańsku, choć reklamuje te wina jako pełne temperamentu, to Biedronka grzeczna, udomowiona, znająca swe miejsce w szeregu.

Oto, proszę państwa, wina na studencką kieszeń. Kosztują w końcu od 10 zł (bez grosza) za półsłodki płyn do robienia plam na obrusie **Torre Tallada** do 30 zł za **Rectoral do Mar 2017**, świeżusieńkie drożdżowo-jabłkowo-trawiaste albarino, jedno z najlepszych win w ofercie. Co jeszcze z bieli można znaleźć? Jest i tańsze o całe trzy złote albarino **Eidosela 2017** – ładnie łączące owoce z charakterystyczną dla tych win morską solą i kwasowością. Naprawdę niezłe.

Wina czerwone zalecają się tymi wszystkimi reservami, gran reservami i coleccion privada, a żeby podkreślić swą szlacheckość, piszą też o dębach, a nawet jedną butelczynę (**Marques de Cosuenda 2013**) opakowali w złotą niteczkę i wycenili na całe 17 zł. Powiem tak – mniej więcej tyle jest warta ta cała wyjątkowość. Wyjątkowe miało też chyba być **Maravedi 2016**, reklamujące się jako organic wine. Lepiej już wydajcie 14 zł na jakiś sok. Za to **Bodegas Osborne Solaz 2016** to tempranillo w wersji bio – wino lekkie, przyjemne, mocno owocowe (wiśniowo-śliwkowe nuty). Bardzo sympatyczne, pić. Podobna rekomendacja dla **Real Compania de Vinos** – prościutkiego wina, które producent zachwala informacją, że starzono je w dębowych beczkach. Hm, jeśli tak było w istocie, to na szczęście krótko.

Rozumiem, że masy miały podbić dwa inne wina – **Sol i Terra 2013** z prestiżowej denominacji Priorat, ale 25 zł bym za to nie dał. Tyle samo kosztuje **Bentus 2015**, czyli dumna rioja. I tu też nie mogę nic powiedzieć, bo jeśli ktoś chce spróbować riojy, to sobie ją kupi, ale uprzedzam, że to nie hiszpańska ekstraklasa, tylko nasz swojski dyskont.

Eidosela 2017 27 zł | Real Compania de Vinos 2015 15 zł | Bodegas Osborne Solaz 2016 20 zł

Biedronka.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 7313dec8fb

Dziennikarskie złudzenia

PIOTR SKWIECIŃSKI

Zajmowanie się liberalną opozycją przypomina kopanie leżącego, jest więc co się zowie nietwórcze. Ale uczyńmy to raz jeszcze, bo Andrzej Krajewski w „Dzienniku Gazecie Prawnej" podszedł do zagadnienia ze strony nieoczekiwanej. W każdym razie nowej na łamach prasy, bliższej tejże opozycji niż rządowi, bo w prawicowej podobne diagnozy bywały już formułowane.

Według Krajewskiego Platforma i Nowoczesna dały się otóż zagnać w kozi róg m.in. dlatego, że słuchały popierających je gazet i telewizji. „Całą strategię swego działania PO i Nowoczesna oparły na pomysłach czerpanych z publicystyki politycznej antypisowskich mediów" – pisze autor „DGP".

I przedstawia długi rejestr wygenerowanych w istocie przez „Wyborczą", „Newsweek", „Politykę" i TVN autodestrukcyjnych posunięć opozycji. Od pójścia na strategię uliczną („Z tej bolesnej porażki liberałowie nie wyciągnęli żadnych wniosków, nadal bezwolnie płynąc z medialnym nurtem"), poprzez „kasting na polskiego Macrona", pogoń za własnym ogonem w kwestii migrantów (choć wiadomo, że Polacy ich nie chcą, nie można przecież się zgodzić z większością w tej mierze, bo Czerska zawyje), groteskowe zapowiedzi karania pisowców po wyborach, aż po pozwolenie na wmówienie sobie dziecka w brzuch w postaci przyjęcia radykalnie progresywnej agendy obyczajowej.

„Tak to dwa lata płynięcia z medialnym prądem zamieniło się w pójście na dno" – konkluduje Krajewski. Zgadzam się, ale ciekawi mnie inny aspekt poruszonego przezeń zagadnienia. Szerszy i nieograniczający się do polskich liberałów.

Idzie o wzajemne relacje dziennikarzy i publicystów z politykami. Dziennikarzy, publicystów i polityków z jednego obozu. Niekoniecznie liberalnego, również prawicowego czy radykalnie lewicowego. Sam jestem dziennikarzem zajmującym się polityką od samego początku istnienia wolnej prasy, robiłem w tym charakterze chyba wszystko, co można (byłem reporterem, szefem działu, komentatorem, redaktorem naczelnym), więc wiem, co mówię. A mówię, że Krajewski dotknął czegoś bardzo ważnego.

Otóż dziennikarze mają silną tendencję do uważania się za mądrzejszych od polityków. W tym od tych polityków, z którymi sympatyzują.

Nie, nie bylibyśmy lepszymi politykami. Choć często w naszej pysze tak nam się wydaje

I, dodajmy, często mają rację. Wylano już morze atramentu, opisując prawidła negatywnej selekcji do zawodu polityka. Owocujące częstym przyjmowaniem przez tę grupę postaw cynicznych. Także ignorancją. Także pospolitą głupotą. Politycy mają ostrą tendencję do zamykania się w swoim gronie. Zrywania kontaktu z realnym światem. Itd., itp.

Dziennikarze natomiast są błyskotliwi. Dostrzegają rzeczy, których politycy nie widzą. Potrafią zauważyć rozpoczynające się destrukcyjne procesy sporo przedtem, zanim zaczną je widzieć politycy. I w ogóle często wydaje im się (po każdej stronie każdej barykady), że gdyby zastąpili „swoich" polityków, to byliby politykami znacznie od nich lepszymi.

Tylko że to ostatnie rzadko jest prawdą. Dlaczego?

Dlatego, że z zawodem dziennikarza organicznie związana jest niecierpliwość.

Dziennikarz bowiem musi być pierwszy. Reporter – w publikacji newsa. Publicysta – w sformułowaniu jakiejś tezy. I to w naturalny sposób wpływa na perspektywę jego myślenia o polityce. Jest to perspektywa doraźna. Polityków oskarża się często (i słusznie), że ich perspektywa ograniczona jest horyzontem kadencji, jest zatem krótka, nie pozwala im działać długofalowo. Ale perspektywa dziennikarska jest jeszcze krótsza, i to bez porównania. To perspektywa najbliższego wydania. Czyli najdalej patrząc – tygodnia, a z reguły znacznie krótsza.

Oczywiście to nie jest tak, żeby dziennikarz świadomie domagał się od polityków pożądanych efektów w ciągu doby czy tygodnia. Jesteśmy mimo wszystko ludźmi normalnymi. Ale doraźność, ale nerwowość zawodu warunkuje naszą podświadomość. I sprawia, że trudno jest nam zaakceptować dłuższą perspektywę. A cóż dopiero, jeśli chodzi o akceptację np. takiej perspektywy, że przez kilka lat będzie z naszego punktu widzenia źle, ale będą trwały podskórne procesy, które być może doprowadzą do tego, że za kilka lat karta się odwróci. Jak to być może?! My żądamy pewności i efektowności.

Politycy mają wiele wad. Ale znacznie łatwiej jest im np. zaakceptować przejściową dekoniunkturę i prowadzić w jej trakcie skuteczną – bo w takiej sytuacji obrona też bywa skuteczna – grę niż dziennikarzom.

Nie, ani na prawicy, ani na lewicy nie jesteśmy lepszymi politykami niż ci aktualnie zajmujący się tą profesją. Niech więc już lepiej każdy zostanie na swoim miejscu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7313dec8fb

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Sposób na szmondaka

Jako młody chłopiec z namiętnością czytałem książeczki z serii „Tygrysa" poświęcone „walce z reakcyjnym podziemiem". Czytałem je w sposób szczególny. Tam, gdzie autor – politruk – sugerował mi szacunek i aprobatę dla postaw renegatów z AL oraz innych odłamów komunistycznej agentury, ja zapamiętywałem te postaci jako zdrajców. A w tych ustępach, gdzie politruk sugerował mi odrazę wobec „leśnych band", układałem tych bohaterów na poczesnych miejscach swojej świadomości.

Witold Gadowski

Najpierw instynktownie, potem już coraz bardziej świadomie pojmowałem, że żyję w podstawionej rzeczywistości i – myśląc językiem Milana Kundery – życie jest gdzie indziej.

Nasze ówczesne życie było szare, biegło obok sklepów z dziadostwem, kartek na mięso, wódkę, czy cukier. Było to jednak życie pełne wyobraźni i kolorowe dzięki... wyobraźni właśnie, którą uzupełnialiśmy ten podstawiony przez komunę świat. Nie znosiłem komuny z kilku powodów. Po pierwsze, była szara i nudna jak garnitury genseków. Po drugie, ukrywało się za nią kłamstwo, a największe kariery robiły w niej najnędzniejsze kreatury. Już jako dzieci nauczyliśmy się rozróżniać niebezpieczną fasadę od rzeczywistości. Kiedy nastała III RP, byłem już na tyle dorosły, aby swobodnie zaglądać pod podszewkę oficjalności.

Teraz jednak, kiedy nawet ze strony ludzi, których uważałem za szczerych niepodległościowców, słyszę, że wobec tzw. kwestii izraelskiej należy zachować umiar i wsłuchać się pilnie w to, czego oni od nas żądają, to krew się we mnie burzy. Albo bowiem istnieje prawda na temat III Rzeszy i jej okupacji Polski, albo każdy chłystek może sobie dziś tworzyć historyjki, jakie tylko wyrachowanie mu podyktuje. Taki Gross pisze, co mu się żywnie podoba, a ponieważ aportuje na zlecenie tych, którzy mają dolary, to tu, nad Wisłą, uchodzi za jakąś niesamowitą postać. Zamiast dostrzegać szmondaka, który uczyni najpodlejszą rzecz, aby tylko zasłużyć na oklaski „państwa", tu odbywają się nad nim sążniste dyskusje.

W czasach kiedy czytałem „Tygrysy", wyobrażałem sobie, że gdy kiedyś spotkam autora tych propagandówek, to zasadzę mu takiego kopa, iż poturla się po schodach. Teraz podobnie potraktowałbym tego – za przeproszeniem – Grossa, ale coś mi mówi, że on właśnie tak by chciał, to uszlachciłoby go w jego własnych oczach. Myślę zatem, że obojętność jest dla niego największym cierpieniem. Przychodzi bowiem w momencie, gdy Gross oczekuje poklasku albo agresywnego jazgotu sprzeciwu. A obojętność niezauważenie pozostawia go sam na sam z sobą. I, dalibóg, nie zazdroszczę mu tej sytuacji.

Normalność

Zawołanie Wyklętych – „Śmierć wrogom ojczyzny" – budzi dziś sprzeciw lewactwa i przerażenie lemingów. Większość z nich nie potrafi zarżnąć nawet kury na rosół (ale bez oporów wyskrobie własne dziecko). Mój dziadek, uczestnik Bitwy Warszawskiej, człowiek wierzący i spokojny – traktował zabijanie nieprzyjaciół najeżdżających Polskę jako swój patriotyczny obowiązek. Gdyby usłyszał dzisiejsze pacyfistyczne bajdurzenie posła Mieszkowskiego (Nowoczesna), odebrałby je w kategorii żartu lub choroby psychicznej. W jego świecie atakowany miał prawo się bronić. I nie jest to wcale sprzeczne z przykazaniem „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Przeciwnie – jeśli jakiś bandyta chce zrobić krzywdę tobie i twoim najbliższym, musisz udzielić mu adekwatnej riposty. No, chyba że nie kochasz siebie ani swojej rodziny...

Lech Makowiecki

Żyjemy pod anormalnym, cywilizacyjnym kloszem. Brutalny świat wdziera się już do Europy, a my utraciliśmy elementarne umiejętności przetrwania, jakie mieli nasi przodkowie. Gdyby nagle odcięto elektryczność, padło ogrzewanie, transport i zaopatrzenie, a bandy terrorystów zaczęły grasować po okolicach – większość z nas przeżyłaby góra dwa tygodnie (bo taka jest norma przetrwania bez jedzenia i picia). Dziś niewielu potrafi upolować i oprawić jakąkolwiek zwierzynę, stosunkowo nieliczni umieją walczyć i strzelać, a już sam brak dostępu do Facebooka totalnie rozwala psychikę uzależnionych od sieci mazgajów.

Według opinii niektórych ekspertów wojna w Europie może wybuchnąć w ciągu najbliższych pięciu lat. Tymczasem chłopakom i dziewczynom garnącym się dziś do Wojsk Obrony Terytorialnej totalni popaprańcy przyprawiają gęby oszołomów i bojówkarzy.

Nadchodzące zagrożenia wymagają ogromnego wysiłku edukacyjnego (wychowanie patriotyczne i przysposobienie obronne w szkołach) i militarnego (sojusze, zbrojenia, powszechne przeszkolenie wojskowe). Nie potrafi (nie chce?) zrozumieć tego tylko idiota albo zdrajca.

eprasa.pl 7313dec8fb

PRZEZ ŚWIETLIK

Poznaj po kretynie

Kiedyś znajomy bardzo słusznie zwrócił mi uwagę na to, że w jego firmie to, co szef myśli o podwładnym, widać nie po jego zachowaniu, ale po zachowaniu jego asystentki. Podobnym doświadczeniem podzielił się ze mną swego czasu Jan Rokita, który będąc jeszcze w Platformie, zauważył, że Tusk już go ostatecznie wykańcza, obserwując stosunek do niego młodzieżówki partyjnej. Podobnie jest, zdaje się, z publicystyką, dziennikarstwem i wszelkiej maści ekspertami oraz pseudonaukowcami. Poznać ich można po największych matołkach spośród nich. Bardzo nie lubię tak brzydko mówić i tym bardziej pisać o ludziach. Jeszcze bardziej nie lubię w ten sposób wyrażać się o kobietach. Ale dla Stefanie Schüler-Springorum, szefowej Ośrodka Badań nad Antysemityzmem przy Technicznym Uniwersytecie w Berlinie, uczynię jednak wyjątek.

Tak, to prawda. Polacy nie urządzali demonstracji solidarności z Żydami, nie napisali do Hitlera protestacyjnego listu otwartego, nie wkładali esesmanom goździków do luf

Jak przeczytałem na wPolityce.pl, w wywiadzie dla monachijskiego dziennika „Suddeutsche Zeitung" pani Stefanie stwierdziła ni mniej, ni więcej, że Polacy byli niezwykle antysemickim społeczeństwem, bo, uwaga, uwaga, „nie protestowali" w obronie swoich żydowskich sąsiadów. Tak – trzeba przyznać – to prawda. Polacy nie urządzali demonstracji solidarności z Żydami. Może przyczyną było też to, że wystarczyło krzywo spojrzeć na umundurowanego rodaka pani Stefanie, by znaleźć się w katowni lub grobie. Polacy również – dodajmy – nie napisali do Adolfa Hitlera protestacyjnego listu otwartego, w którym podaliby swoje nazwiska i adresy. Nie zwołali w sprawie Holokaustu referendum, nie ogłosili strajku, nie wkładali esesmanom goździków do luf. Nie urządzili też na znak solidarności z ludnością żydowską festiwalu muzycznego ani nie nakręcili za okupacji wysokobudżetowej produkcji filmowej, w której mieliby szanse poruszyć temat niewłaściwego traktowania Żydów przez Niemców. Faktycznie, nic z tego nie zrobiono. W dodatku stosowano na rodakach zwykłą przemoc, a Żydów ukrywano po piwnicach i stodołach. Nie przeprowadzano też finansowanych przez Komisję Europejską szkoleń na temat tego, jak należy, a jak nie należy postępować, tylko po prostu zabijano szmalcowników, tak jak zastrzelono granatowego policjanta, który wydał rodzinę Ulmów.

Dodajmy, Polacy również nie zrobili nic z tych rzeczy we własnej obronie, a do początku 1941 r. ginęli w szybszym tempie niż Żydzi. Także nie urządzali pokojowych demonstracji ani nie podpisali petycji. Nie wiem, jak madame Stefanie by to zinterpretowała. Zapewne wyjątkowym brakiem solidarności wśród społeczeństwa polskiego, może jego cywilizacyjnym zapóźnieniem, kto wie, może wręcz genetycznym, słowiańskim upośledzeniem, na które przecież uwagę zwracało tylu rodaków pani Stefanie z najbardziej znanym niemiecko-austriackim teoretykiem i praktykiem polityki włącznie.

No to teraz słowo w obronie wspomnianej pani. Zapewne w to, co napisała, święcie wierzy i wcale nie zależało jej na wybielaniu własnych rodaków. Z jej biogramu wynika, że jest zawodowym historykiem, sorry, historyczką, zajmującą się Holokaustem, w tym niemieckim antysemityzmem. Przy tym wszystkim jest przerażającą ignorantką. Na temat badań, które przeprowadza, i rzeczy, o których się wypowiada, nic nie wie. Podobnie jak większość zachodnich dziennikarzy, polityków i tzw. ekspertów. Myślę, że pani Stefanie i wielu jej rodakom bardziej posłużyłaby szczera, ale naprawdę szczera, rozmowa z pokoleniem dziadziów, a czasem i babuń, którzy w okupowanej Polsce bywali, niż genderowo poprawne studia i deliberacje z pomocą najnowszych osiągnięć metod „odkodowywania", „fenomenologicznych – interakcjonizmów" i innych światłych metod, które nie mają najmniejszego sensu, kiedy w gruncie rzeczy nie wie się, co się bada.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl 7313dec8fb

Polska cegła

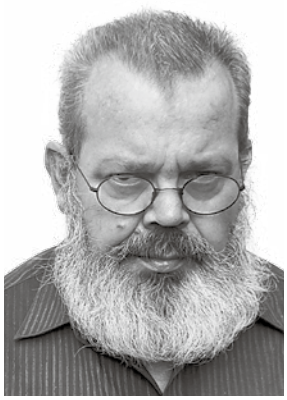

Aleksander Nalaskowski

Wciąż do zagranicznej opinii publicznej nie dociera, że okupacja niemiecka w Polsce naprawdę wyglądała inaczej niż w reszcie Europy. Polacy są krnąbrni, zwłaszcza gdy się ich do czegoś zmusza. Cała nasza historia to w dużej mierze historia naszej krnąbrności. Ale bywały takie machiny, które tę naszą cechę spychały do podziemia. Taki był komunizm czy – jak kto woli – realny socjalizm zaprowadzony u nas przez Stalina na życzenie Churchilla i Roosevelta. Sekretarze partyjni, jak gubernatorzy, mogli wszystko. Ubecy jeszcze więcej. Konstytucyjnie kochaliśmy Sowietów i dobrych Niemców z NRD. A gdy trochę przestawaliśmy ich kochać, to w Poznaniu, Gdańsku czy Radomiu sprowadzano nas na socjalistyczną glebę. I musieliśmy tu żyć, bo innej Polski nigdzie nie było. Żelazny uścisk systemu pozwalał tylko na „nocne Polaków rozmowy" i tam był Katyń, 17 września, KOR, a potem piwniczna poligrafia. System, w którym żył każdy z nas, uczył kombinowania, cwaniactwa, brania państwowego jak swoje albo bezradności. Ale uczył i donoszenia, które nie ominęło żadnego środowiska. Lista TW jest przerażająca. To komunistyczna odmiana szmalcownictwa. Łagodniejsza w skutkach, ale oparta na niezmiennym mechanizmie. Tu także ludzie byli zastraszani, szantażowani i chciwi.

Oblałem się zimnym potem, gdy zobaczyłem ludzi poganianych po niemiecku, szczutych agresywnymi, ujadającymi wilczurami

Okupacja niemiecka Polski była niewyobrażalna. Niemcy byli tak samo brutalni jak NKWD, tylko znacznie, znacznie lepiej, o kosmos lepiej, zorganizowani, mniej przekupni i daleko bardziej zideologizowani. Całą Polskę zamienili w koncentracyjny obóz śmierci, w którym Majdanek, Auschwitz, Treblinka były w tym ogólnopolskim konzentrationslager rodzajem karcerów, bunkrów głodowych czy komór gazowych. Normalne życie było marginesem marginesu. Ale i w obozach taki margines istniał na obrzeżach wszechobecnej śmierci. Były strzępy sztuki, miłości, snu, odpoczynku. Był nawet ruch oporu, zdarzali się święci. Byli też kapusie, bydlaki i zdrajcy. Ale co do zasady i powszechnie ludzie się wspierali. I nie inaczej było w Polsce jako jednym wielkim obozie śmierci.

Urodziłem się 12 lat po wojnie. Zatem pamiętam już tylko nieograniczoną niczym miłość i troskę rodziców, rodzeństwa, spokojny sen i nie zaznałem z głodu. Ale oblałem się zimnym potem, gdy zobaczyłem ludzi zaganianych do bud, poganianych po niemiecku, w obstawie jakiegoś sonderkommando, szczutych agresywnymi, ujadającymi wilczurami przez esesmanów w towarzystwie gestapo. Ludzie krzyczeli, upadali, byli bici kolbami, kopani, a niektórzy zabijani strzałem w tył głowy. To się działo naprawdę, w realu. W Tykocinie kręcono film wojenny z udziałem bardzo wielu statystów i aktorów. Grali niewiarygodnie realistycznie. Całe ujęcie nie było długie, ale porażająco realistyczne. Wiedziałem, że to film. Były kamery, reżyser w krótkich spodniach, charakteryzatorki. I na ekranie będzie to tylko epizod oglądany z miękkiego fotela, ale tam to była podróż w czasie, tam to było prawie naprawdę. Aż bolało! A jak to musiało być, gdy to nie był film ze statystami, atrapami broni i krwią z keczupu?

Każda łapanka, każde przesłuchanie na Szucha, każde miasto, wieś i miasteczko były w czasie wojny miniaturką Polski. Nieodłączną przyprawą każdej z potraw był strach, a nieredukowalnym pragnieniem – przetrwanie. Dotyczyło to wszystkich jednakowo, bez względu na to, czy był Polakiem, Żydem, Romem. To nie była wojna w stylu głupawego „Allo, allo". W tym kraju, który był jednym wielkim „german death camp", nikt nie podjął współpracy z najeźdźcami, nie utworzono żadnego Vichy, nie było Quislingów czy chociażby ugodowego Chamberlaina. W skutym wszystkimi zakazami, brutalnością Niemców, wszelkimi rodzajami śmierci i cierpienia nieistniejącym państwie istniała sprawna administracja podziemna, ogromna niewidzialna armia, sądy i prawna ochrona wszystkich obywateli (także Żydów!) przed zdrajcami. To jak to było możliwe, jeśli – wedle Izraela czy niektórych Amerykanów – szeroko współpracowaliśmy z okupantem?! To kto stworzył AK i Polskie Państwo Podziemne? Himmler?!

Nikt do końca nie wie, ilu Żydów w Polsce ocalało z Zagłady. Szacunki są tu niespójne, ale jestem przekonany, że w tej nieludzkiej i perfekcyjnej niemieckiej machinie, jaką uruchomiono tylko w Polsce, ocaleli wszyscy, których ocalić się dało.

Jest powiedzenie „Co może cegła w rękach murarza?". Polska cegła w rękach niemieckich majstrów, w odróżnieniu od cegieł francuskich, niemieckich czy hiszpańskich, wierzgała, gryzła, kopała i nigdy nie chciała się kleić do niemieckiej zaprawy.

PS: W jednym z felietonów wspomniałem, że Adolf Dymsza grał w teatrach w okupowanej Niemców Warszawie. Nie wiedziałem, że ukrywał jednocześnie swojego żydowskiego przyjaciela. Biję pokłon i przepraszam.

eprasa.pl 7313dec8fb

ROBERT MAZUREK

Chopin na hebrajską nutę

Niniejszym oświadczam, że jestem zdrów na ciele i umyśle, a w każdym razie nie bardziej stuknięty niż zwykle. Piszę też te słowa bez przymusu bezpośredniego, albowiem nie stoją nade mną siepacze Brudzińskiego. Wreszcie nie liczę chwilowo na żadną posadę ani gratyfikację pozwalającą spłacić kredyt, choć często tankuję na Orlenie, więc generalnie byłoby miło... No i last but not least, jestem trzeźwy jak zwierzę.

To był wstęp, przydługi, ale cieszcie się, że zanim nie napiszę, o co mnie chodzi, nie robię 45-minutowego wykładu jak Andrzej Duda. Wstęp był potrzebny, albowiem mam zamiar chwalić. Nie jest to proste, bo łatwiej wykpić, ale spróbuję.

I tak Bogu oraz ekipie Polskiego Radia niech będą dzięki za Radio Chopin. Słucham często, bo do mnie inteligentnie przemawiają, a muzyka jest boska, co mówię ja, dla którego Chopin nie jest pierwszą muzyczną miłością. To jest właśnie ten rzadki, bardzo rzadki przykład misji mediów publicznych, po którym można powiedzieć, ech, dobrze, że jednak są. No bo czy jest coś bardziej polskiego i uniwersalnego jednocześnie niż muzyka Chopina, coś, z czego nie tylko możemy być dumni, lecz czego autentycznie zazdroszczą nam w świecie?

My oczywiście o Chopinie przypominamy sobie raz na pięć lat, kiedy wybucha znienacka Konkurs Chopinowski, kompletnie ignorując potencjał promocyjny tej muzyki. Bo z jednej strony młodziaków trzeba kulturalnie edukować i budować w nich poczucie wspólnoty, stąd zresztą pomysł na koncerty „Chopin w dżinsach", którym to pomysłem zamęczałem już państwa. Ale Chopin może być akompaniamentem – tylko proszę tu przenośnię wychwycić – do wielu działań promujących Polskę. Austriacy mają mozartowskie likiery, czekoladki i Bóg wie co, myśmy się jedynie wódki doczekali, ale nawet nie o to mi chodzi.

Tak sobie myślę – a myśli moje orbitują jednak cały czas wokół Izraela – że to jest właśnie ten moment, by najechać ten nieduży kraj. Najechać go kulturalnie tak, by się opędzić nie mogli. Ja naprawdę rozumiem, że kalendarz koncertów Zimermana czy Blechacza układa się na długo naprzód, ale przecież są inne sposoby. I nie o to wyłącznie chodzi, by do filharmonii w Jerozolimie z Chopinem wtargnąć, choć o to również. Zróbmy im „Polską Wiosnę" ze wszystkim – od Góreckiego po polską kuchnię, OK, może bez schabowego. Urządźmy pokazy filmów na plażach w Ejlacie i Jaffie, w kinach klubowych od Hajfy po Beer Szewę, zróbmy koncerty od didżejów w klubach Tel Awiwu po orkiestry w najlepszych salach. Mam ciągnąć dalej?

Powołajmy państwowe Centrum Badań Holokaustu im. Szmula Zygielbojma – porządną, państwową instytucję

Nie stać nas? A na ten syf, jaki jest teraz, nas stać? Tak wiem, nic się nie zmieni od razu, ale może choć paru osobom Polska przestanie się kojarzyć jedynie z Holokaustem. Wymarzony do takiej akcji byłby Instytut Adama Mickiewicza, choć znając mobilność takich instytucji, zapewne jak zaczną myśleć teraz, to już w 2020 r. ściągną tam jakąś skrzypaczkę. Tu trzeba działań odważnych i szybkich, bo mleko rozlało się teraz i musimy to pilnie posprzątać.

I jeszcze jedno. Skoro już mamy tę niepotrzebną (bo nieskuteczną, zobaczycie) ustawę, to może byśmy udowodnili, że naprawdę nie uderza ona w wolność badań naukowych? Powołajmy państwowe Centrum Badań Holokaustu im. Szmula Zygielbojma – porządną, państwową instytucję, której rzetelności strzegłaby międzynarodowa rada programowa, nie muszę chyba dodawać, kogo widziałbym w jej składzie. Stwórzmy instytucję nie papierową, nudną i akademicką, ale żywą, która nie bałaby się zajmować zarówno sprawiedliwymi, jak i szmalcownikami. Z jednej strony udowodniłoby to naszą uczciwość, z drugiej odebrałoby temat Holokaustu zawodowym badaczom pod wezwaniem błogosławionego Jana Tomasza Grossa. I jeszcze jedno, takie centrum nie miałoby nas tylko uwiarygodniać, ono miałoby autentycznie edukować. Aha, nad wiosną w Izraelu, a nawet koncertami w przyszłym Centrum patronat mogłoby oczywiście rozpostrzeć Radio Chopin.

Fot. Andrzej Wiktor

robert.mazurek@hotmail.com

Tajemnica zeznania

Jerzy Jachowicz

Nie mogę dłużej milczeć, gdy na wskroś uczciwego człowieka, jakim jest były szef CBA Paweł Wojtunik, niektóre media próbują przedstawić jako zawodowego krętacza i kłamcę. Jest oczywiste, że w tej wstrętnej, poniżającej nagonce specjalizują się media prawicowe.

Dlatego czuję się zobowiązany do ujawnienia niezwykłej tajemnicy. Niech mi pan Wojtunik wybaczy, ale robię to dla jego dobra. W pełnym poczuciu konieczności spełnienia obywatelskiego obowiązku, dla którego prawda jest najważniejszą rzeczą.

Otóż kilka tygodni temu Paweł Wojtunik przekazał na moje ręce poleconą przesyłkę. Po jej otwarciu okazało się, że wewnątrz dużej koperty znajdowała się mniejsza. Oprócz niej była kartka zawierająca dwa tylko zdania: „Panie redaktorze, w dowód zaufania przekazuję panu moje oświadczenie wewnątrz zalakowanej koperty. Proszę je upublicznić, nie wcześniej niż za pięć lat".

I pewnie dochowałbym tej prośby, gdyby – co za szczęśliwy zbieg okoliczności – nie wybrakowany lak. Gdy wkładałem kopertę do sejfu, wysunęła się z niej kartka kredowego papieru. Oto jej treść:

„Nie mogę podpisać protokołu z przesłuchania przed sejmową komisją ds. Amber Gold. Nie pozwala mi na to moja uczciwość. Złamałbym bowiem przysięgę, jaką złożyłem przed rozpoczęciem przesłuchania, wedle której na pytania członków komisji miałem odpowiadać zgodnie z prawdą. Z bólem muszę przyznać, że większość moich odpowiedzi nie spełniała tego warunku. Kłopotliwe pytania zbywałem brakiem pamięci. Mijanie się z prawdą osłaniałem żargonem zawodowym. Tak było, kiedy jeden z członków komisji pytał, czy CBA wystąpiło o pozbawienie Marcina P. funkcji prezesa, wiedząc, że był on osobą karaną. Odpowiedziałem wtedy, że nie robi się tego w trakcie działań operacyjnych. Podobnie zaszachowałem komisję zwrotem »Nie było to dokumentowane w dedykowanej teczce«. Mówiłem jednak prawdę, że »CBA w sprawie Amber Gold zrobiło, co mogło«. A co mogłem zrobić, jeśli w firmie Marcina P. pracował syn premiera Donalda Tuska?" – kończy dramatycznie Paweł Wojtunik.

Czy mogłem tego nie opublikować?

CO MNIE PRZERAŻA

Nie szargać

Katarzyna Łaniewska

Niemiecki obóz śmierci Auschwitz był położony na terenie okupowanej przez Niemców polskiej miejscowości Oświęcim.

To święte miejsce dla Polaków, Żydów i Cyganów oraz wielu innych narodowości z całego świata, które tam zginęły.

To też święte miejsce dla potomków ofiar. Od 73 lat obchodzimy w obozie uroczystości wyzwolenia. W 73. rocznicę, w obecności garstki ludzi, którzy przeżyli to piekło i którzy pamiętają, co tam się działo, pani ambasador Izraela, przemawiając w imieniu swojego państwa, w mało dyplomatycznych słowach mówi, że Polacy także uczestniczyli w zagładzie Żydów i że też byli katami.

To trudno zrozumieć. Ci słuchający, starzy, ostatni świadkowie tej gehenny, na początku nie zrozumieli. Może to jakieś przejęzyczenie? Potem jednak okazało się to prawdą. To smutna wypowiedź. Głęboko niesprawiedliwa i podstępna, gdyż padła w takim dniu i w takim miejscu.

Ja wszystkie wspomnienia związane z Oświęcimiem przeżywam bardzo osobiście. Tam zginął mój ojciec, legionista i spółdzielca. Zamordowany przez Niemców. Tego dnia, kiedy mama dostała depeszę o jego śmierci, listonosz powiedział nam, że w Warszawie rozniesiono 2,5 tys. podobnych depesz.

Pamiętam 70. rocznicę za kadencji prezydenta Komorowskiego. Z uwagi na okrągłą rocznicę przyjechali przedstawiciele wszystkich państw. Pan prezydent nie wspomniał o tym, że to były niemieckie obozy śmierci, a nie polskie. Dość często już wtedy taka nazwa była podawana. Nie wspomniał o roli rtm. Pileckiego. Mówił o nazistach. Mało tego, w honorowym rzędzie nie znalazło się miejsce dla córki rotmistrza.

Polskie Państwo Podziemne powołało Żegotę, która udzielała pomocy Żydom. Wydostawała ich z getta, ukrywała. Tysiące Polaków przyczyniało się do tego, że Żydzi mogli w jakiejś części przetrwać. Była w tym wielka rola Kościoła. Trzeba przy tym pamiętać, że Polska to był jedyny kraj, w którym za pomoc Żydom groziła kara śmierci. I te kary były wykonywane.

Żyłam już świadomie w tamtych czasach i nie mogę się zgodzić na to, o co nas się teraz oskarża. To święte miejsce i zakończę cytatem Stanisława Wyspiańskiego: „Świętości nie szargać, bo trza, żeby święte były".

eprasa.pl 7313dec8fb

Przeczytaj wSIECI HISTORII

O roku ów! Można by powtórzyć za Mickiewiczem. Wkroczyliśmy bowiem właśnie w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości – *pisze Łukasz Michalski*

Schyłkowe lata panowania Jana Kazimierza (1648–1668) nie należały do wesołych. Po odparciu Szwedów Rzeczpospolita była wyczerpana. W dodatku targały nią spory – *przypomina Dariusz Milewski*

W czarnym dla Europy 1941 r., gdy wojska Osi zwyciężały na frontach, Tobruk, który stawiał czoła niemiecko-włoskim atakom, urósł do rangi symbolu – *pisze Maria Radożycka-Paoletti*

W późnym średniowieczu polski dwór monarszy w sferze obyczajów i konsumpcji nie odbiegał od rezydencji władców w innych częściach Europy. Dotyczyło to również wina, które od czasów Jagiełły i Jadwigi coraz częściej gościło na królewskim stole – *tłumaczy Maciej Badowicz*

Początki Warszawy zwykle opisuje się w kontekście przywileju lokacji miasta na prawie chełmińskim wydanego pod koniec XIII stulecia dla kupców pochodzących z Torunia. Stwierdzenie to jednak jest nieścisłe – *pisze Michał Janik*

eprasa.pl 7313dec8fb

Zawistowski prezentuje: ***Justicia***

Wycinki z przeszłości

To były ostatnie tygodnie pokoju. Na okładce „Wiarusa" z lata 1939 r. – organu prasowego korpusu podoficerów – żołnierz składający przysięgę. W środku wiersz Zdzisława Dębickiego:

Tobie ojczyzno miła
Wszystkich sił moich siła
I serca mego krew
Na twój pierwszy zew.

Naprawdę frapująca jest jednak informacja z nadzwyczajnego zgromadzenia pewnego Koła Młodzieży Wiejskiej na Wileńszczyźnie, na którym powzięto następującą uchwałę i przesłano ją pod adresem marszałka Rydza-Śmigłego: „Światem idzie przemoc. Niektóre narody już ustąpiły i straciły wolność, a grabieżcom się zdaje, że świat jest słaby. I Polskę próbują zastraszyć, żeby coś na nas wymusić. My, chłopi, wychowani w Związku Młodej Wsi, czujemy w sobie dość mocy i wiary w zwycięstwo. A gdyby zaszła potrzeba, nikt z nas w domu nie zostanie".

Słowa dotrzymano. Danina krwi i bohaterska ofiara Wileńszczyzny były ogromne. W pamięci zostaje jednak to jedno zdanie: „Światem idzie przemoc". Tak, to nie Polacy tę wojnę wywołali, to nie Polacy zniszczyli świat. Niech dzisiaj sprawcy tamtych zbrodni nie zrzucają na nas swoich win. To niegodne!

(mk)

Żydy kazimierskie

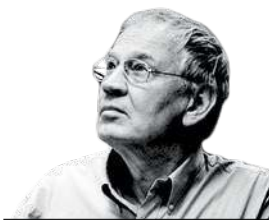

Leszek Długosz

Zobaczyć Ich sprzed
Ich Tamtych
Przynależnych
Do tamtego jeszcze świata

W dzień szabasowy tak by lepiej
Lecz niechby i w zwyczajny
Kadr – w środę ot przez chwilę
Znów – na Małym Rynku
Ujrzeć hałastrę handlującą
– Pod Celejowską, na Lubelskiej?
Co za powaga w chałatach
i w surdutach
W białych pończochach kroczy?
– Te adwokackie kamizelki
Niecierpliwe trzaski kopert
szwajcarskich Patków
Kontrolujące wedle studni
w Rynku
Spóźnienia autobusów
od Lublina

Zobaczyć Ich – letników
Kolonie leżaków tobołki siatki
Pełne papierówek
Stada sfruwające tu na sezon
– Miriamy czarnookie
– Błonkoskrzydłe
Na imion wiele rozpisane
i przeznaczeń
– Po werandach
– Przy sztalugach
– Likier na nóżce
– Literatura na stoliku
Prekursorki nadwiślańskiego
nudyzmu

Zobaczyć Ich wczesno
wieczornych
W migocie chanukowych
świeczek
Noski i pukle za szybami
Josków, Chaj, małych Icków
Na progach domów piersiaste
mamełe
Huśtające dziecka i żelazka

(Wrzask w niebo równo
– wrzask, wiązki iskier)

Zobaczyć Ich w bożnicy
– te rozmodlone
W uniesieniu – mycki
Tałesy rozpostarte
W święto namiotów
Lisiury czuwające nad ówczesną
Wisłą

Jak do czeluści
Przez uchylony zajrzeć lufcik
Bo potem nie –
Zasłonić oczy uszy
Głosy z powrotem tam odrzucić
Bo potem nie
Krzyk strzały psy
Krzyk strzały szyn kół stukot
Ach niedaleko tak to Lublin
Bełżec
Treblinka tak
Bo potem nie
Bo potem jak zasłona – kadr
W tym kłębowisku
Napis z dymu
To słowo z dymu pośród dymów
Gdzie zwykle – koniec
Światu nieznane przedtem słowo
– Shoah
W dymach i z dymu co się
objawiło
I Oni – Żydy kazimierskie
W tym słowie za tym słowem
Za tą zasłoną odtąd

Z tomu „Na Rynku usiąść w Kazimierzu"

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 7313dec8fb

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Właściwa kolejność

Bez poczucia godności trudno się przyznać do tego, że na koncie ma się także karty niechlubne

Zmiana ustawy o IPN niespodziewanie przyniosła lawinowe pogorszenie stosunków polsko-izraelskich. Wiele przewrotnych niedomówień. Złe emocje. Gniew. Po obu stronach. Po ludzku uzasadniony. I wcale nietrudno przewidzieć, gdzie złe emocje mogą nas ponieść.

BADACZ I ŚWIADEK

Antoni Sułek, profesor socjologii, w kwartalniku „Więź" (4/2017) dzieli się owocami badań kilkanaście lat temu podjętych na wiejskich terenach okalających miejscowość Kurów (woj. lubelskie). Był to swoisty eksperyment socjologiczny. Celem było – mówi sam autor – „wprowadzenie Żydów do pamięci społeczności lokalnej". Jedna z badanych wsi to miejsce urodzenia profesora.

Jako badacz tubylec poza posiadaniem wiedzy kontekstowej o specyfice tego terenu już od początku uzyskał zaufanie. Mógł wydobyć więcej informacji, lepiej odkryć zawiłości relacji społecznych, dokopać się do zakamarków ludzkiej duszy zasypanych wieloma warstwami uprzedzeń, lęków, poczucia niesprawiedliwości.

Ale ten unikalny wgląd okazał się też swoistym ciężarem. Bagażem, który z jednej strony kusi, aby go otworzyć i pokazać jego zawartość. Jednak z drugiej szacunek do ludzi, którzy zaufali, poczucie lojalności wobec nich i przede wszystkim – jak się wydaje – dalekowzroczność w przewidzeniu konsekwencji, powstrzymuje badacza przed pochopnym dzieleniem się wszystkim, co wie.

Sułek mówi: „Mogłem poznać ukrywane w pamięci zdarzenia dlatego, że mi zaufano, a zaufano mi dlatego, że jestem stąd. W swojej pracy naukowej nie opisałem jeszcze ciemnych stron okupacji także dlatego, że szczegóły narracji mogłyby ujawnić informatorów. Bliskość i zaufanie rozszerzają możliwości zdobywania informacji, ale zawężają możliwość ich wykorzystania".

Nie ukrywa, że jeszcze nie zmierzył się z tymi niewygodnymi kwestiami. Są takie sprawy, które aby mogły zostać należycie przyjęte, potrzebują odpowiedniego gruntu.

SPÓJNOŚĆ PRZED PRAWDĄ?

To chyba nie jest typowe podejście w nauce. Prawda (obiektywną zwana) ma priorytet. Ale prawda nie zostanie przyjęta, jeśli nie ma dla niej miejsca, gdy jest niewygodna, gdy jej uświadomienie sobie wymaga zbyt dużych kosztów.

Czy gdyby A. Sułek nie znał mentalności lokalnej, to potrafiłby się oprzeć pokusie potraktowania braku woli pamiętania Żydów jako złej woli po prostu? Jako „świadek drugiej generacji" – jak sam się nazwał – musiał odczuć, jak straszny zamęt moralny powoduje wojna. Wyobraźmy sobie wrzący kocioł, do którego wrzucono stereotypy, zadawnione niechęci, krzywdy i strach.

O tym, co boli, nie należy przypominać brutalnie. „Kurów to jest Kurów" – czytamy słowa kurowiaka przytoczone przez autora. Jaki wniosek dla nas?

Wydaje się, że Sułek znalazł właściwą drogę. Postawił na godność. Bez poczucia godności trudno się przyznać do tego, że na koncie ma się także karty niechlubne. Poprzez wyeksponowanie sylwetek Polaków ratujących Żydów, pomoc w uzyskaniu przez kilka rodzin tytułu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, ustalenie imion zamordowanych podczas Holokaustu (jakże ważnych dla Żydów w kontekście Sądu Ostatecznego), doprowadzenie do postawienia pomnika upamiętniającego Żydów, małymi krokami wzmacniane jest poczucie własnej wartości mieszkańców Kurowa i okolic. Umacnia się tym samym grunt, na którym można osiągnąć dojrzałość.

GODNOŚĆ NAJPIERW

„Eksperyment z Kurowem – podsumowuje Sułek – kończy się wynikiem pozytywnym: w trzy czwarte wieku po wojnie można odbudować pamięć o Żydach. Pamięć Żydów i relacji między Polakami a Polakami-Żydami trzeba jednak budować delikatnie i nie przeciw lokalnej społeczności, ale we współpracy z nią. W przyszłości napiszę także o ciemnej stronie tych relacji, ale *dopiero gdy* ta społeczność zdąży już przyjąć Żydów do wspólnej pamięci i poczuje dumę ze swoich Sprawiedliwych – wtedy wiedzę o złu przyjmie jako część prawdziwego obrazu wojny" (kursywa dodana).

Pedagogika wstydu, pielęgnowanie mentalności postkolonialnej na dłuższą metę są nieskuteczne. Pedagogika wstydu nie prowadzi do dojrzałości.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 8/1217/F

eprasa.pl 7313dec8fb

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

TechnoBiznes 2018

Konkursy Technologiczne:

HIT ROKU 2018

LIDER 2017

w kategoriach:

- **Bankowość**
- **Ubezpieczenia i inne usługi finansowe**
- **Przemysł 4.0**

Zgłoszenia w dniach:
10.01-28.02.2018 r.

HIT ROKU 2018 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

LIDER 2017 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

Szczegóły na: **gb.pl/konkursy**

Organizator:
GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Patronat honorowy:
Ministerstwo Cyfryzacji
MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

eprasa.pl/7313dec8fb

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

ORLEN	LOTTO	TAURON	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 7313dec8fb